OBRAZKI Z ŻYCIA ZNAKOMITYCH LUDZI.

GUTENBERG.



Lit. W. Dörler. Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Zaledwie pierwsze wyrazy listu wzrok jej uderzyły, wydała krzyk.

OBRAZKI Z ŻYCIA

ZNAKOMITYCH LUDZI,

DLA MŁODEGO WIEKU.

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ Z RÓŻNYCH AUTORÓW

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Wydanie drugie, ozdobione 10 rycinami.

WARSZAWA.

NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

1874.

Дозволено Цензурою.

Варшава 24 Апрѣля (6 Мая) 1874.

Drukiem J. Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr 2406.

I.

GUTENBERG *).

I.

Zamek Gutenberg.

Młody człowiek mogący mieć od czternastu do piętnastu lat wieku, wbiegał z lekkością sarny na strome wzgórze, na którém pomimo zapadających już ciemności widniały zdaleka zębate wieże starego zamczyska.

Nagle krzyk przeraźliwy rozległ się w powietrzu.

Młodzieniec stanął i obejrzał się na około, przysłuchując się bacznie, czy w ciszy nocnéj nie usłyszy powtórnego wołania. Ale wszędzie milczenie panowało głębokie. Więc sądząc, że to było tylko złudzenie zmysłów, miał już iść daléj, kiedy drugi rozpaczliwszy krzyk

---

*) *Gutenberg*, wynalazca sztuki drukarskiéj, urodził się w r. 1400, umarł około r. 1468.

dał się słyszeć, a po nim nastąpiły żałosne jęki, jakby człowieka wzywającego ratunku.

— Kto woła? zapytał młodzieniec najdonioślejszym głosem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

I z głębi wąwozu wyżłobionego przez potoki górskie, a wysuszonego następnie skwarami letniemi dał się słyszeć głos:

— Człowieku! ktobądź jesteś, przybądź na pomoc nieszczęśliwemu podróżnikowi, który wraz z koniem stoczył się w przepaść bezdenną.

— Nie musi ona być bezdenną, kiedyś tak łatwo trafił do dna, odpowiedział młodzieniec, i z całą szybkością, na jaką się mógł zdobyć, ześliznął się po pochyłości wąwozu.

A snadź ta okolica musiała mu być dobrze znaną, bo trafił odrazu na miejsce, z którego się jęki rozlegały i nachylając się po nad głęboką rozpadliną, zawołał:

— Gdzież jesteś?

— Tutaj, odpowiedział głos żałośliwy.

— Spadłeś jak raz wprost schodów w skale wykutych; poczekaj chwilę, zaraz będę przy tobie.

I rzeczywiście w dwóch skokach znalazł się już na dnie przepaści.

Trudno było wśród ciemności tam panujących rozpoznać rysy wołającego, ale porwał on swojego zbawcę za rękę, mówiąc:

— Jestem zbity na winne jabłko, nie czuję kości w sobie; dopomóż mi jeżeli łaska wydobyć się ze strzemion, a głównie chciej powstrzymać konia, żeby żadnego poruszenia nie uczynił, bo mógłby mi nogi połamać.

Widząc konia stojącego najspokojniéj na miejscu, bez żadnego jawnego uszkodzenia, młodzieniec domyślił

się, że nie musiał on spaść ale zbiedz bardzo szybko po pochyłości wąwozu, skoro zaś dobiegł dna, silne wstrząśnienie wysadziło zapewne jeźdźca z siodła. Oswobodziwszy więc podróżnika ze strzemion, w które miał nogi wplątane, dopomógł mu powstać, a podpierając go jedną ręką, drugą zaś prowadząc za uzdę konia, odnalazł wprędce schody w skale wyżłobione i ostrożnie stąpając po nich, wyprowadził z niebezpiecznego wąwozu jeźdźca wraz z jego wierzchowcem.

— A gdzie to Pan Bóg prowadzi? zapytał, skoro już się znaleźli na bezpieczném miejscu.

— Do zamku Gutenberg, odpowiedział jeździec. Jadę tam z listem pani mojéj hrabiny van Praet do do panny Meliny von Sulgeloch.

— Jakto? do mojéj siostry? rzekł zdziwiony młodzieniec.

A... to pan jesteś Jan Gensfleisch, syn barona von Sulgeloch? zapytał posłaniec.

— Tak jest, odpowiedział Jan, przypatrując się przy świetle księżyca twarzy jeźdźca, która nagle przybrała dziwny wyraz przymusu i niezadowolenia.

— Nie znam wcale téj hrabiny i nie mogę się domyślić, czego chce od mojéj siostry, mówił daléj Jan.

Posłaniec otwierał już usta do odpowiedzi, ale namyśliwszy się wyjął kwitek pargaminowy z torebki skórzanéj wiszącéj mu przy pasie i rzekł:

— Ten list wszystko wytłumaczy.

I czując się już snadź zupełnie wypoczętym po swoim nieszczęśliwym upadku opuścił rękę młodego barona, na któréj się wspierał do téj chwili, i począł powoli a ostrożnie wchodzić na wzgórze służące za podstawę zamkowi, prowadząc za sobą konia za uzdę.

Nie mogąc sobie zdać sprawy z uczucia, jakie nim powodowało, młody baron przyśpieszył także kroku, a widocznie na ten pośpiech nie sama tylko wpływała ciekawość. I w istocie dla tych, którzy byliby obeznani z położeniem mieszkańców zamku Gutenberg, ten nawet wypadek tak małoznaczny z pozoru, mógł nastręczyć powód do niespokojności albo przynajmniéj zadziwienia.

Jan Gensfleisch van Sulgeloch, utracił ojca zaraz po przyjsciu swojém na świat. Matka jego pozostawszy wdową z dwojgiem dzieci, to jest nim samym i siostrą o jakie dziesięć lat starszą, ujrzała z boleścią ogromny majątek zostawiony jéj przez nieboszczyka topniejący w rękach wierzycieli. Wkrótce téż boleść ta i pasowanie się nieustanne z przeciwnościami, śmierć jéj spowodowały. Wypadek ten miał miejsce, kiedy Melina miała lat ośmnaście a Jan ośm zaledwie. Od téj chwili upłynęło sześć lat, a przez cały ten czas brama zamku Gutenberg, która stanęła otworem dla wyprowadzenia na miejsce wiecznego spoczynku zwłok nieboszczki, nie przepuściła żadnego przyjaciela, znajomego, sąsiada, kogobądź nawet z odwiedzinami. Biedne sieroty żyły samotnie, starcząc sobie nawzajem. Melina opiekowała się młodszym bratem, którego niewinna wesołość pocieszała ją nieraz w smutku. Wyrósłszy w cieniu drzew odwiecznych otaczających stary zamek, młoda dziewica nie opuszczała nigdy mieszkania swoich przodków. Czas upływał jéj na przechadzce, czytaniu, podzielaniu zajęcia pomiędzy kwiatami a ptastwem. Za to przez całe boże dnie Jan odbywał wędrówki w okolice zamku, a po zachodzie słońca brat i siostra schodzili się w wielkiéj sali rycerskiéj, gdzie w towarzystwie dwojga starych sług Goberta i Gertrudy, połączonych oddawna z sobą związkiem

małżeńskim, odmawiali modlitwy wieczorne, które czytała na głos Melina, a wszyscy powtarzali za nią. W godzinę zaś po zachodzie słońca wszyscy czteréj mieszkańcy starego zamczyska pogrążeni już byli w śnie głębokim.

Łatwo więc zrozumieć, że przybycie posłańca z listem od obcéj osoby musiało się wydać młodzieńcowi wcale ważnym wypadkiem.

Przybywszy na pierwsze podwórze zamkowe, baron Jan wydał przeciągłe gwizdnięcie, i wkrótce w drzwiach wchodowych ukazał się stary Gobert. Odcień niezadowolenia uwydatnił się na twarzy starego sługi na widok obcego człowieka wchodzącego z paniczem.

— Pewno znów uczony, którego musiałeś pan wygrzebać w jakiéj dziurze, rzekł gniewliwym tonem, i sprowadzasz go nam na kark.

— Rzeczywiście znalazł mnie twój pan w dziurze i to w dziurze nie lada, odpowiedział posłaniec, ale o uczoność to mnie już chyba nikt nie posądzi.

— I nie ja go namówiłem do korzystania z gościnności zamkowéj, dodał młody baron, ale on sam przybywał już tutaj w tym celu. Więc nie zrzędź staruszku, ale otwórz nam drzwi do sali jadalnéj a konia zaprowadź do stajni, ja zaś pójdę sam zawiadomić moją siostrę o przybyciu posłańca od hrabiny van Praet.

Usłyszawszy to nazwisko Gobert zdjął szarą wełnianą czapkę, która pokrywała łysą jego głowę, i odezwał się z pewnym wyrazem uszanowania w głosie:

— Jakto? od hrabiny van Praet?

— Czy ją znasz? zapytał baron.

— Jakżebym jéj nie miał znać? To pani najszlachetniejsza, najdumniejsza i najbogatsza z całéj okolicy,

i nie omieszkam temu posłańcowi, który tu w jéj imieniu przychodzi, wyświadczyć wszelkiéj gościnności, na jaką tylko zdobyć się będziemy mogli; ale dzisiaj tylu gości było u nas na obiedzie i tyle sług z sobą przywieźli do wyżywienia, nie rachując włościan okolicznych, którzy każdodziennie przychodzą się tu posilać resztkami ze stołu państwa, że wątpię, ażeby w naszéj spiżarni oprócz chleba i kasztanów pieczonych znalazło się co więcéj jeszcze do jedzenia.

Na te wyrazy, których znaczenia zrazu nie mógł zrozumieć, młody baron spojrzał ze zdziwieniem na starego sługę, ale ten ostatni przechodząc koło panicza, żeby od posłańca odebrać konia, którego miał odprowadzić do stajni, szepnął mu na ucho:

— Nic pan nie mów; to wszystko było potrzebném, ażeby wystawić nas w dobrém świetle przed tym obcym, więc nie wyprowadzaj go pan z błędu.

Uśmiechnął się młodzieniec i wbiegł pod sklepienie przysionka zamkowego, a tam spotkał się z siostrą, która usłyszawszy jego głos, pośpieszała naprzeciw niemu. Opowiedział jéj spotkanie z posłańcem hrabiny i dowcipne kłamstwo, za pomocą którego Gobert starał się utrzymać honor rodziny. Na twarzy Meliny ukazał się uśmiech, który znikł wkrótce ustępując miejsca wyrazowi smutku, malującemu się zwykle na jéj obliczu.

— Co może chcieć odemnie hrabina? rzekła wchodząc z bratem do wielkiéj gościnnéj komnaty; gdy zasiadła na starożytném skórą obitém krześle o wysokiéj rzeźbionéj poręczy.

— Najlepszym sposobem dowiedzenia się o tém jest przeczytać list posłańca, rzekł Jan wybiegając szybko z salonu.

Pomimo wzruszenia, jakie sprawiła na niéj ta niespodziana wiadomość, Melina powstała z miejsca, żeby poprawić knot staréj lampy, słabo oświecającéj część zaledwie téj ogromnéj komnaty, a resztę w zupełnym cieniu pozostawiającéj; poczém usiadła znowu oczekując z niepokojem na przybycie posłańca hrabiny.

Wkrótce zjawił się i ten ostatni prowadzony przez młodego barona, a ciekawe głowy Goberta i Gertrudy ukazały się także we drzwiach.

— Niech mi pani raczy wierzyć, rzekł posłaniec oddając Melinie głęboki ukłon, że po przysłudze, jaką od brata pani doznałem, gdyby nie on bowiem, stałbym się niezawodnie łupem wilków, których tu mnóstwo krąży w okolicy, że, mówię, po takiéj przysłudze przykro mi bardzo wypełniać zlecenie nakazane mi przez panią hrabinę.

I oddawszy powtórny ukłon, w pośród milczenia spowodowanego tém jego odezwaniem się, wyjął zwitek pargaminowy z torebki i złożył go z uszanowaniem na brzegu stołu, na którym stała lampa oświecająca całą tę scenę.

Panna Sulgeloch wzięła do ręki ów zwitek z gorączkową szybkością, oderwała pieczęć przytwierdzającą sznurek jedwabny, jakim był owinięty, otworzyła go i zbliżywszy do lampy zaczęła czytać. Ale zaledwie pierwsze wyrazy wzrok jéj uderzyły, zbladła, wydała krzyk bolesny i upadła zemdlona na kamienną posadzkę.

II

Stary czarownik.

Podczas kiedy trzeźwiono omdlałą baronównę, posłaniec uwiadomił resztę mieszkańców zamku o treści tego nieszczęsnego listu. Stare zamczysko, wystawione na sprzedaż przez wierzycieli ojca teraźniejszego dziedzica, dostało się na własność hrabinie van Praet, i list téj pani uwiadomił o tém Melinę, uprzedzając ją zarazem, że nowa właścicielka zamierza wkrótce wejść w posiadanie świeżo nabytego dziedzictwa.

— Powiedz twojéj pani, że ustąpimy jéj tu wkrótce miejsca, rzekła Melina, powróciwszy do przytomności.

— I czerpiąc w sile ducha, jaką obdarzone są niektóre wyjątkowe charaktery kobiece, odwagę powstrzymania łez, co się jéj gwałtem cisnęły do powiek, baronówna dodała:

— Proszę wszakże o przewłokę ośmiodniową w wypełnieniu mojego przyrzeczenia. Nie jest to zbyt wiele, mówiła daléj z takim wyrazem boleści w głosie, że aż wszystkim obecnym oczy zaszły łzami; nie jest to zbyt wiele dla pożegnania się z domem, w którym się urodziłam i w którym wszyscy moi przodkowie wydali ostatnie tchnienie.

Potém z wielką szlachetnością i godnością dawszy odprawę temu złowróżbnemu posłańcowi, czekała na jego wyjście, żeby rzucić się w objęcia brata.

Najdroższy Janie! zawołała miejmy odwagę.

Młodzieniec spoglądał na nią iskrzącym wzrokiem.

— Nie zbraknie nam jéj siostro, odpowiedział.

Melina zwróciła się wówczas ku Gobertowi i Gertrudzie, którzy płacząc przyglądali się téj scenie.

— Przedewszystkiém pomódlmy się do Boga; rzekła klękając.

Gobert i Gertruda poszli za jéj przykładem, co się zaś tyczy Jana, stał on przez chwilę jeszcze zamyślony z oczami czule w siostrę wlepionemi.

— A więc, rzekł z pewną lekką wymówką w głosie, wszystko to taiłaś przedemną.

— Miałażem zatruwać dziecięcą twoją swobodę i wesołość, rzekła ciągle w postawie klęczącéj zwracając się ku niemu i podając mu rękę.

— Nie jestem już dzieckiem, odpowiedział z goryczą młody Gutenberg. Ta chwila przemieniła mnie w dojrzałego męża.

I w istocie na młodzieńczém jego czole malowała się w téj chwili dziwna stałość i energia. Ujął w dłonie rękę, którą mu siostra podawała i poniósłszy ją do ust rzekł:

— Melino, od dziś dnia ja staje się twoim opiekunem i przysięgam, że święcie dopełnię tego obowiązku.

Następnie ukląkł i Melina starając się nadać trochę pewności głosowi drżącemu od tylu wzruszeń, rozpoczynała już modlitwę, kiedy nagle odgłos ciężkiego i nierównego chodu rozległ się na kamiennych taflach korytarza zamkowego, a stara Gertruda zgorszona tą niespodzianą przerwą, porywając się z miejsca, zawołała:

— Miły Boże, czyliż nie wolno dziś nam będzie odmówić nawet zwykłéj modlitwy wieczornéj? To ten utrapiony czarnoksiężnik.

W téj chwili podniosła się zasłona z zielonego aksamitu pokrywająca drzwi komnaty, i człowiek jakiś wysokiego wzrostu, ukazał się w progu. Miał on czoło zupełnie prawie obnażone z włosów, a gęsta siwa broda spadała mu na piersi.

— Czy pan przychodzisz pomodlić się z nami mości Wawrzeńcze Koster? zapytała Melina.

— On modlić się? rzekła Gertruda robiąc znak krzyża świętego, czyliż czarownicy modlą się kiedy?

— Gertrudo! zawołała baronówna surowym głosem, ten pan jest naszym gościem i jako taki posiada prawo do naszego szacunku i przychylności.

— Tak moje dzieci, odpowiedział starzec, który zdawało się żadnéj nie zwrócił uwagi na odezwanie się Gertrudy, przychodzę połączyć modlitwy moje i łzy z waszemi.

— Więc wiesz pan już o wszystkiém? rzekła Melina.

— O wszystkiém, odpowiedział starzec, klękając pobożnie obok młodéj dziewicy.

Rozpoczęła się modlitwa, a Melina czytała święte słowa z większém jeszcze namaszczeniem niż innych dni. I ile razy na usta jéj przychodziło słodkie imię Zbawiciela, tyle razy wyższa jakaś myśl spokoju i nadziei zdawała się rozjaśniać piękne jéj lica. Natura jednak odzyskała swoje prawa, bo po skończonéj modlitwie, kiedy powstała młoda dziewica, twarz jéj była blada, a chmura troski znowuż osiadła na czole.

Dobry mój Gobercie i poczciwa Gertrudo, rzekła odwracając się do obu staruszków, którzy smutni i niespokojni oczekiwali na jéj rozkazy, nadeszła dla nas chwila rozłączenia...

— Jakto? więc panienka chce nas odprawić? zawołał Gobert z wyrazem wielkiéj boleści w głosie.

— Nie jestem w możności trzymać was dłużéj przy sobie, rzekła podając każdemu z nich rękę. Ze wszystkich posiadłości naszéj rodziny ten zamek nam się został tylko, a i on dziś już do nas nie należy. Trudno moi kochani... Bóg dał, Bóg wziął, niechaj się stanie święta Jego wola.

— Ale przecież i nas wierne sługi twoje, Bóg tobie dał panienko i nie odbiera ci nas jeszcze. Dla czegóż więc sama chcesz się nas pozbyć.

— Powiedziałam ci już Gobercie, rzekła Melina z wielkim spokojem i słodyczą, że ja i brat mój pozostajemy obecnie bez chleba i dachu, a więc...

— I gdziekolwiekbądź pójdziecie, przerwał Gobert, my pójdziem z wami, bo my należymy do was jak ręce do ciała, i w pałacu czy w lepiance przy was tylko żyć możemy; będziemy usługiwać wam, pocieszać was i zarabiać na wspólne utrzymanie.

Gertruda nie mówiła ani słowa, ale łzy nie przestawały płynąć z jéj oczów. Na twarzy młodego barona widniało poważne zamyślenie. Skoro jednak Gobert przestał mówić, Wawrzeniec Koster, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się całéj téj rozmowie, zbliżywszy się do starego sługi, rzekł:

— Poczciwy z ciebie człowiek Gobercie, i szacuję ciebie więcéj od niejednego z tych butnych rycerzy, co tak wiele tuszą o sobie. Pani! rzekł odwracając się do Meliny, która przysłaniając twarz rękami starała się łzy ukryć, rok temu brat twój, spotkawszy mnie umierającego prawie ze znużenia, podniósł mnie z ziemi i przyprowadził tutaj, gdzie zastałem dach gościnny

i serdeczne przyjęcie, i przez ten czas miałem sposobność przypatrzeć się wszystkim twoim anielskim cnotom, dobroci i poświęceniu. Więc serce moje przylgnęło do was więzami wdzięczności, i ile razy chciałem oddalić się ztąd, niepodobna mi to było uczynić. Nieraz wieczorem zakładałem sobie, że nazajutrz koniecznie wyjdę w drogę, a nazajutrz toż samo miało miejsce. Przez ten czas wyczytałem wszystkie rękopisma przechowane w kaplicy zamkowéj, a ludzie wasi widząc mnie bezustannie z księgą albo piórem w ręku, wzięli mnie za czarownika. Ale ty Pani brałaś mnie za to, czém jestem rzeczywiście, to jest za człowieka umiejącego czytać i pisać, i wraz z bratem zapragnęłaś wykształcić się w téj wielkiéj sztuce, która kraj z krajem, pokolenie z pokoleuiem łączy. Co do mnie uważałem się za szczęśliwego, że choć tym sposobem mogłem wypłacić się w części z długu wdzięczności, jaki względem was zaciągnąłem i nie rozłączać się z tym oto młodzianem, którego pokochałem jak syna. Tak pani, nie jestem ja czarownikiem, ale tkwi we mnie myśl, która nietylko może zapewnić majątek szczęśliwemu co ją do skutku doprowadzi, ale jeszcze uczynić jego imię po wsze wieki sławném i rozgłośném... Myśl ta wprawdzie nie doszła jeszcze do ostatecznego rozwoju i dopiéro w pierwszych zarysach przedstawia mi się ona. Wydoskonalenie jéj i wprowadzenie w czyn pozostawię przybranemu mojemu synowi. A teraz pozwólcie żebym ja, który tak długo korzystałem z gościnności waszéj, zaofiarował bezpieczne schronienie tak wam jak i sługom waszym. W okolicach Strasburga posiadam nie wielki domek, otoczony naokoło ogrodem; domek ten wszystkich nas pomieścić zdoła, a w ogrodzie znajdzie się dostateczna ilość owo-

ców i jarzyn na wyżywienie nasze... Więc chodźcie ze mną.

I zanim Melina zdołała wymówić słowo, Jan z ożywioną twarzą i rozpromienionêm licem zbliżył się do starca a uścisnąwszy go serdecznie za rękę, rzekł:

— Przyjmuję twoją ofiarę w imieniu mojém, siostry i sług naszych, drogi przyjacielu, czuję bowiem w sobie dość siły na spłacenie książęcéj nawet gościnności.

I za chwilę wszyscy udali się na spoczynek.

III.

Odjazd.

Cała ta noc bezsenną przeszła dla Meliny. Myśl, że opuści na zawsze zamek, w którym upłynął wiek jéj dziecinny, w którym otrzymała ostatni pożegnalny pocałunek matki, dręczyła ją niewymownêm cierpieniem; każdy, by najdrobniejszy przedmiot, każdy kamień nabierał nieocenionéj wartości w jéj oczach. Wstała więc z łóżka i otworzywszy drzwi sypialnéj komnaty, spojrzała na długą galeryę nawpół oświeconą słabemi księżyca promieńmi, które srebrzystym blaskiem przez drobne przedzierając się szybki, fantastyczne na ścianach rysowały cienie, usposabiając ducha do tęschnych marzeń. I zdawało jéj się, że w jednym z tych cieni poznaje ukochaną postać matki, więc rozpłynęła się we łzach. I nagle zadźwięczał żałobnie dzwon sąsiedniego klasztoru, a uroczysty i poważny ten dźwięk w pośród panującego dokoła milczenia, zdawał się obwieszczać,

że w téj chwili chrześciańska jakaś dusza, ziemską swoją opuszcza powłokę.

— Mój Boże! zawołała dziewica, utkwiwszy spojrzenia na gwieździstém niebie, widniejącém przez drobne szybki gotyckiego okna, nie proszę Cię o nic dla siebie; niechaj ja żyję i umrę jak owe kwiatki pustyni, które kwitną nieznane, tracą swoją woń i świeżość i opadają z liści, zanim dotknęła się ich jaka ręka ludzka; mniejsza o to, ale bądź litościwym o Panie dla mojego brata, jedynego potomka staréj i szlachetnéj rodziny. Niechaj to, co mi z życia odejmiesz, przedłuży dni jego, niechaj szczęście, na którém mnie zbraknie jemu się policzy, a będę Cię błogosławić o Boże miłości.

Nagle zamilkła, i weszła w galeryę podążając za owym cieniem o ukochanych kształtach, który zdawał się uciekać przed nią. I wydało się jéj jak gdyby słyszała odgłos kroków oddalonych, ale ponieważ przekonaną była, że oprócz niéj nikt o téj porze nie czuwał w zamku, nie zwracała na to uwagi. Pobożne i rozsądne wychowanie, jakie otrzymała od matki, wytępiło w jéj umyśle wszystkie dziecinne bojaźni, jakim się nieraz bezmyślnie oddajemy; zaufana w łasce Bożéj nie wierzyła w strachy, a nie przyszło jéj nawet na myśl, żeby złoczyńcy mogli się zakraść do starego zamku, coby chciwość ich podbudzić mogło. Odważnie więc i śmiało szła przed siebie, kiedy nagle na zakręcie galeryi postać jakaś stanęła przed nią.

Był to jéj brat.

— Nie mogłem zmrużyć oka, rzekł ujrzawszy siostrę.

— Nie dziwię się temu, odpowiedziała Melina, całując go w czoło; zmartwienie sprowadza bezsenność.

— To nie zmartwienie sen mi odbiera, odpowiedział Jan, ale żądza śpiesznego dowiedzenia się o tajemnicy, o któréj mi Wawrzeniec wspomniał.

— O mój bracie! rzekła Melina z westchnieniem, mnie inne myśli trapią.

— Bo jesteś kobietą, droga moja, odpowiedział Jan, a w życiu kobiet dom i rodzina główną grają rolę. Ale nas mężczyzn zawsze coś pociąga na zewnątrz... Wróć do twojego pokoju siostro, chłód nocny mógłby ci zaszkodzić, a chcę, byś szanowała swoje zdrowie.

— Chcesz! rzekła Melina zdziwiona tym nakazującym tonem, który po pierwszy raz z ust brata zdarzyło się jéj usłyszeć.

Jan zaprowadził Melinę na balkon, z którego przepyszny rozciągał się widok. Zamek zbudowany był na skale w cudném położeniu; zdaleka widać było Moguncyę, któréj wieże ginęły w obłokach, a po za miastem gęste łasy rozciągające się do nieskończoności, zaciemniały krajobraz. Srebrzyste światło księżyca dziwny nadawało urok całemu temu widokowi. Jan objąwszy jedną ręką siostrę, drugą wskazał ku niebu.

— Godzina pierwsza po północy, rzekł, poznaję to z drogi, jaką już księżyc na niebie odbył. Czternaście lat temu w dniu 1 maja r. 1400, o téj saméj godzinie przyszedłem na świat, a dzisiaj dopiero po pierwszy raz uczułem, że nie dziecięce już ale mezkie serce bije w mojém łonie. Od téj więc chwili ustaje opieka, jaką ty otaczałaś moje dzieciństwo, i zamieniamy się na role; odtąd ja jako brat i mężczyzna stanę się opiekunem twoim. Wróć więc do twojéj komnaty i udaj się na spo-

czynek, bo jeżeli jedno tu z nas ma obowiązek czuwania nad drugiém, to chyba ja tylko.

A to powiedziawszy Jan, podtrzymując ciągle ręką kibić siostry, zwolna i w milczeniu poprowadził ją do drzwi jéj sypialni, poczém dotknąwszy jéj czoła ustami, rzekł wesoło:

— Sama widzisz, że wyższy jestem o głowę blisko od ciebie. To znak, że sam Bóg chciał uczynić mnie sposobniejszym do opiekowania się tobą.

— Jak możesz tak sobie żartować Janie, rzekła smutno Melina, w chwili, w któréj przychodzi nam opuszczać ten dom nasz rodzinny?

— Droga siostro, świat będzie należał do tego, który potrafi sobie go zdobyć, odpowiedział Jan z zapałem szlachetnego serca niewątpiącego o niczém; i ja téż poprobuję wywalczyć sobie nowy zamek, który przeznaczę ukochanéj siostrze w ślubnym podarunku.

Jednakie przyczyny na tym świecie różne wywołują skutki. Klęska, która złamała odwagę młodéj dziewicy, podniosła jeszcze ducha jéj brata. W obec nieszczęścia Melina pozostała kobietą, ale Jan stał się mężem.

IV.

Miłość braterska.

W kilka dni po tych wypadkach, Melina wraz z bratem, Wawrzeńcem Koster i dwoma służącemi opuściła zamek, udając się w kierunku Alzacyi. Wawrzeniec służył gromadce za przewodnika. W chwili, kiedy droga czyniąc zakręt, miała już na zawsze skryć przed

oczami podróżnych widok zamku rodzinnego, Melina odwróciła się z oczami łez pełnemi, a z serca jéj bolesne dobyło się westchnienie.

— Nie poglądaj już po za siebie siostro, rzekł Jan ukazując jéj palcem rozległe płaszczyzny, rozweselone promieńmi wschodzącego słońca; odważnie podążajmy naprzód, tam przyszłosć nasza.

— Niestety! jakże mi drogie jeszcze wspomnienia przeszłości! wyjąknęła młoda dziewica.

— Przeszłość nie należy już do nas, odpowiedział Jan, powinniśmy przed siebie tylko spoglądać. Więc śmiało naprzód.

Podróż wszelako odbywała się wolno i droga z Moguncyi do Strasburga całe trzy doby zajęła. Nareszcie trzeciego dnia, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Wawrzeniec Koster ukazując towarzyszom swoim mały biały domek, zbudowany na pochyłości wzgórza, rzekł:

— To wasze nowe mieszkanie.

Słysząc te słowa Melina, probowała się uśmiechnąć, ale westchnienie pomimowolnie wydarło się z jéj piersi.

Rzeczywiście domek Wawrzeńca był zachwycający; zdawało się, że natura w tym zakątku nagromadziła wszystkie skarby swoje. Przystęp cały otaczał gęsty lasek akacyowy, pozostawiając przed drzwiami wolne miejsce, miękkim wysłane trawnikiem. Sad po za domkiem rozciągał się na pochyłości wzgórza; odświeżał go czysty strumień bystrym nurtem zataczający się ku Renowi, którego niebieskawe fale spód wzgórza podmywały. Na około woń, świeżość i zieloność wiosny.

Podróżnicy zsiedli z koni i weszli do domku, gdzie

na wielkie zdziwienie Goberta żaden służący nie wyszedł na ich spotkanie.

Melina jednym rzutem oka odgadła niezamożność gospodarza i kłopoty, jakie skutkiem tego miało ściągnąć na niego przybycie tak licznych gości.

— Bracie! rzekła do Jana, nie możemy tu pozostać bezczynnemi. Jutro pójdziesz do Strasburga i będziesz się starał wyszukać dla mnie jakiego zatrudnienia. Wszakże o przepisywaczy nie łatwo tam być musi, a ja przecież pisać umiem.

W istocie w owym czasie mało bardzo było osób obznajmionych ze sztuką pisania i rzemiosło przepisywacza spore przynosiło zyski. Wkrótce więc uczyniono podział pracy. Gertruda zatrudniła się gospodarstwem, kuchnią i ładem domowym, Gobert ogrodem i czynnościami zewnętrznemi. Co się zaś tyczy Wawrzeńca i Jana, oddali się całkiem zajęciom naukowym, bo tak mistrz jak i uczeń pałali jedną żądzą pomnożenia wiedzy i dojścia do upragnionego odkrycia.

Upłynęło dwa lata. Przez ten czas Melina nieprzyzwyczajona do takiéj ciągłéj i usilnéj roboty, ucierpiała znacznie na zdrowiu. Twarz jéj pobladła, piersi osłabły z powodu bezustannego nachylania się nad przepisywaniem rękopismów, a Wawrzeniec Koster, któremu przy licznych wiadomościach, jakie posiadał, nie obcą była i nauka lekarska, spostrzegł z przerażeniem u młodéj dziewicy pierwsze ślady choroby piersiowéj. Ostrzegł o tém bezzwłocznie Jana, nie ukrywając przed nim niebezpieczeństwa, jakie groziło siostrze, i wówczas to dopiero nieszczęśliwy młodzieniec zrozumiał, jak straszne klęski niedostatek pociąga za sobą. Wiadomość ta nabawiła go trwogą i niepokojem; uciekał od ludzi, chro-

nił się nawet od pieszczot siostry zamykając się w swoim pokoju, a przez cienkie przepierzenie, jakie go od niéj oddzielało, Melina słyszała go mówiącego ciągle do siebie, uskarżającego się rozpaczliwie, albo téż wydającego wykrzyki radości. Nikt jednak nie śmiał zadawać mu pytań i wszyscy szanowali tajemnicę tego dziwnego dziecka. Nareszcie pewnego rana, po pierwszy raz odkąd zawiadomionym został o niebezpiecznym stanie zdrowia siostry, Jan ukazał się przy śniadaniu z rozpromienioném czołem. Z gorączkową niecierpliwością śpieszył się spożyć skromny posiłek, poczém pociągnąwszy za sobą Wawrzeńca, wyszedł z nim do ogrodu i tam rzekł do niego z tém zaufaniem duszy uprzywilejowanéj, która wylewa swoje szczęście na łono przyjaciela:

— Kochany mistrzu, rozwiązałem zagadkę, nad którą od dwudziestu lat już pracujesz: chęć ulżenia cierpieniom siostry dodała mi siły i natchnienia. Wszakże ci szło o wynalezienie łatwego sposobu przekazania potomności rzeczy pisanych, a to w tak znacznéj ilości, ażeby, gdyby nawet te pomniki wiedzy ludzkiéj zaginęły na jednem miejscu, można je było gdzieindziéj odszukać?

— Niewątpliwie, ale jakiż jest ten sposób? odpowiedział starzec z uśmiechem niedowierzania, właściwym starcom, mającym wyrokować o dziełach młodzieży.

Ale Jan mówił daléj niezważając na ten uśmiech:

— Wszakże uskarżasz się, że książki są obecnie tak rzadkie i drogie, iż uczącym się przychodzi z największą trudnością zaopatrywać się do wykształcenia im potrzebne; a to do tego stopnia, iż ty sam będąc jeszcze studentem w uniwersytecie Czterech Narodów w Paryżu, zmuszony byłeś wykradać książki w dzień

dla przepisywania ich po nocach, starając się nazajutrz wkładać je napowrót do miejsca ich przechowania, i że tym sposobem musiałeś stracić trzydzieści lat wieku na obznajmienie się z pierwszemi zasadami nauk. Więc główną myślą twojego życia było wynalazienie jakiéj maszyny czynnéj i niezmordowanéj dla zastąpienia nią niedokładnéj i zbyt szybko opadającéj z sił ręki ludzkiéj?... Spojrzyj tedy.

I wyrzekłszy te słowa, Jan wyjął z kieszeni kilkanaście kawałków drzewa, które rzucił na piasek, poczém przykląkłszy, począł je układać jeden obok drugiego. Wówczas Wawrzeniec zauważył, że na każdym z tych kawałków była wyżłobiona litera abecadła, a kiedy wszystkie zostały ułożone w jednéj linii, starzec przeczytał: *Jan Gensfleisch van Sulgeloch.*

— No i cóż? no i cóż? zawołał Wawrzeniec Koster nieśmiejąc się już teraz.

— Pojmiesz łatwo, rzekł Jan, że związawszy mocno te litery w ramach tak, żeby nie mogły się poruszyć, i napoiwszy je gęstszym i tłuściejszym atramentem aniżeli ten, który się używa do pisania, można je przyłożyć tak urządzone do kawałka białego papieru i odbiją się one w zupełności... Czy rozumiesz już?

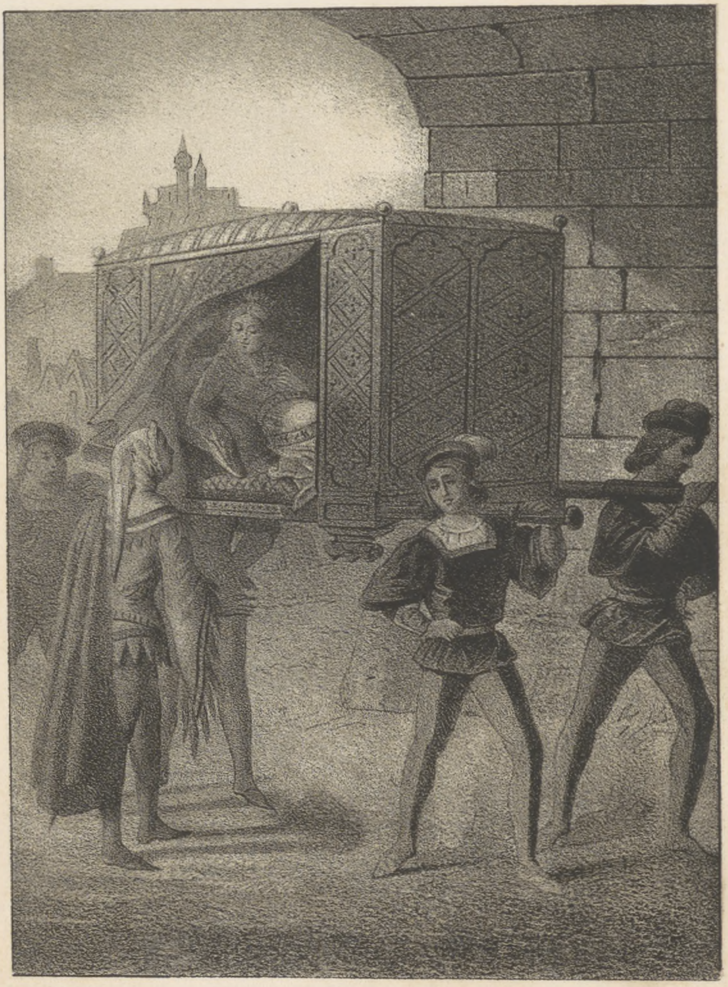
— O mój synu! zawołał starzec płacząc z radości, mój synu! miałeś słuszność. Tyś rozwiązał zadanie mego życia, odkryłeś *druk!*

I odłożywszy na bok wszelkie inne prace, obaj ci ludzie, z których jeden wchodził dopiero w życie a drugi szybkim krokiem zbliżał się do grobu, zabrali się do dzieła nad wydoskonaleniem nowego wynalazku. I spadek, który w tym czasie właśnie Jan otrzymał po dalekim krewnym, podał mu w ręce środki do rozpoczęcia

pierwszych prób, a Melinie zapewnił spoczynek tak jéj potrzebny do odzyskania zdrowia

Ale pierwsze próby téj nowéj sztuki były bardzo nieudatne, litery bowiem drewniane, ruchome i nierówne, połączone jedne z drugiemi za pomocą szpagatu, wymykały się pod naciskiem prasy, tworząc wyrazy niedokończone, zdania niedokładne i po największéj części nieczytelne. Pierwsza drukarnia założoną została w Moguncyi w r. p. 1438 przez Jana Gensfleisch'a, który odtąd przezwał się Gutenbergiem, i Wawrzeńca Kostera. Wkrótce Koster umarł i Gutenberg zawarł spółkę z Faust'em czyli Fust'em złotnikiem. Z pras téjto drukarni wyszła *Biblia Latina* zwana *Biblią o czterdziestu dwóch wierszach*, a następnie psałterz, na którego składanie musiano użyć ośmnastu miesięcy, z powodu niedokładności, w jakiéj się jeszcze znajdowała sztuka drukarska. W roku 1465 Gutenberg mianowany został sekretarzem nadwornym Elektora Nassauskiego i w tym to czasie umarła jego siostra, która odrzuciła wszelkie ofiary małżeńskie, ażeby się nie rozłączać z bratem. Jan Gensfleisch von Sulgeloch przeżył ją zaledwie trzy lata i umarł d. 24 lutego r. p. 1468, zostawując po sobie nazwisko *Gutenberga*, które nigdy już nie wygaśnie w dziejach ludzkości.

DANTE.



Lith. W. Dümler. | Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

J nagle odsunęły się zasłony lektyki a Dante ujrzał
przed sobą piękną i młodą dziewicę.

II.

ANIOŁ TRZECH NOCY *).

Pomiędzy kilkoma imionami ludzi, którzy siłę myśli do najwznioślejszych posunęli wyżyn, imię Danta niewątpliwie jedno z najpierwszych miejsc zajmuje.

W życiu wielkich ludzi bywają chwile otoczone jakąś zasłoną tajemniczą, którą potomność wiedziona łatwą do wytłumaczenia ciekawością, pragnęłaby odchylić, ażeby przypatrzeć się obrazowi geniuszu w całéj jego chwale.

Ileż to nie uczyniono już poszukiwań, żeby dowiedzieć się o kolebce Homera, o téj szczęśliwéj krainie, w któréj nieśmiertelny ślepiec światło dnia ujrzał? Czyliż w dziełach boskiego Platona Sokrates jest rzeczywiście tym geniuszem opiekuńczym', co mu ciemności zawiłe rozjaśnia? Ocieniony wawrzynem grobowiec z czerwonéj

*) *Dante*, najznakomitszy poeta włoski, autor Boskiéj Komedyi, urodził się w r. p. 1265, umarł w r. 1321.

cegły, płoniący się ponad wejściem do Pausilippińskiéj jaskini, czyliż istotnie zawiera w sobie zwłoki autora Eneidy Wirgiliusza? Beatrix, to urocze imie lśniące nakształt gwiazdy w *Boskiéj Komedyi* Danta, jestże rzeczywiście imieniem ziemianki, która uczestniczyła w życiu wielkiego poety, albolitéż prostém tylko zmyśleniem, odwzorywującém z kolei filozofię religijną i boską poezyę?

Niektórzy uważali za stosowne przyjąć to ostatnie mniemanie; nie zgadzali się oni jednak co do znaczenia, jakie nadaćby należało temu poetycznemu pomysłowi. Największa część komentatorów Danta widzieli w téj postaci przeobrażenie czystéj i szlachetnéj dziewicy z rodziny Portinari, któréj Dante poświęcił całe uwielbienie poetycznéj swojéj duszy, otaczając ją uczuciem spokojném, czystém, ojcowskiém prawie.

Kiedy imię Danta przychodzi nam na pamięć, zdaje się, że widzimy go przed sobą w długim powłóczystym płaszczu, z twarzą poważną i namarszczoną, szkarłatnym pokrytą kapturem; widzimy go bladego i ponurego, jak gdyby dopiero co wracał z podróży odbytéj po piekielnéj krainie. I zapominamy, że i jemu także uśmiechały się słoneczne chwile młodzieńcze, podczas których anioł poezyi szeptał już mu do ucha pierwsze syllaby tych wzniosłych pieśni, którym cała Europa miała się z uwielbieniem przysłuchiwać. Nie pytamy się nawet, jaka była młodość tego starego Gibellina, zwanego Dantem, i przez jakie przeszedł on wrażenia, zanim przywdział tę surową szatę powagi, widniejącą w nieśmiertelném jego dziele.

Imie Beatryczy i młodość Danta przypominają nam podanie staréj kroniki, opisujące świetlane widzenie, jakie

nawidziło poetę, podczas trzech nocy rozdzielonych pomiędzy sobą długim lat szeregiem.

Noc pierwsza.

1280.

W roku 1280 po za kościołem Ś-go Szczepana we Florencyi istniał plac wysokim otoczony murem, z wyżłobionemi w nim długiemi a wązkiemi strzelnicami. Z po za tego muru wychylały się cieniste konary drzew olbrzymich, z pośród których widniał z dala wyniosły szczyt *Casa Elisei*. Na podobieństwo wielu znaczniejszych florenckich domów i pałaców z téj epoki, budowla ta, ponuréj i surowéj powierzchowności, stanowiła sprzeczność z wesołą zielenią drzew, ze wszech stron ją otaczających. Walki stronnictw, walki ludu i szlachty, walki domów i pałaców pomiędzy sobą, które przez tyle wieków zapełniają kroniki Toskanii, spowodowały mnóstwo środków obronnych, widniejących w przystępie do każdego pałacu lub domu. Pałace te i domy zbudowane były z kamieni granitowych zielonawéj barwy, do których przymocowane były w pewnych przestankach obręcze, szyny i latarnie żelazne. W pośród winnicy otaczającéj *Casa Elisei*, wyrastały ogromne cedry, sosny morskie, drzewa cytrynowe i modrzewie. W najbardziéj tajemniczéj części ogrodu sterczał mur na wpół już rozwalony. Były to szczątki kaplicy, otoczonéj niegdyś czcią wielką, a poświęconéj Madonnie pod poetyczną nazwą *Gołębiego gniazdka*. Przechowało się bowiem do owych czasów

stare i zaciemnione podanie, że w tém miejscu spoczęła niegdyś Matka Zbawiciela.

Przed tą na wpół rozwaloną kapliczką stał piętnastoletni młodzian o łagodnym i myślącym wyrazie twarzy, ręką podpierał brodę a oczy wlepił w niszę, świeżo w najzdrowszéj części starego muru wybitą. Młotek i dłuto leżące u nóg młodzieńca dowodziły, że ta nisza ze wszech stron gałęziami bluszczu i powoju otoczona, była owocem pracy rąk jego. W niszy stała doniczka z zasadzonym w niéj kwiatem liliowym; nie był to jeszcze wprawdzie kwiat, ale pączki dojrzałe już, które pierwszy promień wschodzącéj jutrzenki miał w pełni rozwinąć. Po obu stronach niszy były dwie gotyckie kolumenki, unoszące zgrabnie urobioną kopułę. Kolumenki pomalowane były farbami trochę może zbyt jaskrawéj barwy, ale sam głąb niszy malowany był na kolor ciemno-błękitny z rozsianemi na nim złotemi gwiazdkami.

— Tak, rzekł młodzieniaszek obracając w palcach beret aksamitny, zdobny puszystém szkarłatném piórem, teraz może już stanąć *Madonna col Bambino* (Najświętsza panna z dzieciąteczkiem)... Sam z najczystszego wosku ulepiłem twarz jéj świętą i rączki drobne a w kształt sukni zarzuciłem na nią bogatą brokatelę, koloru błękitnego, zasianą srebrnemi gwiazdami; jéj naszyjniki, zausznice, ozdoby na czoło i dwurzędna korona są z najczystszego złota... Ale niestety, trzeba jéj jeszcze promienistych włosów, jak to widziałem u Madonn Bizantyjskich, albo téż płowych pukli do koła czoła spadających, jak u naszych florenckich matek... Trzeba wybrać najcieńszego jedwabiu i sporządzić Najświętszéj mojéj panience złotowłose warkocze...

— Na podobieństwo moich, nieprawdaż? zadźwięczał za młodzieńcem srebrny głosik młodéj dzieweczki.

— To ty słodka Beatrix, rzekł Dante, zwracając na wpół uśmiechnięte, na wpół poważne spojrzenie, na młode dziesięcioletnie dziewcze, o modrych oczach i włosach jasnych, jak pierwsze jutrzenki promienie.

— Tak, to ja, odpowiedziało dziewcze, i jeżeli ci potrzeba włosów do przyozdobienia niemi posążku Najświętszéj Panny, to pozwalam ci uciąć te oto moje dwa pukle.

— Dziękuję ci Bice i sądzę, że trudno będzie piękniejszéj ozdoby dla Madonny znaleźć.

— Więc to ty naprawdę ukształtowałeś ten piękny posążek? rzekła Beatrix, z rozciekawioną trochę minką.

— Tak jest... ja... i chcę go w téj oto niszy umieścić.

— Ale jakżeś potrafił sobie dać rady z tak trudną robotą?

— Przypatrywałem się uważnie jak sobie radzili w wielkiéj sali pałacowéj Giovanni i jego robotnicy, potém popróbowałem tak robić jak oni i... Ale trzymam cię za słowo Bice, daj mi przyobiecane dwa pukle, bo chcę niemi ozdobić czoło naszéj pięknéj *Madonny Gołębiéj*.

W téj epoce malarstwo i rzeźbiarstwo we Włoszech budziły się dopiéro napowrót ze snu długiego. Uczucie piękna i prawdy tkwiło w duszy młodego Alighieri, który niecierpliwie pragnąc nadać kształty myśli z siebie wysnutéj, probował sił w rzeźbiarskiéj sztuce. Ale dumna jego rodzina zamiast go zachęcać na téj

drodze, żartowała z' tych jego usiłowań, pragnąc je w śmieszność obracać.

— Signorello d'Alighieri, mówiono do niego, kiedyż ujrzymy ciebie pod sklepieniem starego mostu sprzedającego mieszczanom florenckim świętych Janów twojego wyrobu, z konopiastemi włosami i krzyżami z patyków wyrobionemi? A te święte panienki, które lepisz z wosku, z sukniami z papieru błękitnego, nie przyniosą ci także zaszczytu.

Żarty te ciągle obijały się mu o uszy, ale nie zważał na nie. A jednak nie rzeźbiarzem mu zostać było naznaczono. Geniusz tkwił w nim od młodu, ale w inne rozleglejsze obszary sztuki miał się skierować lot jego ducha; nie robotą drobnych posążków miał on zasłynąć, ale uposągowaniem wzniosłego poematu Boskiéj Komedyi.

W kilka godzin po téj wdzięcznéj ofierze, uczynionéj mu przez ukochaną towarzyszkę zabaw, młody artysta, uszczęśliwiony z dokonania swojego dzieła, tym razem przy oklaskach już nawet swojéj rodziny, stawiał w niszy sporządzonéj przez siebie, Madonnę Gołębią, błyszczącą bogatym strojem i ozdobami, w błękitnéj szacie, gwieździstéj zasłonie, złotéj koronie, i pięknie wyrobionych zausznicach. A z obu stron czoła Bożéj Panienki, spływały złote zwoje włosów, dar ukochanego dziewczęcia.

Uroczystym był dla młodego Alighieri wieczór, jaki nastąpił po dniu tym roskosznym, kiedy błogi sen znużone tylu wrażeniami ukołysał ciało.

I zdawało się młodzieńcowi, że widzi przed sobą anioła, którego ciało rozpływało się w fałdach szaty bielszéj od śniegu. Anioł ten o słodkiém wejrzeniu

i złocistych włosach, jedną ręką rozsiewał w przestrzeń wonny obłok kwiatów, a drugą przyłożoną do piersi przytrzymał kwiat lilii biały, z lekka otwierający kielich swój nieskalany. I w mglistym obłoczku po nad głową anioła, rozwijał się złocisty napis, w którym zachwycony młodzieniec przeczytał te trzy wyrazy:

„Beate, Beatrice, Beatus.”

I duch młodzieńca czuwający podczas snu ciała, zapytał się téj promienistéj postaci:

— Kto jesteś? o ty słodkie widzenie snu mojego?

— Jestem Beatrix, duch poezyi!

I widzenia znikło.

Noc druga.

Florencya 128...

Młodzian o wyniosłem lecz milczącém obliczu, z przewieszonym przez ramię długim fałdzistym czarnym płaszczem, i głową przystrojoną ogoniastym kapturem szkarłatnéj barwy, przyglądał się oparłszy prawą rękę na sutéj rękojeści szpady, rozkosznemu mrokowi zapadającemu zwolna po nad Florencyą. Arno srebrzystemi falami szumiał po pod kamiennemi arkadami mostów; na błękitném tle nieba złociły się lekkie wieżyczki pałaców i świątyń Pańskich, opromienione ostatniemi blaskami słońca, a po nad całym tym obrazem górowała ząbkowana wieża *Pallazzo Vecchio*, (starego pałacu), piętrząc się dumnie w błękity.

— O Florencyo! o ojczyzno moja! zawołał młody szlachcic, jakże cudnie jesteś piękna! I któżby się spo-

dziewał widząc ten uroczy spokój, jaki cię w téj chwili otacza, że te wszystkie pałace mogą się nagle zamienić w fortece, place w pola bitwy, a szlachetne dzieci twoje będą ze sobą toczyć bój nieubłagany. Mosty pokryją się barykadami, a ogień i żelazo zagrożą granitowym gmachom twoim. Fale okazałéj rzeki co dziś jest twoją ozdobą, krwistą przybiorą barwę, a ponury odgłos dzwonów ozwie się wśród nocy hasłem pożogi i zniszczenia; bo nosisz w łonie swojém, o Florencyo, krwawy zasiew wojny domowéj!... Więc ja ci stanę pomocą, o matko ojczyzno moja, użyję do walki podwójnéj broni, żelaza i słowa, i zetrę w proch wszystkich niewdzięczników i świętokradzców, którzy rozdzierają twoje łono!... Ale nie czuję w sobie jeszcze dostatecznéj siły na to, myśl bowiem moja rozwiewa się w marzeniu... A więc nim nastąpią te błogie czasy, korzystajmy z słodkich rozkoszy, jakich nam poezya udziela.

Już ostatnie światło dnia walczyło z zapadającemi ciemnościami, kiedy na skręcie ulicy ukazała się lektyka niesiona przez czterech służebników. Młodzieniec szedł zwolna, więc ci którzy nieśli lektykę, dogonili go przy wejściu na Most Stary, na którym już błyszczało *zachrypłe*, jak je Dante nazywa, światło trzech lamp zadymionych, które co noc tam zapalano.

I nagle odsunęły się zasłony lektyki, a Dante ujrzał młodą i piękną dziewicę, która powitawszy go uśmiechem słodkim ale surowym zarazem, dała mu znak, żeby się zbliżył. I w téj dziewicy młodzieniec poznał ową Beatrix Portinari, swoją młodą przyjaciółkę, którą przez ośm lat rozłączenia zupełnie był prawie zapomniał, rodziny bowiem Alighieri i Portinari długo przyjaźniące się z sobą, zostały nagle rozdzielone jedną

z tych zawziętych nieprzyjaźni, które waśniły pomiędzy sobą stronnictwa panujące we Florencyi. Dodać do tego jeszcze należy, że od sześciu lat rodzina Portinari opuściła Florencyą, żeby zamieszkać w Pizie i od dwóch dni dopiero powróciła do ojczystego miasta.

Dante zbliżył się z uszanowaniem do lektyki.

— W Casa di Falco, rzekła Beatrix cichym, ale donośnym głosem.

I zasłona zapadła znowu, ukrywając przed młodzieńcem promienne widzenie.

Dante przybył do naznaczonego miejsca schadzki w kwadrans po młodéj dziewicy.

W komnacie francuzkiemi pokrowcami obitéj, z któréj stropu zwieszała się bronzowa głowa salamandry, unoszącéj w paszczy trzy lampy na srebrnych łańcuchach, młoda dziewica siedziała na rzeźbionym stołku. Czoło jéj otoczone zwojami płowych włosów, jaśniało tęschną bladością narcyzu, a od bladości téj odbijały dziwnie pięknie jasno błękitne oczy, i cudnéj świeżości usta. Zdawała się ona żywém wcieleniem poetycznych marzeń Giotta, malarza aniołów i dziewic.

Alighieri doprowadzony do progu téj komnaty przez dwóch starców, wysłużonych domowników, których włosy pobielały na usługach rodziny Portinari, ukazał się przed młodą dziewicą.

— Szlachetny panie, rzekła Beatrix, czy chcesz tu złożyć przysięgę, jakiéj od ciebie żądać będę?

— Przysięgam we wszystkiém zastosować się do twojego żądania, o jasna pani, odpowiedział Alighieri.

— Dziękuję ci panie za to posłuszeństwo i zaufanie, jakie pokładasz we mnie, a jednak ta gotowość

z jaką wysłuchałeś próśb moich, wyda ci się może uciążliwą, gdy ci powiem, że pragnę ażebyś dziś jeszcze wieczór udał się do Sienny i pozostał w tém mieście całe sześć miesięcy...

Dante opuścił ze smutkiem głowę na piersi, ale zachował milczenie.

— Nie pytasz się mnie dlaczego tego żądam od ciebie?... rzekła Beatrix. Tak mi ufasz, że nie chcesz się dowiedziéć o powodach, jakie mnie do tego postanowienia skłoniły... To szlachetnie i pięknie z twojéj strony!

— Przysiągłem.

— A jednak ja nie chcę cię zostawić w niewiadomości. Stronnictwo Gibellinów lękając się twojego geniuszu, zapisało czerwonym ołówkiem nazwisko twoje w czarnéj księdze, i życie twoje jest w téj chwili zagrożone we Florencyi. Sienna przyjmie cię gościnnie, tam obecnie Gwelfy są u władzy.

— Szlachetna pani! Ty która w dzieciństwie siostrą mi byłaś, bądź błogosławioną!... Będę posłusznym. Ale pozwól mi zapytać cię, co mi zjednało ten niespodziany zaszczyt, że święte usta twoje opromieniły mnie tém mianem geniuszu, które mnie zastrasza, jako wieniec zbyt ciężki na moją głowę?

— Posłuchaj mnie przyjacielu lat dziecinnych. Dwa lata temu mnogi tłum zapełniał wielką salę starego pałacu. Szlachta, mieszczaństwo, uczeni, rycerze, starcy, kobiety, wszystko tam było zgromadzone. Ja stałam przy matce mojéj, bo wówczas właśnie na kilka dni przybyłyśmy z Pizy do Florencyi. Młody człowiek w czarną przybrany togę ukazał się w mównicy i począł mówić, a przez dwudziestoletnie jego usta płynęły

słowa mądrości Salomonowéj. Więc najprzód rozwinął przed tłumnie zebranymi słuchaczami obraz licznych dyalektów włoskich, wskazał wspólne brzmienia za pomocą których mogą się one zlać jedne z drugiemi, opisując wdzięki i błędy każdego z nich po szczególe, i rozwijając środki, przez których użycie mogłyby się połączyć w jedną całość i nadać téj pięknéj Włoskiéj krainie, jeden i ten sam właściwy jéj język, którego jeszcze nie posiada. Jakże on był pięknym wówczas ten młody uczony, kiedy podniósłszy głos, dowiódł w pełném zapału natchnieniu, jak z jednéj wspólnéj mowy zdoła wypłynąć dobrobyt ogólny, i jak tym sposobem kochany nasz kraj rozrywany na wsze strony, może odzyskać dawne swoje królewskie berło pomiędzy narodami... I słysząc go zdawało się nam wszystkim tam zebranym, że srogie wojny domowe, rozdzierające miasta i rodziny nasze, kończą się już... Młodzieńcy przyklaskiwali, starcy wznosili ku niemu ręce, a pewna matka rzekła do córki obok niéj stojącéj: „Ten młodzieniec, moje dziecię, jest wybrańcem Bożym! Niech Bóg go uchowa dla szczęścia Florencyi i błogosławi mu w dniu, w którym będzie mógł oblec w ciało wzniosłe myśli, które głowa jego podjęła.” Dlategoto Dancie Alighieri, Beatrix Portinari pokochała cię świętą miłością i chciałaby być dla ciebie aniołem stróżem, któryby cię strzegł na téj zbawiennéj drodze, jaką ci wytkną, palec Boży... i ten jest powód, dla którego przyjęłam cię dziś w komnacie matki mojéj najukochańszéj, co nam z niebios błogosławi.

Alighieri przykląkł na jedno kolano, schylił głowę następnie podniósł się zwolna i wyszedł, rzuciwszy spojrzenie uwielbienia i wdzięczności na młodą dziewicę, co

niby anioł stróż zwróciła go na tę drogę straszną, ale wzniosłą, która jest geniuszów torem.

Nazajutrz wieczorem Dante przybył do Sienny.

I pierwszy nocleg w tém mieście opromienił mu nowy sen podobny do tego, który kilka lat temu nawiedził jego łoże.

Był to zawsze tenże sam anioł, ale twarz jego wspanialszą jeszcze godność wyrażała, nie utraciwszy nic z dawniejszego słodkiego wyrazu. Promienna aureola otaczała płowe włosy niebieskiego widziadła. Prawa ręka wzniesiona ku niebu dzierżyła miecz płomienisty, w lewéj zaś na złotym łańcuchu kołysała się cudnowzora kadzielnica, z któréj wznosił się jasny obłok woni, a na nim zawsze owe mistyczne błyszczały słowa:

„Beate, Beatrice, Beatus.”

— Poznaję cię, rzekł młodzieniec, jesteś aniołem poezyi.

— Jestem aniołem mądrości Bożéj! odpowiedziało rajskie widziadło, które tak samo jak za pierwszym razem przybrało na siebie rysy ubóstwionéj Beatryczy Portinari.

Noc trzecia.

Rawenna 13...

Na złomie uliczki stali trzéj ludzie rozmawiając z sobą po cichu i śledząc spojrzeniem pełném ciekawości, poszanowania, a nawet niewytłumaczonéj jakiéjś obawy męża, który zwolna wedle nich przechodził. Miał on na sobie szeroką togę o szkarłatnym kapturze, któ-

ry szczelnie przylegając do twarzy, wyraźniéj jeszcze uwydatniał ostre rysy i zmarszczki ponuréj jego fizyognomii. Wązkie i blade jego wargi, wyginały się gorzkim wyrazem boleści i pogardy; siwe oczy spoglądały wprost przed siebie nie zwracając uwagi na przedmioty okoliczne; szedł on, albo raczéj posuwał się naprzód, bo pod sztywnemi fałdami płaszcza, który go pokrywał trudno było domyśléć się jakiego ruchu.

— Chód jego podobny do chodu widma, odezwał się jeden z tych trzech ludzi.

— Czy znacie go? rzekł drugi, jakiż on blady.

— I nic dziwnego, odezwał się trzeci, czyliż nie wiécie? To stary Gibelin powracający z piekła.

— Jakto? Dante Alighieri.

— Tak jest; Dante Alighieri.

I wielki poeta znikł na zakręcie ulicy.

Północ biła na zegarze kościoła katedralnego. W podziemnéj komnacie, któréj ściany granitowe i strop marmurowy różnowzore pokrywały rzeźby, Alighieri zasiadł przed stołem, na którym stała żelazna lampa, rzucająca niepewne i wahające się światło na rękopisma nagromadzone na stole. Prawa ręka poety wspierała się na ogromnym tomie, na którego żółtéj pargaminowéj okładce wypisana była wielkiemi literami nazwa „Piekło.”

...Nie masz większéj boleści,
Jak przypominać sobie dni w szczęściu spędzone
W chwilach złéj doli...

Były to wiersze stanowiące wyjątek z księgi V jego poematu, a napisał on je po śmierci swojéj ukochanéj Beatryczy. Bo ta gwiazda szczęścia, słodka Beatrix,

nie opromieniła już jasnym swoim blaskiem wzniosłych losów wieszcza. Przeniosła się ona do wieczności.

Dwadziescia jeden lat upłynęło od tego dnia żałobnego, a pobożne dziecko *Gołębiego gniazdka*, dumny młodzieniec, któremu córa Portinarów zbawcze słała ostrzeżenie, przemienili się w tego męża o bladém i ponurém obliczu, noszącego na sobie ślady podróży do piekieł odbytéj.

Przez ten szereg ciężkich i długich lat upłynionych od śmierci Beatryczy, Dante szedł ciągle przed siebie, na drodze, którą równało przed nim tchnienie Boże geniuszem nazwane.

W surowéj a dzielnéj dłoni dzierżył on naprzemian miecz i pióro, walczył pieszo, walczył konno, w szacie poety, w todze urzędnika. Utworzył nową mowę, napisał poemat, stał się dla Włoch ojcem piękna i dobra... i musiał uciekać na ziemię wygnania, bo temu wzniosłemu geniuszowi, nieba nie chciały oszczędzić ani jednéj kropli kielicha goryczy.

Zawarł on właśnie nad potępionymi bramy *Piekła*, i płomieniste drzwi *Czyśćca* roztwierały się przed nim jako droga prowadząca do jasnych *Raju* podwoi.

— Wirgiliusz poprowadził mnie do piekieł, mówił on sam do siebie, któż teraz będzie moim przewodnikiem?

I kiedy tak marzył, sen skleił jego powieki.

A w tym śnie po trzeci raz ukazał się przed nim błogi anioł o ukochanych rysach Beatryczy. Na płowych włosach lśniła gwiaździsta korona posłańca, nieśmiertelność błyszczała w oczach, a złociste skrzydła unosiły ducha niebiańskiego na modrym przestworze.

I płomienisty napis: „Beate, Beatrice, Beatus,” błyskawicą migał przed olśnionemi oczami mistrza.

— Pójdź! rzekła Beatrix.

I uniosła ze sobą poetę w płomienne przestworza *Czyśćca*, zkąd widniały już jasno *Raju* wrota.

I stała się *Boska Komedya!...*

CERVANTES.



Lit. W. Dümler

Odbito w Lit. M. Fajans w Warsz.

Cervantes w niewoli usiłuje ocalić współbraci.

III.

BRZEGI TAGU. *).

Kiedy zastanawiamy się nad życiem ludzi, którzy w dziedzinie sztuk i nauk najwyższe zajmowali stanowiska, nie możemy się ustrzedz od smutnego i zniechęcającego wrażenia, idącego w ślad za przekonaniem, że bardzo nie wielu znajdzie się pomiędzy nimi takich, którym szczęście się uśmiechnęło i ludzie bratnią podali rękę, a w zamian każdy prawie z tych wybrańców Bożych musiał nabytą chwałę gorzkiemi okupić zawodami. Jednego zaparli się współziomkowie, drugi musiał pozostać w cieniu aż do chwili, w której grób ciału śmierć, a wieszczowi nieśmiertelność przygotował; byli tacy, których zasługi nagradzano kajdanami, a wie-

(1) Michał Cervantes, znakomity poeta hiszpański, autor Don Kiszota, wielu komedyi i poezyi różnych, urodził się w r. 1547, umarł w r. 1616.

lu umierało w nędzy i zapomnieniu. Wzniośli nędzarze! Pomiędzy nimi najbardziéj użalać się trzeba nie nad tym, który uderzywszy się w czoło wyrzekł te pamiętne wyrazy:

— A jednak coś tam było!

Ale nad tym, który wystawiony na prześladowanie ciemnoty i nieszczerości ludzkiéj, doszedłszy do najwyższego stopnia obawy i zwątpienia, pyta się sam siebie, czy ludzie nie mieli słuszności przeciwko niemu, i czy rzeczywiście wzniosłe jego pomysły i genialne dzieła nie są chorowitemi płodami szaleństwa.

Za naszych dni zanadto może szafowano nazwą geniuszów zapoznanych, i nie bez powodu ironja przyczepiła się do tych wyrazów; a jednakże trzeba przyznać, że w dziejach wielkości ludzkich, znajdujemy zbyt częste przykłady niesprawiedliwości, niewdzięczności i zawiści, które dozwalają prawdziwéj zasłudze wówczas dopiero przynależnym zalśnić blaskiem, kedy zimny grób pokryje już zwłoki nieszczęśliwego zapaśnika.

Trzéj Francuzi ze szlachetnego rodu, należący do orszaku księcia de Bourbon, posła przy dworze hiszpańskim, wstępowali na wschody pałacu na wpół zrujnowanego, stojącego na jednéj z wązkich uliczek Madrytu pomiędzy klasztorem OO. Franciszkanów, a szpitalem Ś-go Ducha.

Fronton tego starego budynku wydawał się łatanym z niesłychanéj ilości sztuczek i nosił na sobie cechy wszystkich niemal rodzajów stylu architektonicznego. Tutaj ogromne odrzwia o maurytańskiém z czerwonych cegieł sklepieniu, tam znów owalne okno czysto gotyckiéj budowy, z lewéj strony furta greckiego

stylu, po nad którą wznosi się ganek żelazny z oknem, noszącém na sobie w ozdobach gipsowych i rzeźbach drewnianych wszystkie cechy stylu i odrodzenia.

Z dwóch stron głównego wejścia, zatknięte były w obręczach żelaznych dwie rozpalone pochodnie, oświecające olbrzymi szyld, na którym gotyckiemi literami wypisano następujące wyrazy:

„AKADEMIA LUDZI WESOŁYCH.“

Trzéj młodzi Francuzi weszli wkrótce do obszernéj sali tworzącéj ogromne półkole, którego część zajęta była ławkami, w kilka ustawionemi rzędów. Salę tę dzieliła na wpół balustrada, po za którą leżały porzucone na kobiercach trąby, włócznie, potężne miecze, kastaniety, szarfy, tamburyna, słowem wszelkie przybory przez kuglarzy ulicznych używane. Po bokach stały stoliki otoczone stołkami, na których rozsiadło się liczne i dziwnego ustroju towarzystwo, zajęte grą w karty i kości. Można było tam dojrzéć ubogich hidalgów, z głową nakrytą wytartym kapeluszem, z postrzępionemi płaszczami zwieszającemi się z ramion, z ogromnemi o stalowéj rękojeści mieczami u boku. Niektórzy z nich stojąc z gitarą pod pachą, śledzą pilnie zapasy graczów. udzielając im od czasu do czasu wytrawnych rad swoich; a jeżeli los posłużył szczęśliwemu graczowi i rada okazała się skuteczną, wyciągają rękę z dumnym ukłonem i uśmiechem, zdającym się mówić:

— I mnie przecież za szczęśliwy pomysł należy się coś, caballero!

I nie można im odmawiać tego żądanego wynagrodzenia, bo niebezpieczném jest obrażać dumę tych hidalgów zubożałych.

Gracze składają się po większéj części ze szlachty dworskiéj i wojskowych, a tu i owdzie skromny i wytarty ubiór zdradza robotnika, który przyszedł tu, stawić na kartę zarobek pracy dnia całego; po puszystych zaś kapeluszach na ucho nasuniętych, i płaszczach z fantazyą zarzuconych na ramię, poznać można uczniów Salamanckiéj Akademii, którzy ukradkiem wymknęli się z pod dozoru professorskiego.

Bywały jednak dnie, w których *Akademia wesołych ludzi* przybierała pozór zgodniejszy trochę z swojém godłem. Odbywały się tam rozprawy o nowo pojawionych dziełach dramatycznych, a rolę krytyków odgrywali uczniowie wypędzeni z akademii za złe prowadzenie się, pisarze piosnek ulicznych, poeci nie mogący się doczekać wydania dzieł swoich, bezczelni pieczaniarze obwalani winem i atramentem, którzy z na wpół rozwalonéj mównicy wrzeszcząc na całe gardło, odważali się sądzić o dziełach Lopeza de Vega, Cervantesa, i innych poetów, malarzy i uczonych, którzy się stali chwałą Hiszpanii.

A Cervantes przed innymi najwięcéj wystawiony był na pociski tych ulicznych krzykaczy. Niestety z boleścią musimy tu powiedzieć, że Michał Cervantes Saavedra, nietylko pokrzywdzonym był w osobie i dziełach swoich przez tych wyrzutków Madryckiego społeczeństwa, ale nawet pisarze prawi, pisarze utalentowani, uniesieni zawiścią, jaką każda niemal prawdziwa wielkość rozbudza, występowali ostro przeciwko niemu ze zjadliwemi krytycznemi poglądami.

Od dwóch lat już ukazała się ta książka, w któréj siła komiczna do tak wysokiego doprowadzoną została stopnia; to dzieło, w którém poważna mądrość, zapra-

wiona jest tak umiejętnie tryskającym niewstrzymaną strugą dowcipem; ta satyryczna epopeja, w któréj góruje duch prawdziwéj filozofii z wyłączeniem wszelkiéj złéj woli i nienawiści rzeczy ludzkich; ten poemat tak wyłączny w oryginalności swojéj, że trudno mu nadać właściwą nazwę, nie jest on bowiem ani romansem, ani komedyą, ani satyrą, ani parodyą żadną. Książka ta nosi tytuł: *Dziwne wypadki znakomitego rycerza z Manszy Don Kiszota*. Cała Hiszpania przeczytała to dzieło, nie zrozumiawszy prawdziwego jego znaczenia, i najzawziętsze, najniedorzeczniejsze nienawiści rozkiełznały się przeciwko autorowi, pomimo opieki, jaką mu udzielali niektórzy znakomici panowie kastylscy, odznaczający się wysokiém ukształceniem umysłowém.

I z Hiszpanii pierwsza część Don Kiszota rozeszła się po całéj Europie. Włochy i Francya przed innemi przyjęły to dzieło z nieporównaném uwielbieniem, domagając się dla autora należnego mu uczczenia. A w tymże samym czasie, Cervantes, mąż o poetycznéj duszy, o wykształconém sercu, o umyśle wyższego poglądu, ubogi, zapoznany, wyśmiany, odepchnięty, zgarbiony pod ciężarem sześćdziesięciu lat w ciężkich trudach spędzonych, pozostawał opuszczony od wszystkich sam na sam ze swoim geniuszem.

— Słuchajcieno de Prigny i de Volsange, rzekł jeden z Francuzów, zwracając mowę do dwóch swoich towarzyszów, zasiądźmy sobie przy jednym z tych stolików w głębi sali, a ręczę wam, że się ciekawym tu rzeczom przypatrzymy. Wprawdzie dziś wieczór nie będziemy tu mieli ani *bolerʻa*, ani *fundang'a*, ani tańca ze szpadami, ani kadryla z szarfami, bo kuglarstwo właściwe ustępuje miejsca kuglarstwu na słowa: dziś jest

tu dzień pomieszania języków, istnie jak w wieży Babel. Już od pięciu dni miejscowi arystarchowie tutejsi, znęcają się nad najnowszemi komedyami dwóch Lopezów de Rueda i de Vega. Dzisiaj nastąpiła kolèj na Michała Cervantesa.

— Nikczemni niewdzięcznicy! Bezecni głupcy! zawołał de Prigny.

— Powstrzymaj trochę twój zapał, rzekł d'Helmancourt. Obecnie już cała Francya przez organ Volsang'a pomściła Cervantesa za krzywdy, jakie od własnych rodaków doznaje. A odezwanie się Volsang'a było śmiałém bardzo; dowiedziawszy się bowiem, że autor Don Kiszota żyje w nędzy prawie, towarzysz nasz powiedział w obec króla i całego dworu: „Niechże pozostanie zawsze ubogim, jeżeli to ubóstwo zmusza go do zbogacenia Hiszpanii i świata całego takiemi arcydziełami.

— Nie wiedziałem, rzekł Volsange, że odezwanie się to moje wypowiedziane w chwili oburzenia, zasłużyło na ten zaszczyt, żeś je aż zachował w pamięci... każdy na mojém miejscu byłby to samo powiedział.

— Nie każdy, rzekł d'Helmancourt.

— Przynajmniéj każdy co czuć umie.

— Widać, że pomiędzy rodakami Cervantesa jest takich nie wielu, rzekł d'Helmancourt, jeżeli zwłaszcza sądzić mamy po tych, którzy się tutaj zbierają.

— Ale słuchajno, rzekł de Prigny, miałeś przecie opowiedzieć nam ciekawe szczegóły o tutejszym towarzystwie.

— Z całego serca. Wiedźcie więc, że pomiędzy kuglarzami, którzy pokazują zwykle swoje sztuki na tym oto kobiercu, znajduje się pewien łotr wielce za-

bawny, chytry jak lis, żwawy jak małpa, a wygadany jak papuga. Maur rodem, odgrywał on przez długi czas w Medyolanie role arlekinów i paskinów, a przybywszy do Madrytu wielkie miał powodzenie w błazeńskich rolach, które tu zwą *Gracioso;* ale jest to człowiek tak kłótliwego i złośliwego usposobienia, że został wypędzony z teatru i zmuszony do podjęcia się rzemiosła kuglarskiego *w Akademii wesołych ludzi.* Umie on czytać i pisać, i pomiędzy członkami tutejszéj akademii wielkie ma powodzenie, a to do tego stopnia, iż wolno mu jest od czasu do czasu należeć do rozpraw literackich, które się odbywają pomiędzy tutejszemi matadorami. Hultaj ten nazywa się Espartafilando. Podczas ostatniego posiedzenia, na którém tu byłem obecny, postanowiono, na wniosek pewnego błazna zwanego Aballeda, że na przyszłém posiedzeniu kuglarstwa literackiego, szanowni członkowie *Akademi- wesołych ludzi,* zostaną uraczeni opisem *Kulawego życia i koślawych dzieł starego bezrękiego literata Michała Cervantesa Saavedra.* Zaszczyt wywiązania się z tego skandalicznego zadania został poruczony kumowi Espartafilando, i my właśnie mamy być obecnymi temu ciekawemu posiedzeniu. Należy jeszcze dodać, że Cervantes otrzymał zdradliwe zaproszenie na dzień dzisiejszy, z zatajeniem jednakże głównego przedmiotu, o którym rozprawy toczyć się mają. I to także jest godném uwagi, że pomiędzy ciekawymi gośćmi, których ściąga tutaj rozgłos téj niedorzecznéj zaczepki, znajdują się trzéj wielcy panowie: Perez de Sandowal, synowiec arcybiskupa Toledańskiego, margrabia de Torre, i Don Pedro Fernandez de Castro hrabia de Lemos. A nawet zdaje mi się bardzo prawdopodobném,

że ci trzéj tajemniczy panowie zawinięci aż po uszy w płaszcze, którzy zasiadają tam koło kątowego stolika przy oknie stojącego, są właśnie powyżéj wymienionemi znakomitemi osobami.

I nagle powstał wielki ruch w sali, krzesła przy stolikach opustoszały w mgnieniu oka, a cały tłum przeniósł się na ławki, gdzie cisnąc się jedni na drugich, wszyscy zabrali miejsca.

Zabrzmiał dziwny jakiś odgłos trąb pomieszanych z dzwonkami, mignęło coś i zakoziołkowało po za balustradą, i nagle jak gdyby spadł z nieba, ukazał się tam Espartafilando, stojąc na jednéj nodze, z przyłożonym do gardła sztyletem, i z podniesionym po nad głową bębenkiem maurytańskim, zdobnym kółkami srebrnemi, brzękadłami i złotemi dzwoneczkami. Głowę miał przystrojoną w biały turban, rozwiązał pas, i fałdy szerokiéj wschodniéj szaty, opadły na czechczery jego maurytańskiego kroju. Długie przyprawne wąsy, z przyczepionemi do ich końców złotemi dzwoneczkami, opadały mu aż po za pas. Wydał krzyk piskliwy i wnet czterech młodych murzynów postawiło przed nim stół okrągły, na który wskoczywszy lekko zasiadł na piętach z założonemi nogami, jak to czynią zwykle mieszkańcy Wschodu. I począł mówić.

Więc zrazu sypał różnemi przysłowiami, dowodząc swojéj eruydycyi przez cytacye francuzkie, arabskie a głównie włoskie. Następnie wyjąwszy z kieszeni pomarańczę począł bez ceremonii obierać ją zębami i gryząc słodki owoc, śpiewał:

Gdy tak skaczę i tak tańczę
Że aż nogi mi się trzęsą

To w lot chwytam pomarańczę,
I wyjadam sok i mięso:
To mi owoc, mili moi,
I nakarmi i napoi,
I pokrzepi i posili,
To mi owoc moi mili!

„Hura! hura! zakrzyknął nagle, w górę uszy szanowne towarzystwo, bo opowiem wam bardzo ciekawą historyę *o koślawém życiu i pokaleczonych dziełach starego bezrękiego żebraka, Michała Cervantesa Saavedra!* Ale przedewszystkiem szlachetni słuchacze, pragnę ażebyście mi poręczyli waszém kastyliańskiém słowem honoru, że skóra pozostanie mi cała na grzbiecie, i nie odpokutuję za grzechy języka, zbyt może nie powściągliwego. Bo wszakże powiedziano już to po łacinie: *Że choć w języku kości nie ma, sprawil on nieraz, iż w niejednym wszystkie kości pogruchotano.*"

Oględną tę przemowę pokryło tysiące opiekuńczych oklasków.

„A więc, mówił daléj Espartafilando, nie wadzi tu powtórzyć i drugie przysłowie: *Ktokolwiek rachuje na cudzą pomoc, śniada źle, obiaduje zrzadka, a nigdy nie jada wieczerzy;* ale trzeba dodać, że w tém przysłowiu nie ma mowy o Hiszpanach, bo kto zaszczycony jest Hiszpana opieką, ten chociażby na obszarze całego świata zawieruszył drobniutki włosek, może być przekonanym, że mu się ten włosek odnajdzie. Więc rzuciwszy próżną trwogę, ruszam śmiało daléj w drogę, bo rachować na was mogę.

„Nie wiem tedy czy wam wiadomo, że ten Michał, ten Saavedra, wpadł na pomysł urodzenia się szlachcicem... Tak jest, szlachcicem, i to kastylijskim jeszcze;

to dowodzi, że bardzo wcześnie umiał on się poznać na tém co dobre i pożyteczne, ten wybór go zaszczyca i nie myślimy mu wcale z tego powodu robić zarzutów. W pierwszéj młodości swojéj zapragnął on zaraz zaradzić wielkiemu brakowi, jaki czuł w sobie... był bowiem ubogim: „Co tam! Pomyślał sobie; dobry humor tyle wart, co i pieniądze; czyste serce równoważy sakwę napełnioną złotem; kto ma głowę, ten nie potrzebuje się oglądać na dobytek, a zdrowy ząb powinien być ceniony na równi z dyamentem. Więc *pocco di bene*, *pocco di male*, jak mówią Włosi, co ma się znaczyć: mało dobrego, mało złego. A więc *presto* z lekkiem sercem i lekką kieszenią przybywa z Alcala do Madrytu, żywiąc się po drodze chlebem, czystą wodą zdrojową, a czystszą jeszcze i przezroczystszą od wody, ale mniéj od niéj pożywną... poezyą. Jak widzicie, początki niezłe wcale, ale czekajmy końca bo bez końca to miotła bez trzonka, to zając biegnący jeszcze na polu, do którego głupi kucharz sos w rondlu gotuje...

„A więc uwaga panowie! Widzimy senora Michała na ławkach już szkolnych, przysłuchującego się z uwagą naukom, wykładanym z katedry przez sławnego Juana Lopeza de Hogos (pokłońmy się temu imieniowi!) I patrzcie jeno, uczony doktór mówiąc współuczniom o Michale Cervantesie Saavedra, woła że ten chłopak to cud prawdziwy... Cierpliwości tylko kochani słuchacze, a odkryje się wkrótce przed wami w całéj swojéj brzydocie, ten łotr Michał, ten niedołęga Cervantes, ten tchórz Saavedra, ten bezręki, który dopuścił się tak szkaradnéj zbrodni wydania na świat Don Kiszota.

„I proszę was, co to za obżartuch szkaradny. Nie dość mu było nasycić się cierpkiemi owocami nauki, pragnął jeszcze mdłych kwiatów poezyi zakosztować! Nieprawdaż, że to obżarstwo nie do darowania! Wszyscy w Valladolid zawyrokowali, że on nie ma wyobrażenia o pisaniu wierszy. Powrócimy jeszcze do tego przedmiotu, a tymczasem pragnę wypowiedzieć to wszystko, co wiem o nim dobrego, żeby się zbyć od razu uciążliwego ciężaru; bo trzeba przyznać, że słyszałem na własne uszy, jak sam Lopez de Vega, mówiąc o kilku sonetach, jakie Saavedra w młodości swojéj urobił, utrzymywał, że harmonia wierszy w tych sonetach dźwięczała tak pięknie, jak nowy filippus złoty, kiedy pada na tacę kryształową.

„Więc kmotr Michał udał się w podróż do Włoch, z biedą zawsze siedzącą mu za kołnierzem. Widocznie musiał on mieć duszę hartowną w kształt klingi toledańskiéj, bo chociaż nędza nie jednego mu wyprawiła psikusa, nie jedną zastawiała nań samołówkę, on jednak szedł pewnym i niezachwianym krokiem, jakby w kieszeni jego same dukaty brzęczały. O! bo też ten przeklęty bezręki to sztuczka nielada.“

I to rzekłszy kuglarz potrząsł silnie po nad głową tamburynem, i poruszyły się wszystkie kółka, zadźwięczały wszystkie dzwonki, wszystkie brzękadła odezwały się krystalicznym swoim głosem.

Pomiędzy słuchaczami jednak czuć było jakieś niezadowolenie; szanowni członkowie akademii nie zbyt przychylnie przyjmowali ten panegiryk pełny napuszonych figur błazeńskich żarcików rozwijający się przed niemi w miejsce zapowiedzianéj satyry; większość wszakże zgromadzenia, mając na pamięci przyrzeczenie dane

mówcy, nie obrażania się niczém, zachowywała wspaniałe milczenie...

I nagle Espartafilando zrobił olbrzymiego susa, a zrzuciwszy ze siebie turban i szatę o szerokich fałdach, ukazał się oczom obecnych w pięknym ubiorze kastyliańskim, w postawie natchnionéj i bohaterskiéj, z mieczem w ręku.

I począł mówić poważnym a wolnym głosem:

„Miły Boże! gdzież dąży ta flota ogromna, składająca się z trzystu statków, okrętów, galer, szkutów i czółen żaglowych, pokrywających ogromną przestrzeń morza, lasem masztów przerzynających powietrze, a uderzeniami niezliczonych wioseł, zabielających fale pianą burzliwą?.. Okręty te dążą pod Lepante, w zamiarze spotkania się tam z flotą ottomańską! Hiszpańska flaga powiewa nad niemi, a don Juan Austryacki im przywodzi. To chrześcijaństwo całe w obec ziemi i morza, pragnie stawić zaporą chorągiew krzyżem uświęconą, przeciwko napadom muzułmańskiego barbarzyństwa, zdążającego tłumnie za bledniejącym już półksiężycem!...

„I nastało straszne wstrząśnienie! Obie floty spotkały się z sobą, i zatrzęsła się otchłań w najbezdenniejszych głębinach, a starożytny Korynt zadrżał na swoich kamiennych posadach. Więc cały arsenał wojenny, który wieki nagromadziły dla wylewania krwi ludzkiéj, zabrzmiał przeważnym hukiem ze wszystkich narzędzi zniszczenia na statkach tych nagromadzonych. Świszczą strzały, grzmią muszkiety, ryczą działa, ostre miecze błyszczą w powietrzu, a groźne włócznie potrząsają w górę skrwawione szczątki nędznéj ludzkiéj powłoki. I powstaje straszne zamieszanie i rzeź, rzeź

stokroć groźniejsza aniżeli na lądzie. Statki przyczepiają się jedne do drugich hakami, i osady toczą się na pomosty, z włócznią w ręku, z toporem u pasa, ze sztyletem w zębach. Fale morskie czerwienią się od łuny i krwi, a w obłokach dymu gęstą mgłą całą przestrzeń pokrywających, widać tylko od chwili do chwili kołyszące sie na bałwanach, niedopalone szczętki statków i trupy ludzkie, ziejące strasznemi ranami, przez które śmierć zawitała.

„I spojrzcie!.. W pośród rycerzy chrześcijańskich, którzy walczą pod rozkazami bohaterskiego don Juana i umierają wznosząc radosny okrzyk zwycięztwa, jakiś młodzieniec z ręką strzaskaną wystrzałem z muszkietu upada na lawetę działa świeżo nabitego, powstaje znowu, i porwawszy knot porzucony na moście, odpowiada na wystrzał, który go ręki pozbawił, ogniem z armaty i wzniosłym krzykiem: *Bóg i Hiszpania*!... To ty! tak to ty! Michale Cervantesie Saavedra, to ty co z pokojowych szranków słowa, rzuciłeś się na równie zaszczytne, ale niebezpieczniejsze pole walki i czynu!... Więc chwała ci bohaterski bezręki!.. I powiedz nam po tylu latach trudu i poświęcenia, gdzie jesteś obecnie żołnierzu don Juana?.. Odpowiedz!..

Jakiś szept mimowolnego wzruszenia przebiegł przez zgromadzenie, zapał począł rozpłomieniać lica, serca biły silniéj.

„Szlachetny kastylijczyku, odezwał się znowu mówca, postępuj daléj po zaszczytnéj drodze, jaką sobie obrałeś... Niewolniku Deja Algierskiego, usiłuj ocalić od niewoli swoich współbraci, ściągaj na siebie gniew tego krwiożerczego księcia, i przyznawaj się sam za wszyst-

kich do winy, którą wszyscy popełnili... W braku lewéj, prawa ręka żyje jeszcze i z chwałą zastąpi siostrzycę swoją.. Napisałeś nią *Galateę* to słodkie arcydzieło poezyi... To urocze dziewczę, ten płód twojéj wyobraźni pozostanie na zawsze ozdobą kwiecistych brzegów Tagu, wiecznie będziemy ją tam widzieli, jak pochylona nad falami rzeki, stroi kwiatami zwoje cudnych włosów!.. I pomimo tego, o Cervantesie, twoja młodość wawrzynami nauki i poezyi strojna, bohaterskie twoje czyny pod Lepante, niewzruszona odwaga żołnierza chrześcijańskiego, jakiéj tylokrotnie dawałeś dowody, kiedy obciążony kajdanami umiałeś wzbudzić dla siebie poszanowanie w barbarzyńskim wodzu korsarzy: wszystko to o Michale, wszystkie te wielkie i piękne czyny nie są niczém jeszcze, obok dzieła, którém na schyłku już dni swoich obdarzyłeś kraj nasz szczęśliwy, obok *Don Kiszota*, który imię twoje, imię hiszpańskiego poety, uczyni rozgłośném na całym obszarze świata!..“

I w téj chwili pełne zapału oklaski rozległy się na całéj sali... A wysilony przez te dziwne natchnienie, które nim pomimowolnie owładnęło, Espartafilando, blady, znużony, zadyszany, usiadł spokojnie, i czoło ukrywszy w dłoniach, zdawał się rozmyślać głęboko.

W zagłębieniu okna trzéj młodzi Francuzi rozmawiali z księciem de Lemos, który swoim wpływem zapewne spowodował ten nagły zwrot w sposobie widzenia rzeczy ulubionego kuglarza.

...A ku drzwiom, przesuwając się ostrożnie przez

uniesione zapałem tłumy, zbliżał się powoli zgarbiony starzec. Kapelusz o szerokich brzegach nasunął on na czoło, a połą od płaszcza zakrywał twarz, żeby nie widziano oczów jego zalanych łzami rozczulenia.

Tym starcem był Cervantes!..

HOCHE.



Lit. W. Dunier

Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Chcę być Generałem rzekł mały Łazarz.

IV.

MAŁY GENERAŁ *).

I.

Marta owocarka.

Dnia 10 maja 1774 r. w porze popołudniowéj, jeden z tych wózków, na których przekupnie zwożą do Paryża owoce i jarzyny z ogrodów okolicznych, zatrzymał się, opróżniony tym razem, przed bramą parku Montreuil'skiego w sąsiedztwie Wersalu. Z wózka zsiadła pulchna, okrąglutka, ale świeża jeszcze kobiéta, która pomimo ukończonéj już pięćdziesiątki, nie utraciła jeszcze nic z żywości, ani lekkości dawnéj. Za tą ko-

---

*) *Łazarz Hoche* sławny generał francuzki, mając zaledwie lat 25 dowodził już naczelnie armią, zasłynął licznemi zwycięztwami, i umarł w r. 1797. Był on jedynym generałem rewolucyi francuzkiéj, mogącym w sławie i popularności współzawodniczyć z Napoleonem Bonaparte.

bietą postępował zwolna przygarbiony starzec, w którym po mundurze pruskim starożytnego kroju, można było poznać dawnego ułana Maurycego marszałka saskiego. Na odgłos turkotu kół wózka, furta przy bramie otworzyła się i ukazał się w niéj człowiek młody jeszcze, ale bardzo schorzałéj powierzchowności.

— To ty siostro Marto! rzekł ów człowiek witając nowoprzybyłą serdecznym uściskiem: cóż za cud, żeś pomyślała dziś wstąpić do mnie? A i ojciec Malplaquet także, mówił daléj potrząsając silnie za piersi ułana; dziękuję wam za łaskawe odwiedziny. Ale musiało zajść coś nowego, bo widać z miny waszéj, że przywozicie ze sobą jakąś ważną wiadomość?

— Król Ludwik XV umarł dziś w nocy, rzekł stary żołnierz pruski przykładając dwa palce do trójrożnego kapelusza, tak jest, ojcze Hoche, mamy już nowego króla.

A podczas kiedy ten, którego ojcem Hoche nazwano, zagałuszony tą niespodzianą wiadomością, stał z gębą otwartą nie wiedząc co powiedziéć, Marta dodała jeszcze:

— I to jest właśnie powód, który nas sprowadza do ciebie, bo chcielibyśmy jak najostrożniéj zawiadomić cię o wszystkiém. Ale gdzie jest Łazarz nie widzę go tu?

— Umarł! powtórzył Hoche wzruszonym głosem.

— Dzisiaj w nocy, w okropnych cierpieniach, które znosił z prawdziwie męczeńskiém wytrwaniem, odpowiedziała Marta. I kiedy ojciec Malplaquet przybył dziś zrana do mnie do sklepu, dla zakupienia według swojego zwyczaju sera na śniadanie, i wypalenia fajeczki przy pogawędce, powiedziałam mu zaraz: „Trzeba je-

chać do Montreuil do mojego brata, który jest nadzorcą psiarni króla nieboszczyka, bo dla niego ta wiadomość będzie strasznym ciosem i gotówby szwankować na zdrowiu, gdyby się dowiedział o tém tak bez przygotowania.” Więc Franciszek założył konia do wózka, a ojciec Malplaquet chciał także pojechać ze mną. „Dobrze, rzekłam, jest tu dość miejsca i na dwoje, ale śpiesz się ojcze!” I tylko poleciłam Franciszkowi, żeby pilne dawał baczenie na marchwie i kartofle, zacięłam konika i daléj w drogę. Ale nie mogliśmy z ojcem Malplaquet umyślić sobie, jak ciebie zawiadomić o tém; on mi mówił:

— To już wasani rzecz, przecież jesteś jego siostrą, to wiesz jak mu taką rzecz należy powiedziéć.

A ja mu na to:

— Ej lepiéj wy to mu wypalcie staruszku! Bo przebyliście już nie jedno w życiu, a ludzie wiekowi mają doświadczenie w takich razach.

I stało się wreszcie na mojém; ojciec Malplaquet powiedział, że się namyśli przez drogę, zaczęliśmy gawędzić o czém innéml i tak gadu, gadu, zajechaliśmy.... Ale nie odpowiedziałeś mi bracie, gdzie jest Łazarz?... I co znowu! stoisz tak blady i znękany, jakby baba jaka, jak gdyby cię kto w posąg zamienił... No... daléj!... ruszajże się, już lepiéj i popłakać nawet, niż sobie tak wszystko na sucho przypuszczać do serca... A przecież z wszelką ostrożnością zawiadomiliśmy cię o tém nieszczęściu, toż dopiero byłoby, gdybyś się był niespodzianie o niém dowiedział... Święty Jezu Nazareński! a chybabyś padł na miejscu!... Ale gdzie jest Łazarz, gdzie on jest? niechże go zobaczę!

Tymczasem weszli do mieszkania Hoch'a, który

ciągle był milczący, jak gdyby mu kto mowę odjął. Marta poszła do szafy, wyjęła z niéj butelkę z wódką, którą postawiła na stole, i nalawszy trzy kieliszki rzekła biorąc sama jeden z nich, a dwa pozostałe oddając bratu i ojcu Malplaquet.

— Golnijno oto wódki na rezon, to cię uspokoi zaraz. Twoje zdrowie ojcze Malplaquet.

I jednym łykiem wychyliła kieliszek, mówiąc do brata:

— Niechże cię nie znam jak wyglądasz, blady jak chusta: to dopiero, żeby mężczyzna nie umiał tak panować nad sobą! I gdybyśmy bez przygotowania ci to byli powiedzieli, to już nie wiem coby się stało... Ale co prawda to prawda, wódkę masz wyborną, aż rozkosz jak idzie po języku... No, czy nie powiesz mi, gdzie jest Łazarz?

— Niestety kochana siostro, odpówiedział Hoche ocierając łzę, która zwolna toczyła się po jego wynędzniałych policzkach, ten chłopak straszne mi sprawia zmartwienie.

— Łazarz! mój bratanek! zmartwienie! zawołała podnosząc głos owocarka, a chyba to ta śmierć króla Ludwika XV tak ci przewróciła w głowie kochany bracie, bo gdyby nie to, nie mówiłbyś w ten sposób o moim bratanku, o ulubieńcu moim! Boże drogi! co to za dziecko! Sam powiedz ojcze Malplaquet, boś przecie widział na własne oczy, przez te trzy miesiące w roku zeszłym co bawił u mnie, nauczył się czytać, a poszło mu to jak chleb z masłem. Na dziecko pięcioletnie, bo w przeszłym roku przecie nie miał więcéj jak pięć lat, to prawdziwie zadziwiająca rzecz.

— No, no, no, rzekł stary ułan, potrząsając z nie-

dowierzaniem głową, to trochę także przesady matko Marto, i młody Łazarz jest starszym niż utrzymujesz.

— Jakto starszym! toż przecie już z górą rok temu, a w bieżącym roku skończył zaledwie sześć lat, rzekła Marta uroczyście. Łazarz urodził się dnia 24 lutego 1768 r., w tym oto pokoju obok... a trzeba było porządnie w piecu palić, bo na dworze mróz był nie lada, zaś jarzyny i owoce w tym roku podrożały ogromnie. Że zaś to jest dziecko niezwyczajne, w tém nie tajemnica, bo spojrzeć jeno, jak to wyrosło! A już więcéj umie od ojca, który nigdy w życiu czytać się nie nauczył, a i od matki nawet, która także nie bardzo była uczoną, bo biedna kobieta, świéć Panie jéj duszy, nigdy więcéj jak do połowy nie potrafiłaby naliczyć dwudziestu pięciu liter abecadła. Już to Łazarz najwięcéj wdał się we mnie. To cię dziwi może ojcze Malplaquet, że ja jestem najuczeńszą z całéj rodziny naszéj, ale to święta prawda, bo lepiéj umiem czytać w książce aniżeli pisarz publiczny, który się rozłożył ze swoją szopą tuż przy moim sklepiku, a jak wypalę list, to już choćby drukuj zaraz... Nie znam wprawdzie dokumentnie téj ich tam ortografii, ale ortografia głupstwo, byleby umiéć pisać czytelnie to i dosyć... A nauczyłam się tego wszystkiego od naszego starego proboszcza, który zmarł trzydzieści lat temu, niech mu Bóg i wszyscy święci błogosławią za tę jego dobrą wolę dla mnie... Ale ja tu bajdurzę ciągle o różnych rzeczach, a nie ucałowałam jeszcze mojego ulubieńca! Bo téż dziwna rzecz gdzie on się podział?

— Zdaje mi się jak raz, że go słyszę, rzekł stary ułan, bo ten dzieciak to kubek w kubek jak nieboszczyk

wódz mój, wielki marszałek saski: zanim go zobaczysz usłyszysz go już!

I w istocie, w głębi alei prowadzącéj do psiarni królewskiéj, nad którą opieka staremu Hoch'owi była powierzoną, rozlegały się wesołe krzyki. Ale zaledwie owocarka zwróciła spojrzenia w tamtą stronę, kiedy chwytając się obiema rękami za głowę, zawołała z przerażeniem:

— Jezu Chryste! on chyba kark skręci!

II.

Koń drewniany.

Wykrzyknięcie to poczciwéj owocarki spowodował widok sześcioletniego chłopca, nad wiek silnego i dorodnego, który wyjąwszy drążek z miotły użył go zamiast konia, wyprawiając na nim skoki i szprynce nie do uwierzenia; w około niego harcował z jaki tuzin psów polowych, a chłopak wywijając patykiem, który zamiast szpady trzymał w ręku, biegał od jednego do drugiego wołając z zaiskrzoném okiem:

— Hejże! Stamfort Bridge, występuj naprzód, a ty Hastings pilnuj tylnéj straży! Tylko w porządku! trzymać się kupy, bo za uszy! Daléj, Bouvines, Allia, Granik, jednym rzędem! Nabijaj broń! pal!

A komenderówka ta psami tak go całego zajmowała, że nie słyszał ani głosu ojca przywołującego go, żeby się przywitał z ciotką, ani widział téj ostatniéj, która załamywała ręce, lękając się żeby mu się noga nie pośliznęła, ani nawet nie zwracał uwagi na starego ułana, który przyłożywszy kij do ramienia wołał: „Hejże!

młody zuchu! przybywaj tu na komendę, przywitać starszego, który przyjechał do ciebie w odwiedziny!”

I dopiero kiedy wszyscy trzej zbliżyli się tuż do niego, Łazarz zobaczył ich:

— Tpru! Tpru!... a stójże uparciuchu jakiś, wołał, udając że z największym w świecie trudem przychodzi mu powściągnąć drewnianego konia, który niby to rozbrykawszy się, ciągle skoki wyprawiał.

Nareszcie koń stanął, Łazarz zsiadłszy z niego, postawił go przy drzewie i zawołał rzucając się na szyję Marcie:

— Wybacz kochana ciociu, ale z tym koniem trudno sobie naprawdę dać rady, taki bestya kapryśny i uparty... Widać, że zawiele dostaje owsa i muszę go wziąć na pół porcyi... A!... ojciec Malplaquet! jakie zdrowie? dawno już ojca nie widziałem.

— Ot to mi dopiero wojak! zawołał ojciec Malplaquet z serdecznym uśmiechem.

— To tak od rana do wieczora! rzekł stary Hoche zaganiając psów do stajni, i czyżby nie lepiéj zrobił, żeby zamiast wyprawiać te wszystkie hece z psami, nauczył się oporządzać ich, a to dla zastąpienia mnie, kiedy mnie Bóg do siebie przywoła. A czuję że już ta chwila niedaleka, bo starzeję się widocznie.

— Nie gadałbyś oto mantyko jakiś, rzekła owocarka, przecież ja starszą jestem od ciebie, a wcale nie myślę jeszcze o śmierci.

— Bo dzięki Bogu zdrowie ci służy, kochana siostro.

— No, mniejsza o to, pogadajmy lepiéj o tym zuchu kapralu, rzekł ułan pragnąc zmienić tok rozmowy.

— Przepraszam ojcze Malplaquet, nie kapraln ale generale, odpowiedział Łazarz podnosząc dumnie głowę.

— Jak to? już otrzymałeś nominacyą na generała? A to jakim sposobem?

— Należy mi się oddawna.

— Cicho byłbyś smarkaczu jakiś! rzekł stary Hoche.

— Ale dajże mu mówić, odezwała się Marta, ocierając chustką pot z twarzy malca; widzę koteczku, że nie masz ochoty być nadzorcą psiarni króla Ludwika XVI, bo wiedz o tém, że teraz Ludwik XVI będzie panował nad nami.

— O nie! wcale nie!

— Więc wolisz handlować owocami.

— Ale gdzież tam? To nie dla mnie.

— Jak to, taki prześliczny sklep, który staram się utrzymać jak cacko, w nadziei, że ty kiedyś go po mnie odziedziczysz. I to cię nie nęci?

— Ani krzyneczki, cioteczko kochana.

— I czemże chcesz być urwisie mały? zawołała zdziwiona owocarka.

— Już ci to powiedziałem cioteczko, chcę być generałem.

— Chyba żołnierzem?

— Najprzód żołnierzem, a potém generałem.

— A to mi rzecz! zawołał stary ułan podając rękę chłopcu; widzę kolego, że zuch z ciebie nie lada i klnę się na pamięć nieboszczyka marszałka saskiego, że w twoim wieku tak samo myślałem jak ty.

— I opowiecie nam to ojcze Malplaquet, rzekł malec, uderzając tak silnie w rękę staruszka, że aż jego drobna rączka jak rak poczerwieniała... Ale tylko czy

wy naprawdę nazywacie się Malplaquet? Bo mnie się zdaje, że to dziwne jakieś imię.

— Ot macie, zgadł od razu! rzekł stary ułan śmiejąc się.

— Bo widzicie ojcze tak się dzieje i z psami naszemi, którym ja nadaję nazwy bitw różnych, to może i was ochrzczono nazwą bitwy, w któréj uczestniczyliście.

— Nie mylisz się chłopcze.

— A pewno biliście się jak lew, ojcze? bo to widać po was!

— No, jak to zwykle na wojnie i biłem i bywałem bity!

— Ale wrogom pewno nieźle od was się dostało.

— Dostało jak dostało... zdaje mi się, że i ja oberwałem trochę.

— Tém gorzéj ojcze, w każdym razie jednak musiała to być śliczna bitwa!

— Ba, tłuczono się tam nie na żarty.

— A czy mieliście dobre miejsce, ojcze?

— Niezłe, mój chłopcze.

— Zapewne w największym ogniu.

— Tego nie mogę powiedzieć... owszem... trochę daleko od ognia!

— Daleko?.. A to z jakiego powodu?

— I nawet to wówczas oberwało mi się, jak ci powiedziałem, porządnie.

— Pewnie od kuli?

— Gdzie tam; od buta, a przytém od szabli, że aż dzisiaj ślad mi po tém został, odpowiedział ułan, macając się ręką po połach od munduru.

— Tego już wcale nie rozumiem ojcze, rzekł malec poważnie.

— Bo też zawracasz ojcu napróżno głowę, odezwał się stary Hoche, który oddaliwszy się na chwilę, powracał niosąc w ręku ogromną misę, naładowaną aż po brzegi gęstym krupnikiem, dla psów przeznaczonym.

— Ale dajże mu nagadać się do woli mój bracie, rzekła owocarka, któréj oczy aż błyskały z radości, że słyszała bratanka, tak mądrze rozprawiającego o wojnie.

— Bo ty go psujesz Marto, psujesz go wyraźnie

— Psuję go, bo mi się tak podoba.

— Ojcze, rzekł Łazarz, widząc starego Hoch'a otwierającego psiarnię dla dania psom pożywienia, Stamfort Bridge jest dziś skazany na areszt, więc nie pozwól mu wychodzić; Granik musi pozostać o chlebie i o wodzie, ale Hastings i Bouvines dobrze się zasłużyli, więc nie skąp im jadła. Spisali się jak zuchy.

— A to łotrzyk jakiś! jaką to on subordynacyą utrzymuje pomiędzy temi zwierzętami! zawołała Marta, rozkoszując się ulubieńcem.

— Stamfort Bridge! Hastings! Bouvines! co to ma znaczyć, zawoła stary ułan. Zkąd u licha wyrwałeś dla twoich psów takie imiona.

— Wyczytałem je w historyi, rzekł Łazarz.

— A do krocset bomb i kartaczów! zawołał weteran, klnę się na pamięć marszałka saskiego, że byłbym ciekawy....

— Wiedziéć dlaczego te imiona naszym psom nadałem, rzekł Łazarz. Wejdźcieno ojcze ze mną do psiarni, a dowiecie się o wszystkiém.

III.

Stamfort Bridge, Hastings, Buuvines, Trzydziestu, Tymbrea, Farsalia, Allia i Granik.

Po ognistém szczekaniu, jakiem psy przyjęły strawę przez starego Hoch'a im przyniesioną, nastąpiła nagła cisza i każdy pies zajadał z osobna swoją porcyę Łazarz więc skorzystał z tego chwilowego przestanku, żeby zabrać głos.

I podczas kiedy ojciec jego chodził od psa do psa odmierzając porcye i pilnując porządku, malec odezwał się tonem wędrownego kuglarza, który pokazuje latarnię magiczną.

— Spojrzcieno ojcze i ty cioteczko, na tego psa długiego, chudego, żółtego, z grzbietu czarnemi plamami upstrzonym. On jest z rasy saxońskiéj, jak mój ojciec przynajmniéj utrzymuje, bo co do mnie, to nie umiem jeszcze dokładnie rasy psów rozpoznawać. Nazwałem go *Stamfort Bridge* na pamiątkę bitwy pomiędzy Saxonami i Skandynawami. Ta bitwa miała miejsce w r. 1066, w hrabstwie York, w blizkości Stamfortskiego mostu. Saxoni wyszli z niéj zwycięzcami. Obok *Stamfort Bridg'a* stoi jego syn, którego nazwałem *Hastings*, bo Hastings jest dalszym ciągiem tamtéj pierwszéj bitwy. Tam znowu zwycięzcą nad Saxonami był Wilhelm Zdobywca książę Normandyi. Zostawszy królem angielskim kazał on zbudować dwa klasztory, jeden pod wezwaniem *Przenajświętszéj Trójcy*, a drugi pod wezwaniem *Ś-go Marcina z Tours...*

— Ale gdzież u licha to dziecko nauczyło się tych wszystkich mądrości? wołała owocarka, podnosząc z uwielbiem ręce do góry; to wyraźnie będzie kiedyś geniusz, prawdziwy geniusz!

— Czekaj cioteczko, czekaj, to jeszcze nie koniec na tém, rzekł mały Łazarz, przybrawszy wielce poważną i uczoną minę. Przypatrzcieno się temu psu, co ma sierść kawowéj barwy, a długie uszy czekoladowe. To znowu rasa flamandzka i dlatego nazwałem go *Bouvines*. Pod Bonvines bowiem Filip August król francuzki pobił na głowę Flamandczyków, dowodzonych przez Ferrand'a hrabiego Flandryi. A co gorsza ojcze, chociaż wygraliście bitwę pod Malplaquet, to nie wiecie zapewne, że w owym czasie walczono bez fuzyi i armat, bo jeszcze proch nie był wynaleziony.

— At! milczałbyś lepiéj smyku zamiast prawić takie baśnie, rzekł stary ułan, proch istniał odkąd świat stoi do stu tysięcy bomb i kartaczy.

Na te słowa Łazarz parsknął śmiechem.

— Co? proch? Ależ przecie pierwszy raz go użyto do wojny w r. 1338.

— A jakąż bronią ludzie przedtém wojowali? zapytał ojciec Malplaquet.

— Różnie to bywało, używano mieczy tak ciężkich że dla posłużenia się niemi trzeba je było oburącz trzymać; oprócz tego były w użyciu włócznie, topory, maczugi i sztylety o szerokich klingach, którémi dobijano nieprzyjaciół leżących na ziemi.

— Do stu tysięcy fur beczek bomb i kartaczy! zawołał stary ułan, to w tym czasie, o którym mówisz i ja nie mógłbym był zakląć jak się należy, kiedy bomb

wcale nie było... Dalipan zabawny ten wasz malec, mówił daléj odwracając się do owocarki.

— Zabawny! To także dużo powiedziałeś ojcze Malplaquet, rzekła owocarka, coraz bardziéj zachwycona swoim ulubieńcem; on nie zabawny, ale uczony całą gębą. Mów daléj aniołku i chociaż nie rozumiem nic a nic z tego wszystkiego, co nam tu prawisz, zawsze jednak miło mi słyszeć, że takie mądre rzeczy z ust twoich wychodzą.

Więc Łazarz mówił daléj:

— Temu psu małemu, krótkiemu, zwięzłemu w karku, podobnemu do krowy bretońskiéj, dałem nazwę *Trzydziestu*, a to na pamiątkę wielkiéj bitwy stoczonéj zwycięzko w r. 1351 przez trzydziestu rycerzy bretońskich z takąż liczbą rycerzy angielskich... Co się zaś tycze tego buldoga, który warczy tak zajadle nie dozwalając żadnemu psu zbliżyć się do stojącéj przed nim miski z jadłem, nazwałem go *Tymbreą*, bo tak się zowią szerokie płaszczyzny w Lidyi, gdzie się odbył walny bój pomiędzy Cyrusem a Krezusem, na pięćset czterdzieści ośm lat przed narodzeniem Chrystusa Pana, Zwycięztwo odniósł Cyrus, a Krezus musiał się zamknąć w swojém stołeczném mieście zwaném Sardami, gdzie go Cyrus obległ. *Tymbrea* jest najstarszym psem z całéj psiarni, a po nim z porządku następuje *Farsalia*, suka, tak zwana od bitwy, która Cezarowi panowanie nad światem, a Pompejuszowi śmierć przyniosła, jak to czytamy w historyi.

— Czy wiecie matko Marto, że ten smyk daleko zajedzie, rzekł ułan częstując tabaką owocarkę, podczas kiedy Łazarz nabierał tchu do dalszego opowiadania.

— Oj macie słuszność ojcze Malplaquet, wielką

słuszność, zawołał chłopak podnosząc głowę z miną butną i zobaczycie co to będzie, niechno tylko dostanę prawdziwego konia, zamiast tego kija od miotły, z którym trudno dać sobie rady.

— Jezu Chryste! krzyknęła owocarka, czego mu się to zachciało? Żywego konia! A to już chyba umarłabym naprawdę ze strachu, bo i tak ledwie patrzyć mogę na te figle, które na drewnianym koniu wyprawiasz.

— No, no, dajcie mu pokój matko, niech sobie gada co mu ślina do ust przyniesie, ale jak zobaczy btwę naprawdę, to...

— To się będę bił naprawdę, zawołał Łazarz.

Ale ułan mówił daléj zapomniawszy się trochę:

— To gotów poszukać najciaśniejszéj dziury, żeby się schować, jak ja to podczas pierwszéj mojéj bitwy uczyniłem.

— To w ten sposób biliście się pod Malplaquet ojcze? zawołał Łazarz z taką żywością, że weteran pośpieszył się mu odpowiedziéć:

— No, jest może trochę przesady w tém co mówiłem, ale nie chcę tu przed wami fanfaronować, i mogę przyznać, że najpiękniejszą chwilą bitwy jest, kiedy się zdrowym i całym z niéj powraca

— A to wstyd na żołnierza! zawołał zgorszony Łazarz.

— Nikt mój chłopaczku nie wstydzi się prawdy, rzekł stary ułan zażywając zwolna spory niuch tabaki, i trudno się rodzić na świat od razu bohaterem.

— Ale i tchórzem przecież nikt się od razu nie rodzi! zawołał chłopiec. A to dopiero! I ja głupi, jednego ze szczeniaków ulubionéj mojéj suki, co się wła-

śnie przed trzema dniami narodził, chciałem jak raz nazwać Malplaquet.

— A to go sobie nazwij, któż ci przeszkadza?

— Ba, nim to zrobię, muszę przecież wiedziéć, jak się ta bitwa odbyła, a jeżeliście jéj nie widzieli ojcze, to nie możecie mi przecież opowiedziéć o niéj.

— Jakto? czy widziałem tę bitwę? widziałem najdoskonaléj i na dowód tego nawet otrzymałem w niéj ranę.

— Ranę, a gdzie? Czy w głowę, w piersi, czy w brzuch?

— Nie, gdzieindziéj, odpowiedział ułan z najzimniejszą krwią.

— No, teraz kiedy psy moje podjadły, to i my możemy pójść za ich przykładem, rzekł ojciec Hoche zbliżając się do siostry. Chociaż doprawdy nie wiem czy po takiéj smutnéj wiadomości jak ta, którą mi udzieliliście, dodał z westchnieniem, będę mógł ponieść co do ust.

— A pięknie prosisz nas na obiad, rzekła owocarka; mnie się zdaje, że takim samym tonem mógłbyś nas na pogrzeb zaprosić. Ale gdzie to idziesz chłopcze? mówiła daléj zatrzymując Łazarza, który zrobił poruszenie, jak gdyby chciał oddalić się.

— Idę po mojego konia, rzekł Łazarz, odwiązując kij od miotły, który wchodząc do psiarni przytwierdził rzemieniem do drzewa, ni mniéj ni więcej, jak gdyby to był z prawdziwym koniem uczynił.

— Dajże pokój temu kijowi bratanku, zawołała Marta; zobaczysz, że jak zaczniesz na nim harcować po swojemu, jeszcze ci się co złego stać może.

— A przecież generał nie może piechotą chodzić,

odpowiedział mały Hoche, wskazując na kij i udając, że z wielkim trudem przychodzi mu doprowadzić tego rumaka do spokojności.

Nagle, kiedy już miał zamykać psiarnię, ojciec Hoche począł przeglądać swoje psy po jednemu i nie znalazłszy zapewne tego, którego szukał, zawołał:

— Gdzie jest Moloch? Nie widzę tu Molocha?

— Skazany na śmierć, odpowiedział Łazarz.

— Jakto na śmierć? Ulubiony pies króla! zawołał stary Hoche. Czyś oszalał chłopcze?

Ale Łazarz odpowiedział jaknajspokojniéj:

— Ułaskawiłem go wprawdzie od kary śmierci, ale zasadziłem go do aresztu na ośm dni o chlebie i o wodzie: i z tego powodu nawet wziąłem go na postronek, żeby nie mógł zjeść obiadu wraz z drugiemi.

— Ależ trutniu jakiś! zawołał stary Hoche, któremu gniew kazał zapomnieć o smutku, jaki na nim wiadomość o śmierci królewskiéj sprawiła; chyba chcesz, żebym utracił miejsce, które ci wraz ze mną chleb zapewnia! Pakować do aresztu najulubieńszego psa królewskiego!... Nie... ten nieznośny dzieciak chyba mnie o śmierć przyprawi!

— Nie mów tego o moim bratanku, rzekła owocarka, która wraz z resztą towarzystwa wyszedłszy z psiarni podążyła w stronę mieszkania starego Hoch'a. A odwracając się do chłopca, dodała ciszéj:

— Czemużeś wpakował tego psa do aresztu?

— Bo zasłużył na to, cioteczko.

— A cóż uczynił? rzekł ułan mieszając się do rozmowy.

— Postąpił sobie jak tchórz.

— Opowiesz nam to przy obiedzie, rzekła owo-

carka, ale na miłość Boską nie dokazuj tak z tym swoim kijem, bo umieram ze strachu.

— Zaszli nareszcie przed drzwi mieszkania. Łazarz zeskoczył ze swojego konia i zawołał, jak gdyby miał lokaja na usługi:

— Paziu, odprowadź konia do stajni, a przeprowadź go zwolna, bo bardzo jest zmęczony i dasz mu tylko pół porcyi owsa. Trochę zanadto bryka, aż przestraszył moją ciotkę.

I idąc za owocarką, która śmiała się do łez, rzekł do niéj poważnie:

— Widzisz cioteczko, że nie miałaś słuszności lękać się o mnie, bo jestem zdrów i cały, i tylko umieram z głodu.

— Jazda na koniu to zdrowa rzecz, zwłaszcza kiedy koń drewniany, rzekł stary ułan.

— Ale Łazarz nie odpowiedziawszy ani słowa, wzruszył tylko ramionami.

IV.

Jak się sprawił Moloch w swojéj bitwie, a stary ułan w swojéj.

— A teraz mów, słuchamy cię, rzekła Marta do bratanka kończącego obiad.

— Sami osądzicie czy mam słuszność, odpowiedział Łazarz. Właśnie co ustawiłem moich żołnierzy w szyku bojowym...

— Chyba psów chcesz powiedzieć, przerwał stary Malplaquet, zapaliwszy fajkę i z kolei to popijając łyk

wódki z kieliszka, to znów wyrzucając z ust gęsty kłąb dymu.

— Proszę mi nie przeszkadzać mości żołnierzu marszałka saskiego, bo mi przerwiesz cały ciąg opowiadania, a wiem jak się mówi o takich rzeczach, bom nauczył się od tego sierżanta gwardyi królewskiéj, który przyrzekł, że mnie zaciągnie do swojego pułku, jak tylko podrosnę trochę... Ustawiłem więc moich żołnierzy w szyku bojowym, na polance, wprost drogi do Wersalu prowadzącéj; Stamfort Bridge był wodzem nieprzyjaciół, a ja dowodziłem Francuzami. I w chwili kiedy już miałem wydać hasło do boju, a żołnierze moi gotowi byli do rzucenia się na nieprzyjaciół, ten tchórz Moloch, którego jak raz tego samego rana awansowałem był na kaprala, zwinął ogon pomiędzy tylne nogi i począł zmykać jak zając. Więc biegnę za nim, ale dojrzawszy pogoni Moloch jeszcze silniéj zrywał się do ucieczki; ponieważ zaś przeszkadzał mi w biegu mój koń drewniany, zaczepiający się co chwila o każdy krzak przy drodze, nie mogłem zbiega dogonić. I widocznie Moloch, który smyrgał jak oparzony, zyskiwał ciągle pola przedemną, aż nareszcie znikł mi z oczów. Więc przystanąłem, gwizdam, wołam, ale widząc, że nie przychodzi, począłem szukać na nowo. I zgadnijcie téż gdzie tego podłego tchórza znajduję? Oto za stogiem siana, gdzie ukrył się z wielkiego strachu.

— To zupełnie jak ja w bitwie pod Malplaquet, zawołał pomimowolnie stary ułan, uderzając pięścią w stół.

Łazarz rzucił na ułana wejrzenie pełne pogardliwego zdziwienia i mówił daléj:

— Mój przyjaciel sierżant gwardyi królewskiéj.

— To ty masz przyjaciela w gwardyi królewskiéj? zawołała owocarka z pewnym wyrazem dumy w głosie.

— Tak cioteczko i to jeszcze bardzo wielkiego przyjaciela, bo wyższy wzrostem od ojca, a tak zawsze pięknie i czysto ubrany i opięty, że aż miło spojrzeć.

Na te słowa wszyscy wybuchli śmiechem, a nawet ojciec Hoche pomimo całego swojego zmartwienia, nie mógł się od śmiechu wstrzymać. Łazarz poczerwieniał na twarzy.

— Przecież nie ma nic tak śmiesznego w tém co mówię, rzekł.

— Ha, ha, ha, wołała owocarka, ha, ha, ha, powtarzała trzymając się aż za boki z wielkiego rozweselenia. Jak widzę smarkaczu, to ci się tylko podobało w tym sierżancie, że jest pięknie ubranym i opiętym.

— A wszakże każdy żołnierz tak być powinien, odpowiedział Łazarz, bo czystość jest także wielkim przymiotem żołnierskim. Ale to nie przeszkadza, że mój przyjaciel w razie danym odważny jest jak lew.

— I kto ci o tém powiedział?

— On sam!

— No to i dobrze, możesz mu wierzyć na słowo. Ale kończno twoją historyą o psie, mówił daléj stary ułan, wytrząsając zagasłą fajkę i napełniając ją znowu tytoniem.

— Ot lepiéj wy ojcze opowiedźcie nam waszą bitwę pod Malplaquet, rzekł stary Hoche, kładąc oba łokcie na stół i opierając brodę na rękach dla lepszego przysłuchiwania się opowiadaniu; bo ja pod tym względem jestem trochę jak mój malec, lubię historye o bitwach.

— Na duszę nieboszczyka marszałka saskiego, któ-

ry umarł już blisko dwadzieścia cztery lat temu, mogę przyznać tu przed wami, że mi się w téj bitwie nieźle jak na pierwszy raz oberwało... Ale jeżeli pozwolicie, to zacznę to moje opowiadanie trochę z góry.

I to powiedziawszy zapalił fajkę, którą dopiero co sobie był nałożył, wychylił ostatki łyk wódki, i postawiwszy próżny kieliszek na stole, począł mniéj więcéj w ten sens opowiadać:

V.

Jakim sposobem można być obecnym w bitwie nie biorąc w niéj udziału, i otrzymać ranę nie walcząc wcale.

— Trzeba więc wam wiedziéć, że tak marszałek saski jak i ja urodziliśmy się w Dreznie d. 19 października 1696 r.

— A więc obecnie ojcze Malplaquet, liczycie siedmdziesiąt ośm lat wieku, rzekł Łazarz porachowawszy szybko na palcach.

— Piękny wiek! odezwał się Hoche.

— Co to za genialne dziecko! zawołała owocarka, zajęta wyłącznie ulubieńcem swoim.

Tymczasem stary ułan mówił daléj:

— On urodził się w najpiękniejszéj zamkowéj komnacie, za to ja w najbrzydszéj. On był synem Augusta II króla polskiego i elektora saskiego i hrabiny Aurory de Koenigsmarck, która pochodziła z jednéj z najznakomitszych rodzin szwedzkich, mojemi zaś rodzicami byli stajenny królewski i pomywaczka, posłu-

gująca w kuchni hrabiny. Ponieważ jednak obaj w jednym dniu się urodziliśmy, postanowiono nie rozłączać nas i dzieliłem tak i zabawy i nauki młodego hrabiego Maurycego. A skorzystałem daleko więcéj ź zabaw aniżeli z nauk, bo dziwna rzecz, miałem zawsze wielki popęd do przepędzania czasu w bezczynności.

— A jakież to były te zabawy hrabiego Maurycego? zapytał mały Hoche, który ze szczególną uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu staruszka.

— Bił się od rana do wieczora z każdym kogo tylko mógł wyciągnąć na tę nieznośną bijatykę, odpowiedział ojciec Malplaquet.

— I z wami ojcze także?

— Ale gdzież tam, ja byłem tylko sędzią pojedynków... I mogę śmiało powiedzieć, że na całéj ziemi nie było szczęśliwszego odemnie, kiedy pewnego dnia (a właśnie ukończyliśmy wówczas dwanaście lat wieku) hrabia Maurycy wziął mnie na stronę i rzekł:

— Fritzu (wówczas wszyscy jeszcze nazywali mnie Fritzem), czy chcesz, żebyśmy razem wyprawili dzielnego psikusa?

— Dobrze, odrzekłem, byleby tylko mi się nic nie oberwało.

— Niedołęgo! odpowiedział (kochane dziecię! zdaje mi się, że go dziś jeszcze słyszę), niedołęgo! nigdy więc nie pozbędziesz się swojego tchórzostwa. Ale słuchaj, rzecz idzie o to: Ojciec mój służy jako ochotnik w obozie sprzymierzonych, którzy stoją pod Lille, trzymając to miasto w oblężeniu. Musimy więc przedostać się koniecznie do mojego ojca.

— Ale bo to...

— Nie ma żadnego ale, ja tak chcę i kwita. Dziś

w nocy oddalam się z zamku piechotą, a ty pójdziesz ze mną.

— Bo...

— Jak jeszcze bąkniesz słówko, to dostaniesz po karku.

A trzeba wiedzieć, że to był jeden z jego głównych argumentów, któremu ja nigdy nie umiałem się oprzeć i on wiedział o tém dobrze...

Ale proszę cię Hoche, nalejno mi jeszcze wódki, bo dziwna rzecz jak przy opowiadaniu zasycha mi w gardle, przerwał sobie ułan podając kieliszek nadzorcy psów królewskich, który napełnił go aż po brzegi i toż samo uczynił ze swoim, zapewne przez gościnność.

— No i cóż? rzekł Łazarz zniecierpliwiony tą przerwą.

Więc ułan łyknąwszy trochę wódki, mówił daléj:

— Ruszyliśmy więc na piechotę, a że młode nogi nie tyle czują znużenia co starsze, darliśmy nie żartem. Aż wreszcie przybyliśmy przed Lille. Król August ucieszony naszym widokiem powierzył nas generałowi Schulenburgowi, który dowodził wojskiem saskiem i pierwszą naszą rozprawę mieliśmy z tymi samymi Francuzami, z którymi potém z taką chwałą przyszło nam walczyć pod jedną chorągwią. To jest ma się rozumiéć, kiedy mówię *my*, idzie mi głównie o marszałka saskiego, a nie o mnie.

— Łatwo to pojąć, odrzekł Łazarz z lekkiém poruszeniem głowy, które miało niby znaczyć: Nie miałeś powodu, mój dobrodzieju, dodawać tego wyjaśnienia, bo już teraz wiem dokładnie co o tobie mam trzymać.

— Nikt się ciebie smarkaczu o zdanie nie pyta,

rzekł ułan, ciągnąc dalej swoje opowiadanie. Dokazywaliśmy więc cudów waleczności...

— Naturalnie, że zawsze tylko mowa tu o hrabi Maurycym, przerwał Łazarz.

— Ma się wié, że tylko o nim, odpowiedział staruszek popijając wódkę. Ale naprawdę to dopiero potém okryliśmy się chwałą, co się zowie. A liczyliśmy podówczas trzynaście lat wieku.

— Zawsze hrabia Maurycy! rzekł Łazarz.

— Nie przeszkadzaj błaźnie, albo poślę cię do aresztu razem z Molochem, rzekł ojciec Hoche, rzucając surowe spojrzenie na syna.

— Już milcz teraz, potém będziesz mógł mówić co ci do głowy przyjdzie; szepnęła ciotka Marta do ucha ulubieńcowi.

— Wtedy właśnie wypadła owa sławna bitwa pod Malplaquet. Więc uważajcie tylko dobrze: Marszałek de Villars dowodził Francuzami, nasze zaś wojsko daleko liczniejsze od nieprzyjacielskiego i złożone prawie ze starych żołnierzy, było pod dowództwem książąt Eugeniusza i Marlborough'a. Marszałek de Villars okopał się był w pewnéj odległości od miasta Tournay, w miejscowości zwanéj *Malplaquet.* Na godzinę przed bitwą hrabia Maurycy zawoławszy mnie do siebie, rzekł: „Jesteśmy jeszcze dziećmi i nikt nie będzie zważał na nas, więc pójdźmy rozpatrzeć trochę forpoczty nieprzyjacielskie." Ja przystałem na to, bo już układałem z góry jak mam sobie postąpić, więc ruszyliśmy z obozu, a hrabia Maurycy przypatrując się Francuzom, mówił:

— Patrzaj, jacy słabi w tém miejscu, a tutaj fortyfikacye wcale nie tęgo urządzone.

Moją zaś uwagę zwracały jedynie dwa czy trzy ogromne stogi siana, jak raz ułożone pomiędzy dwoma obozami.

— Czyś się przypatrzył dobrze? zapytał hrabia Maurycy.

— Tak, odpowiedziałem.

I wróciliśmy do obozu, a w godzinę potém Francuzi szli już do ataku.

— Tylko się mnie trzymaj! zawołał hrabia Maurycy.

I widzę go rzucającego się po szalonemu w najstraszniejszy wir bojowy. A rąbał co się nazywa, powiadam wam, że aż miło było patrzéć; co się zaś mnie tycze, dobrze już oznaczyłem sobie w głowie miejsce, gdzie stały owe stogi siana, więc nie namyślając się długo, pomimo niebezpieczeństw jakie mnie otaczały i śmierci, która mi ze wszech stron groziła, z bohaterską można powiedziéć odwagą rzuciłem się za te stogi, a widząc wzrastające coraz bardziéj niebezpieczeństwo i bój coraz więcéj srożący się, ukryłem głowę w sianie, i tak zabezpieczony oczekiwałem dalszych wypadków. A oba wojska walczyły jak lwy, i chociaż szczęście nam posłużyło, od tego jednak dnia powziąłem wielki szacunek dla wojska francuzkiego. Wystawcie bowiem sobie, walczyli oni jeden przeciw dwóm, bo jak wam to już powiedziałem, nas była podwójna liczba, a jednak ani na krok nie ustępowali. I chociaż przez cały dzień nic nie jedli, rzucali jednak chleb, który im rozdawano, żeby im nie przeszkadzał w walce. Każdy z nich wolał dać się porąbać w kawałki, aniżeli poddać się. Nareszcie marszałek de Villars otrzymał dość niebezpieczną ranę i to właśnie rozstrzygnęło los boju; ale marszałek

de Boufflers, który objął po nim dowództwo, uskutecznił rejteradę w tak wielkim porządku, że nie mogliśmy zabrać ani jednego jeńca nawet. Stracili oni zaledwie ośm tysięcy ludzi tak zabitych jak rannych, podczas kiedy nas padło do dwudziestu tysięcy, nie rachując mnie.

— Jakto nie rachując was ojcze Malplaquet? Więc otrzymaliście ranę w téj bitwie? A to jak i kiedy, jeżeli wolno zapytać? odezwał się mały Hoche trochę przedrwiwająco.

— Ranę, z powodu któréj nie mogłem przez całe ośm dni usiąść na stołku, odpowiedział stary ułan.

— A to jakim sposobem?

Ale wyśmiewający ton dziecka żadnego nie wywierał wpływu na starym weteranie, który odpowiedział z wszelką prostotą:

— Stało się to wieczorem; już bitwa oddawna się skończyła i widocznie myślano żem zginął, bo szukano mnie pomiędzy trupami, kiedy hrabia Maurycy przechodząc wypadkiem po za jednym ze stogów, spostrzegł mnie, to jest mówiąc jaśniéj, spostrzegł jedną połowę mojego ciała od strony nóg, bo druga połowa od strony głowy była ukryta w sianie. Więc może z gniewu, a może dlatego, że kto się raz w boju dobrze rozmacha, temu już niepodobna tak łatwo się powstrzymać, zawoławszy na mnie i nie otrzymując odpowiedzi, uraczył mnie w najbardziéj mięsistą część ciała tak silném uderzeniem nogi, że aż mi tysiące świeczek w oczach się zaiskrzyło. Ale nie dość na tém: widząc że pomimo tego kopnięcia stoję nieruchomy jak drewno, wymierzył w to samo miejsce cios szablą, co mnie rozbudziło

z mojéj odrętwiałości i zrobiłem ogromnego susa, podtrzymując obiema rękami zranioną część ciała.

— Idź kazać się opatrzeć, rzekł zimno hrabia.

I od tego czasu, koledzy moi wiedząc, że otrzymałem ranę w bitwie, nie zapytawszy się nawet, którą część ciała miałem zranioną i czyja dłoń mnie ugodziła, przezwali mnie od nazwy bitwy: Malplaquet.

— Jeszcze jedno pytanie waleczny ojcze, rzekł Łazarz, któremu uchodziło wiele rzeczy z powodu młodocianego wieku i miłości, jaką go ciotka otaczała; powiedzcie mi, jakim sposobem z miejsca gdzie byliście ukryci, mogliście tak dobrze widzieć, co się działo pomiędzy obiema armiami?

— Rozpowiedziano mi to późniéj, odpowiedział stary ułan wytrząsając fajkę i nic nie straciwszy z powagi swojéj.

VI.

Marszałek saski i ja.

— Ale hrabia Maurycy, który was tak pięknie zdzielił szablą i kopnięciem nogi...

— To jest najprzód kopnięciem, a potém szablą, ojcze Hoche, zauważył ułan.

— Niech tak będzie kiedy chcecie, najprzód kopnięciem a potém szablą; on musiał przecie bić się dobrze.

Ułan mówił daléj z zimną krwią, prawdziwie niemiecką:

— Dokazywaliśmy istnych cudów waleczności i widziano nas zawsze tam, gdzie największe było niebez-

pieczeństwo. Jednėm słowem cała armia była zdumioną, widząc trzynastoletnie dziecko zachowując krew zimną w pośród rzezi tak straszliwéj, bo najstarsi nawet żołnierze nasi nie pamiętali tak krwawéj bitwy; i to sprawiło, że król August posłał nas walczyć przeciwko Szwedom i dał nam nawet w dowodztwo pułk kawaleryi... Ale co to znaczyło dla nas pułk: tak doskonale manewrowaliśmy nim, że w kilku bitwach wszyscy ludzie wyginęli co do jednego i powróciliśmy do Saxonii, żeby się zająć zaciągiem nowych żołnierzy... A liczyliśmy podówczas piętnaście lat... tak jest, piętnaście lat, i ożeniono nas...

— Zdaje mi się, żeście powiedzieli, iż nigdy nie mieliście żony, ojcze Malplaquet? zagadnęła owocarka.

— To téż kiedy mówię *my*, to ma się rozumieć hrabia Maurycy, odpowiedział ułan. Biliśmy się z wszystkiemi narodami, a głównie z Francuzami, kiedy pewnego razu w r. 1720, zabraliśmy znajomość z hrabią de Charolais i księciem de Dombes, dwoma panami francuzkimi, którzy nam się tak podobali, żeśmy nabrali dobrego usposobienia dla Francyi i pojechawszy do Paryża przedstawiliśmy się tam księciu Orleańskiemu regentowi, który nas przyjął jako prawdziwych bohaterów; bo też zasługiwaliśmy na takie przyjęcie. I klnę się na duszę nieboszczyka marszałka saskiego, żeśmy wygrali tyle bitew, iż nawet policzyć je byłoby trudno, a sława nasza rosła w tak nagły sposób, że pewnego razu w teatrze Opery w Paryżu, artystka występująca w roli *Zwycięztwa*, uwieńczyła nas publicznie, przy rzęsistych oklaskach tłumnie zgromadzonych widzów. Panował już wówczas król Ludwik XV. Ten monarcha ogłosił nas Francuzami i udzielił nam listy naturaliza-

cyjne, w których oddano całą sprawiedliwość wysokim naszym przymiotom i znakomitym usługom, jakie wyświadczyliśmy Francyi.

— Czy to był przystojny człowiek, ten wasz marszałek? zapytała Marta.

— Ba, nietylko przystojny, ala można powiedzieć cudnéj urody. Bo to wysoki, prosty i smukły jak sosna, oczy niebieskie, spojrzenie śmiałe i przenikliwe, a uśmiech tak miły, że aż chwytało za serce, gdy się uśmiechnął do kogo; a przytém tak silny, że w całém naszém wojsku siła jego poszła w przysłowie. Wystawcie sobie, że łamał na dwoje podkowy końskie, a nawet srebrne talary i to bez żadnego wysilenia, tak jak ja oto w téj chwili łamię to źdźbło słomy, a z wielkich bretnali kręcąc je tylko w palcach, robił grajcarki. I pewnego dnia, a choćbym żył i sto lat będę to pamiętał, przechodząc piechotą przez jednę z ulic londyńskich, został obrażony przez jakiegoś przechodnia. Więc odwrócił się tylko i porwawszy tego człowieka za ramię uniósł go w powietrze, i rzucił w kary z błotem przejeżdżające przez ulicę. Trzeba też było widzieć jaki to wzbudziło zapał w tych poczciwych Anglikach. Przyklaskiwano nam jak w teatrze.

— I ten dzielny człowiek umarł już? rzekła smutnie owócarka.

— I to w chwili, kiedy nam się najlepiéj wiodło: bo powróciliśmy do Francyi i król kazał nam zbudować w Chambord koszary dla naszego pułku ułanów. Sześć armat i ośm chorągwi, zdobytych na nieprzyjaciołach Francyi, stroiło przedsionek zamkowy. A u samych bram Paryża, posiadaliśmy dwie przepyszne wille zwane *La Grange* i *Les Pipes*, do których jeździliśmy

na wypoczynek. Ale cała ta pomyślność znikła jak dym marny. Zdrowie marszałka już było się znacznie poprawiło i wszystko zdawało się wróżyć nam, że długo jeszcze pożyjemy w błogim spokoju i dostatkach, kiedy przyszła zgniła gorączka, która w d. 30 listopada 1750 r., zabrała nas do wieczności; a liczyliśmy dopiero pięćdziesiąt cztery lat wieku. Ale ponieśliśmy śmierć z tą samą stałością i nieustraszonością, jakiéj daliśmy dowody w tylu bitwach. Skoro tylko król dowiedział się o niebezpieczeństwie, w jakiém się znajdowaliśmy, posłał do nas Senac'a, swojego nadwornego doktora, ale my powiedzieliśmy mu: „*Doktorze! życie jest tylko snem, a mój sen był piękny chociaż krótki.*" I wydaliśmy ostatnie tchnienie.

— Dlaczegóż mówicie tak ciągle my, ojcze Malplaquet? rzekł mały Hoche zwracając się do ułana, który skończywszy swoje opowiadanie siedział milczący, pykając ciągle z fajki, chociaż ona oddawna już zagasła.

— Bo widzisz kochany chłopcze, serce moje zamarło wraz z marszałkiem, a kiedy serce zamrze, to można powiedzieć i o człowieku, że umarł także.

— Ale przecież zostawił ci z czego żyć staruszku? zapytał stary Hoche.

— Tak, zostawił mi tyle, że mogę jeszcze bardziéj go żałować, ojcze Hoche: zostawił mi tysiąc dwieście franków dochodu... biedny mój pan!

— Otóż i noc, trzeba nam powracać do Paryża, rzekła owocarka, która sama tylko z obecnych zachowała swój wesoły humor. Więc poszła zaprządz konia do bryczki, poczém pożegnawszy się z bratem i ucałowawszy po kilkakrotnie małego Łazarza, któremu wsu-

nęła do ręki nowiusieńkiego franka, wsiadła do bryczki wraz ze starcem i zaciąwszy silnie konia biczem, puściła się w drogę do Paryża prowadzącą.

VII.

Dziecko z którego nigdy nic nie będzie.

W kilka dni po tych odwiedzinach, stary Hoche ze smutną miną i posępném wejrzeniem zgłosił się do Paryża do siostry.

— Dzień dobry! siostro, rzekł rzucając się ze zwieszoną głową w pierwsze lepsze krzesło.

— Święta Panno Nazareńska! co się stało z Łazarzem? zawołała przestraszona owocarka.

— Uspokój się siostro, nic się nie stało Łazarzowi, tylko mnie i moim psom.

Marta odetchnęła swobodniéj.

— No, kiedy tak, to dobrze, rzekła naiwnie.

Ale poprawiła się zaraz:

— I cóż takiego wydarzyło ci się bracie? zapytała.

— A nic, tylko to, że z tego malca nie będę miał żadnéj pociechy, i że znowu nabawił mnie wielkiego zmartwienia.

— A to jakim sposobem?

— Bo muszę ci to już raz powiedzieć siostro, ty psujesz tego smarkacza, widzisz w nim same doskonałości, i Bóg wié nie jaką już świetną przyszłość jemu zapowiadasz: że będzie miał pierwszy handel owocowy w Paryżu, że stanie się dostarczycielem jarzyn do stołu królewskiego, słowem kto tam może zliczyć co ci prze-

chodzi przez głowę. A ja ci powiadam Marto, że ten chłopak nie będzie owocarzem, ani nadzorcą stajni, że wyrośnie na nicponia, latawca i łotra, oto moje zdanie.

— Masz tobie! odpowiedziała przedrwiwając owocarka, a zkądże to wywróżyłeś dla niego taką przyszłość, panie bracie?

— Widzę to po tém jego obrzydłém usposobieniu do hałasu, bitw i wszelkiego rodzają psich figlów. Bo dziecko, które całe dnie przepędza na koniu drewnianym...

— Poczekajno! niech tylko dorwie się prawdziwewego, odrzekła Marta.

— Taki smarkacz, który nadaje nazwiska moim psom i dowodzi niemi, jak gdyby żołnierzami...

— Bo nie ma jeszcze prawdziwych żołnierzy do dowodzenia niemi.

— A większy hałas czyni w domu niż wszystkie psy razem...

— Zobaczysz, że jak wyrośnie, to więcéj hałasu jeszcze czynić będzie.

— Dziękuję; mam już tego po uszy. Jedném słowem nie wytrzymam dłużéj i przychodzę tutaj zaproponować ci coś, pani siostro.

— Mów bracie, słucham cię.

— Kiedy tak kochasz swojego bratanka i znajdujesz, że on we wszystkiem tak dobrze postępuje, to weź go sobie na wychowanie.

— Ja!

— Zapłacę ci za niego ile będzie trzeba.

— Zapłacisz!.. ale chyba oszalałeś bracie?

— Jeżeli ci moja propozycya nie przypada do smaku, to mniejsza o to, oddam go do szkoły wiejskiéj.

— Ot znowu! jużby tego tylko brakowało: oddawać twojego syna, mojego bratanka, takiego dzielnego chłopca, do szkoły wiejskiéj, żeby się tam uczył z synami chłopskiemi! A to dopiero pięknaby rzecz była, i dużoby tam mógł się nauczyć!

Ale przecież nie mogę go tak daléj trzymać u siebie.

— A któż ci mówi, żebyś go u siebie trzymał?

— Kiedy ty sama nie chcesz wziąć go na wychowanie?

— Ot masz znowu! Chcę, chcę i po sto razy chcę! Ale ci go już nie oddam i nie pozwolę, żebyś za niego płacił: będę ciągle patrzeć na niego, jak się będzie uwijał pomiędzy mojemi kartoflami, marchwią i kapustą... A przytém będę go sama daléj wprawiać w czytanie.

— O co tu idzie? zapytał wchodząc stary ułan.

— Dzień dobry ojcze Malplaquet! rzekł Hoche podając rękę weteranowi.

— At! gadamy tu o moim bratanku, o małym Łazarzu, odezwała się Marta.

— O tym generale psów?

— Który będzie kiedyś prawdziwym generałem, ojcze Malplaquet, wspomnisz moje słowo.

— Ta, ta, ta, ta, nie taka to łatwa rzecz jakby się zdawało, matko Marto. Ot ja naprzykład, służę już w wojaku od sześćdziesięciu pięciu lat, a ciągle jessem żołnierzem, wprawdzie ułanem, co ma swoje znaczenie, ale zawsze tylko w stopniu żołnierza.

— Bo nigdy nie był wielki zuch z ciebie, ojcze Malplaquet.

— Ba, nie przeczę temu pani Marto, rzekł ułan

nakładając najspokojniéj fajkę; wprawdzie odwaga, to jedyna rzecz na jakiéj mi zbywało... bo zresztą najlepszy ze mnie w świecie był zołnierz.

— No, bracie, rzekła owocarka zwracając się do nadzorcy psów, chceszże mi więc naprawdę oddać malca?

— Naprawdę, siostro!

— A ja go nauczę wszystkiego tego co umiem, i tego nawet czego nie umiem.

— Więc do widzenia siostro. Bywajcie zdrowi ojcze Malplaquet, zobaczymy się wkrótce.

— I to powiedziawszy stary Hoche wyszedł na ulicę.

VIII.

Już nie drewniany, ale inny koń występuje na plac.

— Czy nie ma u ciebie miotły cioteczko? rzekł Łazarz, przeszukawszy starannie cały skład owocarki dla wynalezienia tego upodobanego narzędzia.

— Jest i nie jedna, rzekła Marta uśmiechając się.

— Tak, ale wszystkie bez kijów.

— Słuchujno Łazarzu, odezwała się poważnie ciotka, możesz zabierać ztąd co tylko ci się żywnie podoba: głowy kapusty, marchwie, kalafiory nawet, ale nie dam ci żadnego konia drewnianego, bo doprawdy nie mogę patrzeć, jak się narażasz tą twoją jazdą.

— W téj chwili stary ułan wszedł do sklepu i Łazarz porwawszy mu kosturek z ręki, wsiadł na niego.

— Hejże naprzód! zawołał obleciawszy sklep cały i jednym susem wysunął się na ulicę. Dziękuję wam

ojcze Malplaquet, zakrzyknął ztamtąd, wasz koń jest wyborny, żywy jak skra, tak że trudno go nawet utrzymać.

I młody jeździec znikł wkrótce na zakręcie ulicy pomimo wyrzekań owocarki, która powtarzała ciągle:

— Święta Panno Nazareńska! A to plaga prawdziwa! On gotów kark skręcić.

Ale młody Łazarz, moje dzieci, nie skręcił wcale karku. Był on równie zręczny jak pojętny, a chociaż jazdą swoją na koniu drewnianym nabawiał strachu starą ciotkę, z drugiéj znów strony był dla niéj wielką pociechą przez pilność, z jaką przykładał się do nauki, i żądzą dowiedzenia się o wszystkiém.

A kiedy podrósł trochę, porzucił konia drewnianego dla poważniejszych nauk i cieszyło to bardzo poczciwą jego ciotkę, kiedy pewnego dnia ujrzała go zajeżdżającego przed sklep, już nie na koniu drewnianym, ale na prawdziwym wierzchowcu, przystrojonym w wojenny mundurek gwardyi królewskiéj.

— Jezu Marya! zawołała owocarka, teraz to już chyba nie wiem co się stanie ze mną? Gdzie się to wybierasz w tym stroju wojskowym?

— Kochana ciotko, odrzekł Łazarz, mam lat szesnaście i nie jestem już dzieckiem: nie chcę być dłużéj tobie ciężarem i przychodzę zawiadomić cię, że się zaciągnąłem do gwardyi królewskiéj.

— A cóż będziesz tam robił biedny chłopcze? rzekła owocarka cała we łzach.

— Będę służył krajowi.

— Powiedz raczéj, że chcesz się narazić na śmierć lub jaką straszną ranę!

— W tém wola Boga, kochana ciotko.

Zadługoby było opowiadać wam, jakich perswazyi i próśb używała biedna owocarka, żeby odwieść od tego postanowienia swojego Benjaminka, ale wszystko to na nic się nie zdało. Ojciec Hoche zmarł już od lat dwóch, pani Marta szczęśliwa i zamożna nie potrzebowała Łazarza, czuł się więc swobodnym w rozrządzaniu sobą, i zaciągnął się jako prosty żołnierz do gwardyi królewskiéj. Rewolucya zastała go w 1789 roku już sierżantem.

Pewnego dnia straszna wrzawa dała się słyszeć na ulicy, rozlegały się krzyki i tentent kopyt końskich.

— Boże miłościwy! czyżby nieprzyjaciele napadli Paryż? zawołała owocarka wychodząc strwożona na próg sklepu.

Ale były to okrzyki radośne. Tysiące głosów wołało:

— Niech żyje uspokoiciel Wandei! Niech żyje nasz generał!

A owocarka idąc ciągle przed siebie pytała sąsiadów:

— Gdzież to jest ten generał? Pokażcie mi uspokoiciela Wandei?

A ponieważ wszystkie spojrzenia, wszystkie ręce zwracały się ku pięknemu młodzieńcowi jadącemu na przepysznym koniu, którym z wdziękiem kierował, chociaż z najwyższym w świecie trudem zdołał zaledwie utrzymać go na wodzy; owocarka spojrzawszy także w tym kierunku, poznała w pięknym młodzieńcu swojego bratanka.

— To mój malec! zawołała do sąsiadów, to mój malec!

I śledząc z niepokojem każdy skok tego bystrego

rumaka, który rwał się pod jeźdźcem, a uderzając kopytami o bruk, wydobywał z kamieni snopy iskier, wykrzyknęła z przestrachem:

— Jezu Chryste! on gotów kark skręcić.

Na ten wykrzyk, który dobiegł do uszów młodego generała, odgadł on bez trudu, że ciotka znajduje się w tłumie. Zaczął więc jéj szukać oczami, a spostrzegłszy ją zsiadł z konia i rzucił się w objęcia staruszki.

— No widzisz ciotko, że zostałem generałem, rzekł uśmiechając się i że dosiadam teraz prawdziwego żywego konia!

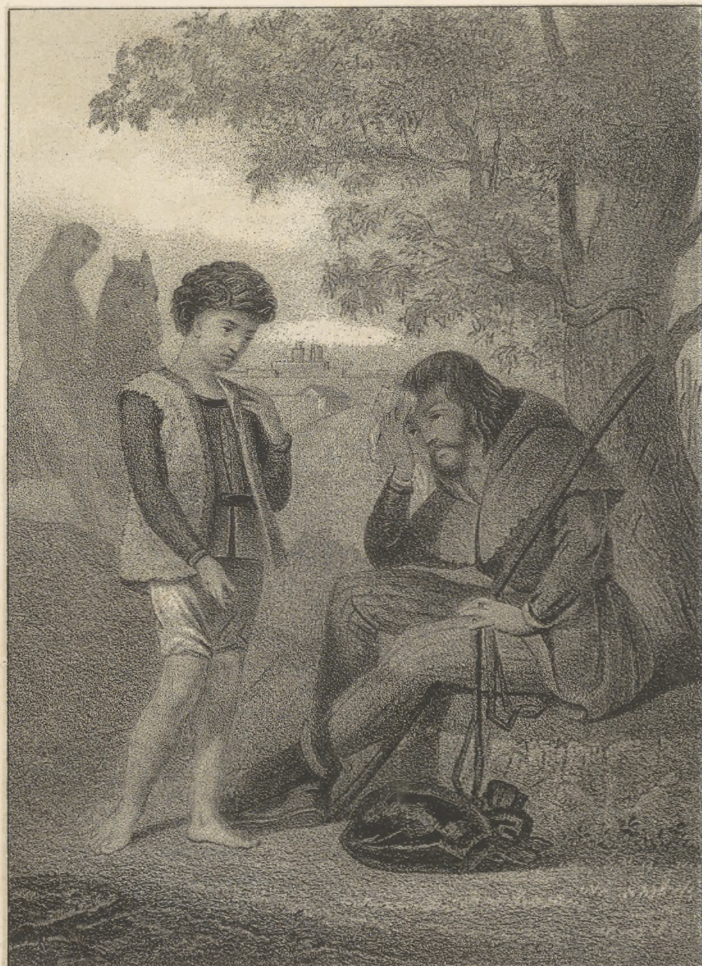
— Wolałabym jeszcze tamtego, rzekła biedna ciotka, rzucając wystraszone spojrzenie na pyszne zwierzę, które masztalerz z wielkim zaledwie trudem zdołał utrzymać na wodzy.

— Mówisz o drewnianym? dziękuję, rzekł generał siadając napowrót na koń, żeby jechać do Dyrektoryatu, gdzie miał dopełnić sprawozdania z odbytéj kampanii.

Nie jest moim zamiarem młodzi czytelnicy, wyliczać wam tu wszystkie bitwy, w których generał Hoche wziął udział i zwycięztwa, co go okryły niespożytą chwałą. Wiedźcie tylko, że bohater ten zmarł z wielkim żalem całego narodu d. 15 września 1797 r. Liczył on wówczas lat dwadzieścia dziewięć wieku, a dowodził naczelnie armią Sambr'y i Meus'y.

Pogrzebano go w Coblentz, obok grobowca przyjaciela jego i towarzysza broni, generała Marceau.

CORREGGIO.



Lit. W. Dümler.

Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Jak na mój wiek jestem dosyć krzepki
więc ci dopomogę

V.

DWA MIEDZIANE PIENIĄŻKI *).

— Gdzie jest ten złodziéj? Znajdźcie mi go łotra, rozbójnika!... Wydajcie go sami, bo on jest wpośród was!... Moje dwa miedziane pieniążki, moje najdroższe dwa miedziane pieniążki, one zginęły pomiędzy wami, nie gdzieindziéj jak tutaj;... Więc radzę wam szczerze, żeby się znalazły i to natychmiast, bo w przeciwnym razie klnę się na wszystko co święte, że wszystkich was zaprowadzę do sądu i oskarżę o złodziejstwo!

W taki to sposób signor Gambessa łajał pięciu swoich służących, którzy się zbiegli na silny odgłos dzwonka i spoglądali osłupiałym wzrokiem jedni po drugich, myśląc sobie w duchu, że chyba pan ich osza-

---

*) *Correggio* (Antoni Allegri), jeden z najznakomitszych malarzów włoskich i założyciel szkoły malarskiéj lombardzkiéj, urodził się w r. 1494, umarł w r. 1534.

leć musiał. I rzeczywiście można go było posądzić o szaleństwo, słysząc jaką wrzawę wyprawiał skutkiem straty dwóch nędznych pieniążków miedzianych, on, który w całém mieście słynął z hojności i wyrozumiałości. A były to dwa najzwyczajniejsze pieniążki, dwie sztuki zdawkowéj monety, która obiegała wszystkie ręce i wszystkie kieszenie, a obie razem nie mogły mieć więcéj wartości od dzisiejszych pięciu groszy.

Signor Gambessa w pierwszéj młodości swojéj, kiedy przyszłość ukrywała się przed nim niepewna, a fortuna nie dopisywała jeszcze, uczuł nagle w sobie tę wielką miłość sztuki, która jakby w przepowiedni świetnéj epoki Leona X, rozpłomieniła się w całych Włoszech w ostatnich latach XV wieku. Staczając bezustanną walkę z ubóstwem, młody Gambessa natrafił szczęśliwie na mistrza, który wziął na siebie przewodniczyć mu w pierwszych krokach na polu sztuki uczynionych. Ale po trzech latach usilnéj nauki i pracy, smutne i niespodziane przekonanie wytrąciło mu z rąk farby, pęzel i paletę. Przekonał się bowiem, że on, który tak kochał sztukę, on który wszystko dla niéj byłby gotów poświęcić, że on, Gambessa, nie posiada wyższych zdolności malarskich, i że ręka jego nigdy nie będzie zdolną nadać artystycznych kształtów tym wielkim myślom, jakie mu się wiły po głowie.

Jednakże w tym samym czasie Opatrzność zlała nań, jakby pewien rodzaj piechoty. Po dalekim krewnym odziedziczył on nie wielki spadek i nie mogąc stać się artystą, poprzestał na drugorzędnéj roli lubownika malarstwa. W przeciągu kilku lat, dzięki rzeczywistemu poczuciu piękna i ukształceniu artystycznemu jakie posiadał, potrafił on zebrać bardzo

piękną galeryą obrazów ze wszystkich szkół, którą to galeryę odkupił od niego książę Piccolomini za cenę ośmiuset cekinów. W ten sposób postępując daléj podwajał on ciągle swój majątek, a umiejętny wybór jaki umiał czynić, chronił go od strat, na jakie inni mniéj wytrawni od niego znawcy bywali narażani.

Nie objaśniając wcale czytelnikom co było powodem ceny, jaką signor Gambessa przywiązywał do owych dwóch pieniążków miedzianych, których strata w tak wielki go gniew wprawiła, powiemy tutaj parę słów w tym przedmiocie.

* *

*

Na dwa lata przed rozpoczęciem tego opowiadania, ku schyłkowi już dnia, signor Gambessa jechał zwolna, konno, drogą do Modeny prowadzącą. O kilkanaście kroków przed nim szedł jakiś człowiek przygarbiony pod ciężarem wielkiego skórzanego worka. Znużony, opierając się z ciężkością na kiju, człowiek ten zatrzymał się pod drzewem przy drodze rosnącém, i obnażywszy głowę, ocierał grube krople potu spływające mu po pięknéj i szlachetnéj twarzy, nacechowanéj wyrazem dziwnéj jakiéjś tęsknoty. Młody, wiejski chłopak, który śpiewając przechodził tamtędy, spojrzał na tego podróżnika, siedzącego na trawie przy swoim worku.

— Widzę mój człowiecze, rzekł, że musiałeś ujść nie mało drogi, bo jesteś strasznie spocony; więc nie radzę ci siadać pod cieniem tego drzewa. Chłód tutaj

jest niebezpieczny i możesz łatwo przeziębić się i dostać febry...

— Dziękuję ci moje dziecko, ale rzeczywiście idę z bardzo daleka, dźwigając ten ciężki worek na plecach i jestem tak znużony, że muszę wypocząć...

— A gdzie to idziesz dobry człecze, czy daleko jeszcze? zapytało dziecko.

— Nie, zaledwie o kilkaset kroków ztąd, ale już mi sił braknie...

— Ja jak na mój wiek jestem dość krzepki i chociaż dziś już nie mało się nachodziłem, to jednak poradzę twojemu workowi, jeżeli zechcesz mi go powierzyć.

— Dziękuję. A wiele będziesz żądał za twój trud: czy dość ci będzie dziesięciu miedziaków?

— To za wiele, cztery wystarczy, wszak praca nie tak wielka.

— Zgoda mój chłopcze, ale przynajmniéj zechcesz za to wstąpić do mnie, żeby wypić miarkę wina i zjeść kawałek chleba z serem dla pokrzepienia się.

— I owszem przyjmę to z chęcią.

Gambessa, który powstrzymał trochę konia, usłyszał najdokładniéj tę całą rozmowę.

I trzeba wam wiedzieć, że dwa pieniążki miedziane, których stratę tak boleśnie opłakiwał, były połową wynagrodzenia; jakie ów chłopak otrzymał od znużonego podróżnika.

* *

*

Tymczasem signor Gambessa coraz bardziéj srożył się na służących, krzycząc tak zapamiętale, jak gdyby

już nie nędzną kradzież dwóch miedziaków, ale zabójstwo u niego popełniono.

— Na miłość Boską co ci się stało, signor Gambessa? zawołał kawaler Barrocino, który wszedł w téj chwili do jego mieszkania. Czyżby skradziono ci jaką Madonnę Rafaela, albo czy téż jaki piękny obraz Tycyana wypadłszy z ram, podarł się na sztuki?

— Tak panie! tak kochany kawalerze! okradziono mnie! zrabowano! zabrano mi moje dwa pieniążki miedziane!..

Barrocino o mało co nie wybuchnął śmiechem, na widok téj strasznéj rozpaczy, spowodowanéj tak nędzną stratą; lecz wkrótce tak jak wszystkim innym obecnym téj scenie przyszło mu zrazu na myśl, że Gambessa musiał chyba zwaryować. Więc zamiast śmiechu wydał okrzyk podziwienia i boleści.

— Wystaw sobie, rzekł Gambessa, że dziś z rana porządkowałem mały relikwjarzyk gotycki, w którym osadziłem za szkłem najkosztowniejsze skarby moje, składające się z drogich kamieni, monet, medalów, kameów... I położyłem na chwilę dwa miedziane pieniążki na rogu tego stołu. Nieszczęściem musiałem wydalić się z pokoju na kwadrans, i powróciwszy zastałem stół już pusty.

— Ależ to nie trudna do wynagrodzenia strata, rzekł kawaler Barrocino, bo takich dwóch pieniążków wszędzie dostanie.

— A na głowę mojego ojca! zawołał signor Gambessa, wiem przecie dobrze, że miedziana moneta nie jest wcale tak wielką rzadkością i że w każdéj, by najlichszéj kieszeni znajdzie się zawsze parę takich pieniążków. Sądzę panie kawalerze, że tak ty jak i moi

szanowni służący, którzy stoją tu oto z rozdziawioną gębą, nie macie mnie wcale za waryata, żebym takie rzeczy wyprawiał po stracie przedmiotu bez żadnéj prawie rzeczywistéj wartości. I tuszę, że nie mam wcale reputacyi skąpca, i że nigdy nie zaciskałem zbytnie w ręku złotówki, cekina, ani nawet dukata, żeby niemi ubodzy nie mogli się pożywić?...

Barrocino odetchnął swobodniéj przekonawszy się, że przyjaciel jego znajduje się rzeczywiście przy zdrowych zmysłach.

— Dalejże! zawołał Gambessa do służących, szukajcie, śpieszcie się, biegnijcie za złodziejem, żeby mi oddał moje dwa pieniążki!... Ten co mi je odniesie, otrzyma natychmiast pięć cekinów wynagrodzenia. Ale niechaj to będą też same pieniążki, a nie inne, bo ja znam je dobrze, możecie mi wierzyć: noszą one bowiem na sobie znak osobny, który ja sam tylko rozpoznać potrafię. Więc niech jaki głupiec nie myśli, że mnie oszuka... Idźcie! śpieszcie się!

Służący wybiegli w te pędy, a jeden z nich zwany Fanfacino pośpieszniejszy od innych, zeskoczył co tchu ze schodów, wyleciał na ulicę i począł biegnąc rozglądać się na prawo i na lewo, bo on to właśnie ośmielił się rozporządzić temi dwoma pieniążkami, udzielając je w jałmużnie staremu żebrakowi, który przez godzinę stał przed domem signora Gambessy, błagając rozdzierającym głosem o wsparcie.

— Teraz kochany Gambessa, rzekł signor Barrocino po odejściu służących, spodziewam się, że mi zechcesz wytłumaczyć powód wartości moralnéj, jaką przywiązujesz do tych dwóch lichych sztuk monety. Mam nadzieję, że zajmujące to będzie opowiadanie.

— Tak zaprawdę, bardzo zajmujące. Ale zanim zaspokoję słuszną twoję ciekawość, pragnę żebyś mi udzielił wiadomości o moim synu przybranym, twoim uczniu... Czy zadowolony jesteś z postępów Montechristiana? Bo widzisz, ja tego młodzieńca kocham jak własnego syna, to poczciwe serce i prawy umysł... ale wątpię, żeby pomimo wybornych rad i wskazówek jakie mu udzielasz, zaszedł daleko na téj drodze, jaką sobie obrał, żeby zdołał sam przez się utworzyć jaki piękny obraz... Kopista z niego doskonały, ale wszystko co tylko z własnéj jego głowy wychodzi, grzeszy nieśmiałością rysunku, brakiem należytego kolorytn i pojęcia efektów, jakie ze światłocienia wyprowadzić można... Więc téż sądzę, że nie dojdzie on nigdy do niczego więcéj, jak do tworzenia pięknych i wiernych kopii z oryginałów wielkich mistrzów.

— Niestety! może to jest i prawdą, rzekł sam Montechristiano, który wchodząc w téj chwili do pokoju, dosłyszał ostatnich słów ostrego sądu, które o nim signor Gambessa wyrzekł.

— Nie wiedziałem że tu jesteś, odezwał się Gambessa, i przykro mi...

— Tak jest, słyszałem i zrozumiałem wszystko szanowny mój przyjacielu, odezwał się ze smutkiem Montechristiano, całując rękę swojego opiekuna, i bądź przekonanym, że z zadowoleniem patrzę na tę i tak piękną i użyteczną przyszłość, jaką mi wskazujesz, bo sam pierwszy widzę, że brak mi siły twórczéj, i że pomimo wszelkich usiłowań i pracy, nie nabędę już jéj. Tak jest, ograniczę moje zachcenia artystyczne na kopiowaniu o ile możności najwierniejszém arcydzieł mistrzów naszych. A jednak tak ułudnie marzyłem o chwa-

le, jaka otacza u nas wielkich kapłanów sztuki: ludzi jak Cimabue i Giotto, którzy wzbogacili pomniki ojczyste wiekopomnemi pracami swojemi! Zdawało mi się, że cesarze będą mnie na równo z niemi przyzywać do przyozdobienia swoich pałaców, że papieże otworzą przedemną podwoje świątyń Pańskich, dla uwiecznienia w nich świętych tradycyi religii naszéj!... O ileż dałbym, żeby być szanowanym i wielkim, jak Giorgione w Weneeyi, choćbym miał tak przedwcześnie jak on umierać! Żebym mógł panować nad sztuką, tak, jak niezrównany Tycyan, Michał Anioł, boski Rafael, i być na równi z nimi zaszczytem i miłością całego wieku.

Na ten wykrzyk idący z serca, a spowodowany świątobliwą czcią dla sztuki, Barrocino uśmiechnął się przyjaźnie, ale Gambessa westchnął, poniósłszy ręce do czoła, które nagle chmura smutku pokryła.

— Powiedz mi drogie dziecię, rzekł nareszcie posmutniałym głosem, czyś już wykończył tę kopję, któréj dokonanie ci poruczono?

— Tak jest, mój opiekunie. Wykończyłem już ją i oddałem.

— A wiele ci zapłacono za nią?

— Trzydzieści cekinów.

— O! zawołał Gambessa, a w mowie jego czuć było boleść i wzruszenie wielkie, więc marzyłeś młodzieńcze, że sam Bóg naznaczy ci czoło cechą geniuszu, że staniesz się wybrańcem pomiędzy ludźmi, którzy podziwiać będą niezrównane utwory twojego pędzla! Piękne to i wzniosłe marzenie Montechristiano i któraż szlachetna dusza nie dała się zrazu porwać świetnéj jego ułudzie? Niestety! i jeszcze niestety! Więc ci wielcy mistrze i kapłani sztuki, szczęśliwy pasterz Giotto,

niezrównany Tycyan, piękny Giorgione, wielki Rafael i olbrzymi Buonarotti, są celem twojego podziwu i uwielbień?... Więc wyliczono ci trzydzieści cekinów, aż trzydzieści, za kopię obrazu Antonia Allegri?.., Trzydzieści cekinów!.. O ludzie! ludzie!...

I Gambessa zamilkł na chwilę zdołając zaledwie zapanować nad wzruszeniem, które to gorzkie wspomnienie wzbudziło w jego duszy.

— Montechristiano! rzekł nareszcie, drogi mój synu przybrany, dzisiaj nadeszła chwila opowiedzenia ci smutnéj historyi, którą z umysłu zataiłem przed tobą, aż do upatrzenia sposobnego czasu zaznajomienia cię z nią z korzyścią dla ciebie. Dzisiaj ta sposobność nadeszła właśnie... posłuchaj więc mój synu tego bolesnego opowiadania, i przyjmij z rezygnacyą drugorzędną rolę, którą sama natura oznaczyła ci w sztuce. A ty kochany Barrocino zabierz także miejsce i posłuchaj mnie z uwagą, bo opowiadanie moje wyjaśni ci, jaką cenę przywiązuję do tych dwóch miedzianych pieniążków.

Na wspomnienie o dwóch miedzianych pieniążkach, rumieniec okrył twarz Montechristiana.

— Widzisz jak twój uczeń zarumienił się, rzekł Gambessa do Barrocina, wzruszenie to oznacza skromność dobrego serca, bo i on także ma udział w tém opowiadaniu.

Pożegnawszy się na dobre ze sztuką, i sprzedawszy na wagę złota małą moją galeryą obrazów księciu Alexandrowi Piccolomini, postanowiłem przewędrować przez Włochy, zwiedzając najlichsze nawet nasze mieściny dla utworzenia sobie nowego zbioru. Wyjechałem więc z Rzymu i zwiedziłem Neapol i Wenecyą. W tém

ostatniém mieście mówiono mi o malarzu, podpisującym zwykle swoje utwory nazwiskiem *Lieto*, który jak mnie zapewniano, będąc więcéj wieśniakiem niż malarzem, znalazł we własnym swoim geniuszu, bez żadnych pomocniczych nauk ani studyów, siłę dostateczną do współzawodniczenia z utworami najznamienitszych mistrzów naszych. Co mogło się stać powodem, że człowiek taki jak ten, o którym mi wspominano, jeżeli rzeczywiście istniał, był prawie nieznanym jeszcze, że obrazy jego nie pojawiały się wcale w Rzymie, i że pomiędzy naszemi książętami i magnatami nie znalazł się ani jeden, któremuby przyszło na myśl zobaczyć je na własne oczy i upewnić się o niezrównanym geniuszu tego człowieka: tego trudno się było domyśléć... Mówiono, że ten *Lieto* nigdy nie opuścił okolicy, w któréj się urodził, a sprzedawał swoje obrazy po tak nizkiéj cenie, że aż wstyd było wspomniéć o tém. Wszystkie te gawędy wydawały mi się nie bardzo podobnemi do wiary, i kiedy zaczepił mnie kto o tém zjawisku, unosiłem się zaraz gniewem.

— Nie wierzysz więc mi, rzekł raz do mnie kawaler Spervio, który najczęściéj lubił rozprawiać o tym przedmiocie, a więc pojedź do Parmy, wejdź do katedry, spojrz na kopułę, a uznasz sam, żem mówił prawdę.

I rzeczywiście nie wyszło kilka dni, a wyruszyłem w podróż, nie zupełnie jednak w zamiarze sprawdzenia twierdzeń kawalera Spervio.

Przybyłem do Correggio; w tém miasteczku panowała podówczas febra epidemiczna, nie zsiadając więc z konia, postanowiłem ruszyć daléj drogą do Parmy prowadzącą. Jadąc stępa dojechałem do ostatniego

przedmieścia Corregio, na krańcu którego wznosiło się kilka małych chałupek odosobnionych jedna od drugiéj w otoczonych kępami zieloności.

Na progu jednéj z tych chałupek ukazał mi się obraz zachwycający niewinnym wdziękiem i błogim spokojem. Młoda kobieta, któréj twarz nosiła na sobie ten anielski wyraz, jaki malarze nadają Madonnom na swoich obrazach, stała oparta o drzewo, z zawieszonym u lewéj ręki koszykiem, kwiatami napełnionym, a prawą wyrzucała deszcz kwiatów z koszyka na dzieciątko, rozkoszujące się swobodnie na trawie u stóp jéj. Dziecko owo było w tył przechylone, a wyciągając ręce ku matce, uśmiechało się do niéj całym wdziękiem anielskich modrych swoich ocząt. O kilka kroków, mężczyzna o szlachetnéj i rozumnéj twarzy, siedząc na ławce z darni, przypatrywał się temu cudnemu obrazowi.

Wzruszony tym widokiem, ruszyłem daléj w drogę, mówiąc sam do siebie:

— O słodki synu Urbanie! Boski Rafaelu, czemuż cię nie ma tutaj, żebyś zobaczył to, co ja widziałem!

Przybywszy do Parmy, pomimo nieufności, jaka tkwiła we mnie do tych wszystkich pogłosek, obiegających o znakomitym malarzu podpisującym się Lieto, pośpieszyłem jednak udać się do katedry, żeby się dowiedzieć, czy Lieto pracuje tam jeszcze. Zawiadomiono mnie, ze prawdziwe nazwisko malarza kopuły jest Antonio Allegri z Correggio, i że on zaniechał już pierwotnie przybranéj nazwy. Następnie poradzono mi, żebym wszedł przedewszystkiem do kościoła Ś-go Jana, gdzie będę mógł oglądać *Wniebowstąpienie* tego malarza. Allegri oddał tę scenę z prawdziwą boską szlachetnością i podniosłością, zwyciężając wszystkie tru-

dności, jakie przedstawia malowanie na powałach, gdzie natchnienie musi walczyć z licznemi wymaganiami skróceń w rysunku. Szczególniéj postacie Apostołów osłupiałych ze zdziwienia, niepojęte sprawiają wrażenie na widzu. I człowiek, który tak umiał pojąć i odtworzyć ten wzniosły przedmiot, nie znał, jak utrzymywano powszechnie, starożytnych wzorów!... nie studyował arcydzieł najznakomitszych mistrzów naszych!... W zastanawianiu się więc nad samą naturą znalazł tę naukę, tę myśl, ten smak, tę siłę!... „Nie! To być nie może!” zawołałem wychodząc ze Świętojańskiego kościoła i pobiegłem do katedry, żeby zobaczyć kopułę, która miała być arcydziełem Allegrego! Tak, rzeczywiście jest to arcydzieło! arcydzieło geniuszu! To istne niebo!.. Apostołowie schylają głowy w obec Wniebowzięcia Najświętszéj Panny... A Boża Rodzica, w cudnie przezroczystém powietrzu wzbija się w górę, otoczona gromadą Aniołów, z których jedni podtrzymują ją, a drudzy rozrzucają tysiące kwiatów, inni znowu wstrząsają wonnemi pochodniami, a inni jeszcze przygrywają na lirach, z których słodkie dźwięki zdają się rozpływać w przestrzeni... To prawdziwa uczta niebiańska!...

Pod wpływem zapału jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyłem, opuściłem katedrę zapytując się pierwszego przechodnia jakiego napotkałem, gdzie będę mógł znaleźć malarza, poetę, wielkiego człowieka, który udarował tém *Wniebowzięciem* katedrę parmeńską... Doniesiono mi, że on mieszka w Correggio, rodzinném swojém mieście... Więc zapytałem raz jeszcze, czyli to być może, iż ten Allegri, mistrz tak utalentowany, tak genialny znajduje się jeszcze w ubóstwie?

— Niestety tak jest, odpowiedziano mi, i nigdybyś

pan nie zgadł wiele mu zapłacono za pomalowanie kopuły katedralnéj?

— Na zapłacenie takiego arcydzieła, zawołałem w uniesieniu, nie starczyłyby skarby żadnego papieża ani cesarza!..

— A więc wiedz pan, odpowiedziano, że dostał on za to...

Tutaj Gambessa urwał nagle i odwracając się do Barrocina i Montechristiana rzekł z gorzkim wyrazem w głosie:

— I zgadnijcie téż wiele mu zapłacono za tę kopułę?

Obaj słuchacze milczeli.

— Trzydzieści i kilka cekinów! Nędzne trzydzieści i kilka cekinów! oto wszystko co otrzymał ten boski i nieszczęśliwy człowiek za tę kartę wydartą z nieba, i przyklejoną pod kopułą katedry! Trzydzieści cekinów! Montechristiano, synu mój! to jest ta sama cena, jaką ci zapłacono za kopię z obrazu tego niezrównanego mistrza! Niestety! Wszystkie skarby, bogactwa, tryumfy innych mistrzów, przeważone są na szali Bożéj i ludzkiéj przez te trzydzieści bolesnych cekinów!. Tak jest, rachunek został sporządzony i zapłacony, i dziesięć lat pracy genialnéj, przyniosło Correggio'wi tylko tak nędzną summę. A teraz synu mój, odważ się jeszcze marzyć o złotych wieńcach na ołtarzu sztuki składanych!

Nastała chwila smutnego milczenia, poczém Gambessa tak znowu zaczął mówić:

— Nie powstrzymała mnie już ani febra, ani zaraza, ani wojna żadna, i puściłem się bezzwłocznie w drogę do Correggio. Noc zapadła i znajdowałem

się o jakie kilkaset kroków od miasta, kiedy napotkałem człowieka niosącego na plecach ciężki worek skórzany. Znużony, bez tchu prawie, człowiek ów usiadł pod drzewem, a właśnie w téj chwili przebiegało przez drogę dziecko, nucące wesołą piosenkę. Ten poczciwy chłopiec ofiarował podróżnikowi, że mu poniesie daléj worek, przyjmując za to wyręczenie tylko cztery pieniążki miedziane zamiast dwunastu, które mu tamten ofiarował.

— Zaczynam już domyślać się o co rzecz chodzi, rzekł Barrocino.

— Byłem obecny temu całemu wypadkowi, i niepostrzeżony, jechałem daléj za niemi. A zdało mi się, że twarz tego biednego podróżnika nie była mi nieznaną, i rzeczywiście był to ten sam człowiek, którego już raz w przejeździe do Parmy napotkałem, przyglądającego się przecudnemu obrazowi matki obrzucającéj kwiatami dziecko.

Po półgodzinnéj drodze chłopak i podróżny weszli do chałupiny.

Ja także zsiadłem z konia, przywiązałem go do drzewa ocieniającego to skromne wiejskie mieszkanko, i wszedłem upraszając o krótką gościnność.

— Przecież przyszedłeś kochany Antonio, mówiła kobieta do męża, który wszedłszy padł na stołek drżąc na całém ciele; ale Jezu Chryste! czy mi się zdaje, czy téż ty naprawdę chory przybywasz z téj podróży?

— Tak, moja kochana, odpowiedział mąż, czuję się jakoś niedobrze na zdrowiu. Musiałem dźwigać ten ciężki worek i gdyby nie ten chłopczyk, który mi dopomógł, nie wiem czybym poradził przynieść go do domu... Niech wasza wielmożność wybaczy, rzekł od-

wracając się do mnie, jeżeli w tak niegodny sposób, potrafię się odwdzięczyć za zaszczyt, jaki mi czynicie odwiedzając mój lichy domek.. Powiedz mi żono, czy dziecko nasze śpi?.. Tak... No to i ja pójdę się położyć... Może wasza wielmożność zechce zająć miejsce przy ogniu?.. Trzeba żono, żebyś dała co zjeść temu chłopcu... A przytém wyjmiesz cztery miedziaki z worka i dasz mu je, bo taka ugoda stanęła pomiędzy nami.

Z tych urywanych i nie powiązanych z sobą wyrazów widocznem było, że biedny ten człowiek był już mocno chory. Żona nie chciała mu wyjawiać jak była o niego niespokojną, ale ja czytałem ten niepokój w jéj wielkich czarnych oczach.

I kiedy chory udał się na spoczynek, zostałem tylko w towarzystwie pięknéj gospodyni i chłopca, który przyniósł worek.

— Nie trwóż się moja kobieto, rzekłem, nic mu nie będzie: odpocznie sobie przez noc i jutro wstanie zdrów z łóżka.

— O mój drogi panie, niech Bóg cię wysłucha, odpowiedziała. Jezu Chryste! a wszak to od ośmiu blizko dni nie było co jeść w domu naszym, a biednemu mojemu Antoniowi należała się oddawna w Parmie sumka, z któréj wypłatą ciągle się spóźniano... Udał się więc tam piechotą, żądając od starego Refrongo, naszego wierzyciela, żeby załatwił już raz ten rachunek. To twardy i skąpy człowiek ten Refrongo, a złośliwy jak szatan, kiedy chce komu dokuczyć. I wasza wielmożność sam to przyznasz kiedy się dowiesz, że rozgniewawszy się na biednego mojego męża za to przypomnienie mu długu, wypłacił mu go w saméj mie-

dzianéj monecie... I to ciężar tego worka z miedziakami tak przyprawił o chorobę poczciwego Antonia... A jednak to była święta należność za robotę i tak bardzo nędznie płatną...

— A jakąż robotą trudni się wasz mąż? zapytałem.

— Antonio jest malarzem, odpowiedziała kobiecina z wyrazem dziecinnéj prawie dumy. I gdybyś pan widział ową *Świętą rodzinę*, za którą stary Refrongo zapłacił umówioną kwotę z taką biedą i w téj ciężkiéj monecie miedzianéj, przyznałbyś sam, że biedny mąż mój, godny jest wielbienia i litości... Bo życie jego, to prawdziwe męczeństwo!..."

Na te słowa uśmiech politowania przesunął mi się przez usta i pomyślałem sam w sobie:

— Gdyby ta kobieta wiedziała to, co ja wiem o trzydziestu cekinach boskiego Correggia, i znała się na wartości sztuki, nie wyrzekałaby tak pewnie na ciężką dolę swojego biednego Antonia!

Podziękowawszy jednak téj poczciwéj kobiecinie za jéj gościnność i przekonawszy się, że chory zasypia spokojnie, prosiłem owego chłopca, żeby mi posłużył za przewodnika dla dostania się do oberży miejskiéj. A kiedy wypełnił to moje żądanie, pochwaliłem go za miłosierny postępek względem tego biednego malarza i zapytałem, czy nie zechce wejść do mnie w usługi. Podziękował mi serdecznie i ucałowawszy mi ręce, wyznał, że jest sierotą, że tuła się za robotą tu i owdzie, ale że pomimo całéj dobréj woli szczęście mu nie dopisuje, i zmuszony jest częściéj żyć z jałmużny, aniżeli z owoców swojéj pracy.

— Jeżeli chcesz poznać bliżéj to kochane dziecko,

czcigodny kawalerze, mówił daléj Gambessa odwracając się do Barrocina, to spojrz na syna mojego przybranego Montechristiana, bo on to właśnie jest tym chłopcem.

Po chwili zdziwienia i rozczulenia, które spowodowało odkrycie téj tajemnicy, Gambessa mówił daléj:

— Tejże saméj nocy, w któréj przybyłem do hotelu, dostałem pierwszego napadu zaraźliwéj gorączki, szerzącéj się podówczas w Correggio. Więc przez pięć dni nie opuszczałem łóżka, a przez cały ten czas doznałem od Montechristiana wielu dowodów przywiązania, co dało mi przeczuć czém będzie ten, którego dzisiaj mogę nazwać moim przybranym synem. Niepodobna mi więc było przez ten czas zająć się wyszukaniem genialnego malarza, który był głównym celem mojéj podróży.

Szóstego dnia wstałem z łóżka i wyszedłem na ulicę, zostawując Montestristiana w hotelu. I nie zapytałem się jeszcze o mieszkanie Allegrego, kiedy mi już oznajmiono o jego śmierci. Poszedłem na pogrzeb tego człowieka, poczém wróciłem do hotelu. Byłem blady, głęboko wzruszony, drżący na całém ciele, nieprawdaż Montechristiano mój synu?

— Tak ojcze.

— I jakie były pierwsze wyrazy, które wyrzekłem do ciebie?

— Odezwałeś się wówczas do mnie: „Czy masz jeszcze cztery miedziane pieniążki, które ci dał ten biedny człowiek?" Dwa tylko mi z nich pozostało i oddałem ci je.

— Wszakże nigdy nie starałeś się dowiedzieć o po-

wodzie, dla którego tyle wartości do tych pieniążków przywiązywałem.

— Nigdy ojcze, gdybyś uznał za stosowne uwiadomić mnie o tém, byłbyś mi to sam powiedział.

— A więc wiedz, że twój postępek może być dla ciebie powodem dumy i żalu nieopisanego, bo dźwigając ten worek pełny miedziaków, ulżyłeś na chwilę śmiertelnego trudu, niezrównanemu Antoniowi Allegri, boskiemu Correggio'wi. Tak jest, ten biedny człowiek upadający pod ciężarem worka był to Correggio.

Montechristiano chwycił się oburącz za czoło, i przez chwilę pogrążył się w bolesném i religijném prawie rozmyślaniu. A i Barrocino serdecznie wzruszony tém opowiadaniem, miał łzy w oczach.

— Powróciliśmy do Parmy, mówił daléj Gambessa i udałem się śpiesznie do tego niecnego Rofrongo, żeby na wagę złota odkupić od niego dwa obrazy, które ten lichwiarz zdarł z nieszczęśliwéj swojéj ofiary. Zawsze mi przytomną będzie w oczach obrzydła twarz tego chciwca. Ale niebo pomściło się na nim za nikczemny postępek, którego się względem genialnego malarza dopuścił. W rok potém piorun upadł na jego mieszkanie, i zbiór obrazów stanowiący całe bogactwo tego skąpca, spłonął do szczętu. Dowiedziałem się potém, że oszalał prawie z rozpaczy, i że biegał od drzwi do drzwi, prosząc o jałmużnę.

W téj chwili hałas jakiś dał się słyszéć na schodach i czteréj służący wbiegli jak szaleni, donosząc że Fanfacino, który dał owe dwa miedziaki w jałmużnie żebrakowi, odszukał go nareszcie i przyprowadza z sobą:

— Niech wasza wielmożność spojrzy przez to okno, zawołali, oto prowadzi go pod rękę, bo ten staruszek,

który widać nie zupełnie jest przy zdrowych zmysłach, myśli że go chcą okraść i stawia opór.

Gambessa zbliżył się do okna i spostrzegłszy żebraka, którego mu przyprowadził Fanfacino, podniósł w górę obie ręce, wołając:

— Sprawiedliwe nieba! To on! Rofrongo!.. O biedne miedziane pieniążki boskiego Correggia, jakże musicie palić tego nikczemnika!...

BEETHOVEN.



Lit. W. Dümler. Odbito w Lit. M. Fajansa w War.

Klęcząc na krześle zdawał się być natchnionym nieopisanym zapałem.

VI.

LUDWIK VAN BEETHOWEN *).

I.

Słoik pomady.

— Mój Boże, jak to nieprzyjemnie być brzydkim! mówił pięcioletni chłopczyk, stojąc na krześle przed kominkiem. Trzymał on w ręku szczotkę i słoik pomady, a dobywając z niego co chwila sporą ilość tłuszczu, namaszczał czarne, gęste i najeżone włosy, starając się nadać im gładkość i połysk za pomocą szczotki.

---

*) *Ludwik van Beethowen*, sławny niemiecki kompozytor muzyczny, urodził się w Bonn nad Renem w r. 1772, zmarł w r. 1827. Kształcił się w Wiedniu pod Haydnem i przeszedł wkrótce swojego mistrza. Oprócz znakomitéj opery Fidelio i uwertury do Koriolana, zostawił on wielką liczbę symfonii, sonat i koncertów, które główną jego sławę stanowią. Ogłuchł w dość młodym wieku i to wpłynęło na smutne jego usposobienie.

Mój Boże, jak to nieprzyjemnie być brzydkim, zwłaszcza, kiedy ma się szczęście być starszym synem pana Beethowena, pierwszego tenora kaplicy elektoralnéj w Kolonii! Bo kiedy na mnie przyjdzie koléj śpiewania w kaplicy, to już nie wiem co zrobię, jak usłyszę wszystkie te kobiéty wołające: „Co to za brzydki chłopak!” I chociaż tyle kładę sobie pomady na włosy, to już żadną miarą nie poradzę z niemi, żeby stały mi się gładkie jak u Jasia albo Karolka! Co to za szczęśliwi chłopcy ci moi bracia, że mają włosy płowe i przystojni są na twarzy! a ja z tym nieznośnym sterczącym do góry kosmykiem rady sobie dać nie mogę... Ot masz! co go przygładzę, to znowu się podnosi!... To dopiero upór!... Taki zły jestem!... o taki zły!... jak nasza kucharka, kiedy jéj kto garnek z rosołem przewróci, albo jak pan Stummer mój nauczyciel pisania, kiedy nie dość przykładam się do lekcyi... Ten spencerek tak się na mnie odyma, jakby kto miechem wiał z pod spodu... spodnie szkaradnie leżą... a trzewiki... to już nie ma co i mówić o nich! A ta mała Leosia co tak lubi wyśmiewać się z ludzi, jak tylko mnie zobaczy, zacznie drwić sobie... „Piękny mi kawaler, będzie mówiła, niezgrabny jak niedźwiedź.” A potém spyta mnie się, jak to już raz uczyniła, dlaczego wsadziłem sobie na kark głowę wilczą, którą nasza służąca kurz i pajęczynę z sufitu obmiata, zamiast zwykłéj pięknéj główki dziecięcéj, jak ma naprzykład Jaś albo Karolek... Ot znowu!.. jeszcze ten kosmyk!.. Ale muszę przecież dać sobie radę z nim... za pomocą pomady... choćbym miał trzy słoiki na przygładzenie go użyć... Cały jestem w potach... jaka to męcząca rzecz być brzydkim!.. Gdybym był przystojnym, od godziny byłbym już gotów..: A jednak po-

mimo całéj téj pracy i wszystkich usiłowań jakie dokładam, gotów jestem się założyć, że Leosia jeszcze nie będzie zadowoloną ze mnie... Bo ona ma dwa lata więcéj odemnie, to już panna siedmioletnia, dorosła prawie... i zdaje jéj się, że dlatego wszystko jéj wolno. Ale ja wezmę się na sposób, i zacznę ją bić, ale to tak mocno, że musi mnie pokochać.

— A to dopiero piękny sposób zmuszania kogoś do pokochania, rzekła młoda niewiasta ukazując się w drzwiach pokoju.

— Taki dobry jak inne, proszę mamy, odpowiedział Ludwik nie przestając gładzić włosów szczotką.

— A kogóż ty chcesz tak kułakami zjednać dla siebie: czy nie mogłabym się dowiedziéć?

— Leosię.

— Jakto Leosię? siostrzenicę Elektora Kolońskiego?

— Tak, ją samą, proszę mamy.

— I zkąd ci to przyszło do głowy, moje dziecko?

— Bo ona nie chce mnie kochać, odpowiedział malec bez wahania.

— I sądzisz, że tym sposobem przyciągniesz ją do siebie?

— Jak pozna, że umiem bić nie żartem...

— Słuchajno Ludwiczku, rzekła pani Beethowen zbliżając się do niego, gdyby pan Stummer, twój nauczyciel pisania, którego nie bardzo miłujesz, zaczął cię także bić dla pozyskania twojej miłości, jak myślisz, czyby to ciebie przywiązało do niego?

— Wątpię bardzo, odpowiedział bez namysłu Ludwik.

— W takim razie...

— Ale pozwólże mamo; najprzód Leosia nie ma

do nielubienia mnie tych samych powodów, jak ja względem pana Stummera; ja jéj nie uczę pisać i nie powtarzam jéj codzień: „Nie trzymaj tak sztywno palców... nie opieraj piersi o stół... niech ręka leży wolno na papierze... a nie podskakuj tak na krześle... co to za brzydka kreska!... A ten sztrych do czego podobny... Trzeba na nowo zacząć!... Gdybyś był moim synem opieszalcze jakiś, tobym cię przez dwa tygodnie trzymał o chlebie i wodzie, a musiałbyś się przecie czego nauczyć." To prawdziwie zabawna rzecz! No, ale ja tego wszystkiego nie mówię Leosi, więc ona nie ma żadnych powodów nielubienia mnie i musi mnie pokochać.

— Bardzo szczęśliwie dla ciebie, że masz takie przekonanie, ale co ty tu robisz na têm krześle? To dopiero! Zabrał mi słoik pomady z toalety i cały prawie wypróżnił.

— Bo chcę koniecznie wypięknieć, odpowiedział Ludwik, nie przestając smarować sobie włosów.

W téj chwili dwaj inni chłopcy, jeden trzy, a drugi czteroletni wpadłszy do pokoju, zaczęli śmiać się tak serdecznie, że aż Ludwikowi łzy stanęły w oczach.

— Śmiejcie się, śmiejcie! zawołał z gniewem. Ty Jasiu i ty także Karolku możecie śmiać się ile wam się podoba. Jeżelim brzydki i włosy jeżą mi się na głowie, to nie moja w têm wina. Nie odemnie zależało, żebym miał płeć tak delikatną jak wy, i tak piękne jak wy rumieńce.

— Nie martw się Ludwiczku, rzekła matka głaszcząc go po twarzy, i ty także wcale nie jesteś brzydki, zwłaszcza kiedy nic niegrzecznego nie zrobiłeś.

— Owszem jestem brzydki, wiem o têm, rzekł Ludwik płacząc, i to właśnie zmusza mnie do płaczu,

a wiem dobrze, że kiedy płaczę, brzydszym jeszcze jestem, i dlatego... nikt mnie... nie kocha.

— Jakto? ani ja? rzekła matka tonem smutnego wyrzutu.

— Ty mnie kochasz, bo jesteś moją matką, a wszystkie matki muszą kochać swoje dzieci, odpowiedział Ludwik. Ale inni... ale panna Simrock... ale Leosia...

— Leosia nie kocha ciebie, bo ją bijesz, rzekł Karol.

— A właśnie dla tego ją biję, że mnie nie chce kochać, odpowiedział Ludwik, i będę ją bił dopóty, aż dopóki nie pokocha mnie.

— Niby to się kocha ludzi co nas biją! odpowiedział najmłodszy z chłopców, który zaledwie umiał mówić.

W téj chwili pan Beethowen wszedł do pokoju.

Ale żebyście dobrze zrozumieli dalszy ciąg mojego opowiadania, muszę wam przedewszystkiem powiedzieć, kto był pan Beethowen i żona jego.

II.

Bukiet z macierzyczki.

Pan Beethowen był to człowiek już blizko pięćdziesięcioletni, przystojny bardzo, wysoki, dobréj tuszy, rumiany na twarzy, a ogólne zachowanie się jego było trochę zimne i sztywne. Był on małomówny jak wszyscy w ogóle Niemcy. I zwykle kiedy taki człowiek zacznie mówić, słuchany bywa z uwagą, ludzie bowiem są przekonani, że namyśliwszy się dobrze zanim się z czém odezwie, nigdy nie powie niedorzeczności.

Tego rodzaju człowiek milczący i trochę despotyczny potrzebował żony dobréj i łagodnéj, i taką właśnie była pani Beethowen. Od siedmiu lat jak żyli z sobą, nigdy żadne nieporozumienie nie zakłócało ich spokoju małżeńskiego. I przykład ten rodziców oddziałał i na dzieci. Przyzwyczajeni widziéć matkę posłuszną we wszystkiém ojcu, nigdy nie pomyśleli nawet stawiać oporu jego woli. Skoro on wyrzekł słowo, to słowo było już świętém. Daleko młodsza od męża pani Beethowen liczyla zaledwie dwadzieścia pięć lat wieku w chwili, w któréj się zaczyna to opowiadanie, a więc to bezwarunkowe jéj posłuszeństwo mogło nawet uchodzić za ustępstwo wiekowi przynależne.

— Czyś już gotowa? rzekł pan Beethowen wchodząc do pokoju.

— Tak mój drogi, tak ojcze, odpowiedziała matka, a za nią dzieci, z pewnym wyrazem bojaźni w głosie, bojaźni, którą zwykle widok ojca w nich wzbudzał.

— Wszyscy gotowi?

— Tak, wszyscy.

Tym razem sama tylko matka odpowiedziała.

— Widziałem się przed chwilą z panem Stummerem, mówił daléj pan Beethowen, jest bardzo niezadowolony z Ludwika, i gdyby nie to, żem obiecał już pannie Dorocie Simrock, że go wezmę ze sobą, gotów byłbym zostawić go w domu za karę...

Za pierwszym wyrazem wyrzeczonym przez ojca, Ludwik poczerwieniał ze wstydu, a pani Beethowen, wziąwszy za rękę męża i ściskając ją czule, jak gdyby dla przeproszenia, że śmie wstawiać się za synem, rzekła:

— Już Ludwiczek jutro się poprawi, ręczę za to.

— No, więc w drogę, rzekł pan Beethowen podając rękę żonie.

Przepyszny to był wieczór, a chociaż jesień zbliżała się ku końcowi, zimno jeszcze nie bardzo dotkliwie czuć się dawało. Pan Beethowen mieszkał po lewym brzegu Renu, wspaniałéj rzeki, któréj brzegi zdobne są tylu miastami, tylu górami, tylu staremi zamczyskami. Nad brzegami także Renu wznosił się pałac księcia Maxymiliana austryackiego, ówczesnego elektora.

Ku temu właśnie pałacowi kierowała się rodzina Beethowenów. Jaś i Karolek trzymając się za ręce szli przodem, pan i pani Beethowen postępowali za niemi, a Ludwik zasmucony zarzutem, jaki go świeżo od ojca spotkał, podążał z tyłu z głową zwieszoną na piersi.

Szli długo w milczeniu przerywaném tylko napomnieniami, jakie matka od chwili do chwili udzielała dzieciom.

— Nie idźcie tak prędko i nie zbliżajcie się do rzeki... Jasiu trzymaj brata za rękę.

Próbowała także zacząć rozmowę z mężem.

— Spojrzno mój drogi, jak Jaś i Karolek radują się z téj przechadzki, mówiła pokazując mężowi dzieciaków, wyprawiających po drodze różne skoki i figle.

— Widzę, odpowiedział p. Beethowen, którego zimna twarz żadnego uczucia nie zdradzała.

— Oni się tak cieszą, że idą do panny Simrock, że będą tam zajadać wyborną piankę śmietankową i mogą się nabiegać do woli po ogrodzie elektorskim. Wiesz co, że panna Simrock ma wcale dobrą posadę.

— Nie przeczę, odpowiedział p. Beethowen, tymże samym co i poprzednio tonem.

— Bo dla staréj i ubogiéj panny jak ona, mówiła daléj pani Beethowen, żyć w tak ozdobnym zamku, mieć pod rozkazami tak znaczną liczbę sług... których nie płaci sama... jedném słowem być gospodynią księcia elektora... to bardzo piękne położenie.

— Tak, odpowiedział tenor kaplicy elektoralnéj.

— A gdzie się podział Ludwik? zapytała pani Beethowen, spoglądając z niepokojem na około siebie.

— On musiał, rzekł Jaś, zatrzymać się po drodze, żeby porozmawiać trochę z pastuszkami.

— Ludwiku! zawołał pan Beethowen.

Na ten męzki i donośny głos, którego brzmienie daleko się rozlegało, głowa Ludwika ukazała się nagle ponad kępką trzciny rzecznéj. I na widok rodziców schował on po za siebie jakiś przedmiot, który trzymał w ręku.

— Co tam robisz Ludwiczku? zapytała matka tonem lekkiéj wymówki.

— Nic mamo, odrzekł Ludwik cały zarumieniony, wskazując na rzekę.

— Ale czemże byłeś tam zajęty?

— Przysłuchiwałem się...

— Czemu?... zapytał pan Beethowen, który nie lubił ani długich rozmów, ani wahających się odpowiedzi.

— Przysłuchiwałem się szumowi rzeki, odpowiedział Ludwik ze spuszczonemi oczami.

— To mi dopiero zajmująca rzecz, żeby dla słyszenia jéj włazić w trzcinę i niepokoić ojca i mnie, rzekła matka. Proszę cię, idź przodem z braciszkami.

Ludwik zastosował się do tego rozkazu, ale w chwili kiedy to czynił, ręka którą trzymał po za sobą zmieni-

ła nagle położenie, i przedmiot w niéj ukryty ukrył się zręcznie za połę spancerka.

— Czy nie mógłbyś mi powiedzieć Ludwiczku, co ma tak zajmującego dla ciebie szum rzeki, rzekła pani Beethowen, która odstręczona upartem milczeniem męża, chciała przynajmniéj z dziećmi pogawędzić... No czy nie odpowiesz mi, kiedy się pytam?

— To mi sprawia wrażenie pięknéj muzyki, rzekł Ludwik zcicha.

— To dziecko widzi wszędzie muzykę, odezwała się matka.

— Co tam trzymasz schowanego pod spencerkiem Ludwiczku? zapytał Jaś.

— To nie należy wcale do ciebie.

— Jaki ty nie dobry, że nie chcesz odpowiedzieć, przecież ci nie zjem tegc, co masz w ręku?

— Pójdź oto pobiegaj z nami, rzekł Karolek.

— Nie, nie chce mi się biegać, odpowiedział Ludwik szorstko.

— To dziecko dziczeje wyraźnie, rzekła pani Beethowen do męża.

— Tak sobie, odpowiedział chłodno mąż, strącając laską kamiuszczki po drodze.

Właśnie wówczas zbliżali się już do kraty pałacowéj. Na spotkanie ich wyszła kobieta w pewnym już wieku, przyjemnéj fizyonomii i bardzo przyzwoicie ubrana, a za rękę trzymała siedmioletnią dziewczynkę. Za niemi szedł jakiś młody mężczyzna.

— Witam pana i panią Beethowen, rzekła owa kobieta kłaniając się wdzięcznie nowo przybyłym. Przyprowadziliście państwo z sobą wszystkich dzieciaków... bardzo dziękuję wam za to. Jak się macie Ludwiczku,

Jasiu, Karolku!... Idźcie dzieci pobawić się trochę z Leosią. Oto mój brat, który opuścił swój handel muzyczny, żeby przepędzić kilka chwil z nami.

Na te słowa mężczyzna w podeszłym wieku, który towarzyszył pannie Dorocie, wystąpił naprzód dla przywitania się z gośćmi.

— Dzień dobry panie Simrock, rzekł pan Beethowen ściskając go serdecznie za rękę; bardzo się cieszę, że mam szczęście spotkać tu pana.

— A ja chciałem właśnie panu powinszować, rzekł pan Simrock oddawszy pełen uszanowania ukłon młodéj kobiecie, żeś tak pięknie ostatniéj niedzieli śpiewał w kaplicy. A w chórze dziecinnym zauważyłem głosik, który mi się nad wszystkie inne podobał. Ciekawym co to za dziecko tak wdzięcznie śpiewało?

— To mój najstarszy syn, Ludwik, odpowiedział p. Beethowen.

— No, no, no, to dziecko nie mało talentu zapowiada.

— To téż na nic się więcéj nie zda, odpowiedział smutnie ojciec.

— Co pan chcesz przez to rozumieć?

— A tak kochany mój wydawco, ten chłopak z wyjątkiem śpiewu i fortepianu do niczego się więcéj przykładać nie chce.

— Albož to nie dosyć jeszcze? zauważył księgarz.

— Zapewne, ale przytém nic się uczyć nie chce, i dziwnie ponurego jest usposobienia. Spojrz pan oto, zamiast się bawić z innemi dziećmi, jakby to w jego wieku wypadało, trzyma się na ustroniu ze spuszczoną głową.

— Ale gdzież tam, rzekł pan Simrock, wskazując

palcem na Ludwika, nie jest on tak dzikim, jakby się wydawało.

I rzeczywiście, w téj chwili mały Ludwiczek, wyjąwszy z pod spencerka prześliczny bukiet z macierzyczki, podał go Leosi, a widząc że go dziewczynka przyjęła, zarumienił się jak wiśnia...

III.

Muzyka i reńskie wino.

W kilka dni po tych wypadkach, pan Simrock wydawszy kilka nowych utworów muzycznych, zapragnął złożyć je w ofierze panu Beethowenowi i skutkiem tego udał się do Bonn, małego miasteczka nad brzegiem Renu położonego, gdzie ojciec Ludwika przemieszkiwał. Z pewnym jednak niepokojem księgarz zbliżał się do mieszkania państwa Beethowenów. Nie uprzedził on ich o swoich odwiedzinach, mógł więc ich nie zastać w domu, bo dzień był bardzo pogodny i zachęcający do wyjścia, a nieprzyjemna to rzecz po odbyciu dość długiego kursu nie zastać tych, do których się przyszło z odwiedzinami, i nie mieć nawet na pokrzepienie się po znużeniu, ani kieliszka wina reńskiego. A musimy tu przyznać, że pan Simrock nie był wcale nieprzyjacielem wina, i miał nawet pod tym względem ustaloną już reputacyą lubownika i znawcy.

Skoro jego oczom odsłonił się dom stojący na ślicznym zieleniejącym już wzgórku, niepewność która go dotąd dręczyła wzrosła nagle w rzeczywistą obawę. Wszystkie okna były zamknięte, drzwi także, a ani w ogrodzie, ani nigdzie dokoła domu nie było i śladu

żywéj duszy. Podszedłszy jednak bliżéj, usłyszał odgłos dość biegłéj gry na klawikordzie. To uspokoiło trochę poczciwego księgarza i zapukał do drzwi.

— Czy pan Beethowen jest w domu? zapytał się jedynéj służącéj, która przyszła mu drzwi otworzyć.

— Nie, panie.

— A żona jego?

— Wyszła także, ale sądzę, że bardzo im będzie przykro kiedy się dowiedzą, że pan ich nie zastałeś, bo jesteś tu nader rzadkim gościem... O tak, bardzo im będzie przykro, mówiła daléj poczciwina, korzystając z milczenia księgarza, żeby rozpuścić wodze swojéj gadatliwości. Pani nie miała ochoty wyjść, ale pan się uparł, a jak się pan nasz uprze, to już na to nikt nie poradzi... trzeba koniecznie zastosować się do jego woli. Więc dziś po południu pan rzekł do pani: „Karolciu, włóż kapelusz, i zabierz malców, pójdziemy na obiad do pastora, bo on sprowadził nową mszę i muszę ją spróbować.” I wyszli... O mój Boże, nawet wcale niedawno... I gdybyś pan był wcześniéj przyszedł... choćby godzinkę wcześniéj... byłbyś ich z pewnością zastał... A teraz, to już przed wieczorem ani się ich spodziewać.

Podczas téj paplaniny służącéj, pan Simrock przysłuchiwał się dźwiękom klawikordu i zarazem przychodziły mu na myśl smutne uwagi o powrocie do domu bez orzeźwienia się kieliszkiem wina. Ale przedewszystkiem klawikord zajmował jego uwagę, bo osoba, która grała na tym instrumencie, wydawała mu się bardzo wysoko posuniętą w muzyce.

— Ale nie wszyscy widzę wyszli, rzekł nareszcie do służącéj, bo słyszę tam kogoś grającego na klawikordzie.

— A... to mały Ludwiczek. On rzadko wychodzi z rodzicami, bo to bardzo krnąbrne dziecko.

— Cóż znowu? rzekł pan Simrock.

— Nie jest to złe dziecko, i kłamałabym utrzymując to, mówiła dalej stara, bo po prawdzie, on najlichszemu nawet stworzeniu nicby złego nie uczynił. Ależ to dziwny charakter tego chłopca.

— I cóż takiego robi? czy taki zuchwały, uparty? mówił dalej pan Simrock, w nadziei, że przy przedłużeniu rozmowy, służąca zaprosi go do mieszkania.

— On zuchwały! owszem... nigdy słówka nie odpowie. Ani zuchwały, ani uparty, broń Panie Boże, ale sprawia zmartwienie wszystkim przez to, że taki zawsze smutny, ponury, odosobniony... chyba że zasiądzie sobie do klawikordu, ot naprzykład jak teraz... Wówczas dopiero wydaje się prawdziwie szczęśliwym... i może tak bez ruszenia się z miejsca grać aż do nocy... i tak się zapomni, że o światło nawet nie zawoła.

Pan Simrock nie słuchał już służącéj; był on pod wpływem dziwnego dźwięku téj muzyki, która dolatywała do jego ucha naprzemian melodyjna i czuła, a chwilami porywająca. Bo utwór, który odgrywało w téj chwili dziecko, odznaczał się dziwném bogactwém kompozycyi.

— Czy można go posłyszyć bliżéj? spytał nareszcie księgarz.

— A proszę pana, i owszem, niech pan będzie łaskaw wejść.

I stara ustąpiwszy się gościowi, poprowadziła go przez długi korytarz, następnie przez ciemne i wązkie schody do izdebki na poddaszu.

Wstrzymując w sobie dech, żeby nie stracić ani

jednéj nuty z téj dziwnéj a cudnéj muzyki, pan Simrock stanąwszy jakby przykuty na progu, spojrzał dokoła siebie.

Z góry spadające światło oświecało ten pokój w jego pustocie i nagości. Całe jego umeblowanie stanowiły trzy tylko sprzęty, klawikort, skrzypce i krzesło trzciną wyplatane. Skrzypce wisiały na ścianie, a dziecko klęcząc na kolanach na krześle, żeby dostać rączkami do klawiszów klawikordu, zdawało się natchnione nieopisanym jakimś zapałem.

Ukończywszy odgrywanie swojego utworu, malec wykrzyknął z wesołością, któréj księgarz nigdy jeszcze w nim nie dostrzegł.

— Teraz do skrzypców.

Ale chcąc sięgnąć do ściany, na któréj wisiał ten instrument, odwrócił się on pomimowolnie i spostrzegł za sobą gościa.

— Prawdziwie zachwyciłeś mnie, rzekł pan Simrock do zarumienionego chłopca, i pozwól że cię ucałuję. Ale dlaczego nie wyszedłeś z rodzicami?

— To kara, którą wymierzono na mnie, odpowiedział Ludwik naiwnie.

— A w czemże przewiniłeś?

— We wszystkiem.

Pan Simrock uśmiechnął się.

— We wszystkiem, to bardzo wiele, rzekł.

— A jednak to prawda, odpowiedział Ludwiczek smutnie: nie mogę się niczego nauczyć.

— A muzyka?

— O! ja się nie uczę muzyki, gram tylko.

— A grasz kochanie przecudnie i radbym cię usły-

usłyszyć jeszcze. Ale jestem znużony i dla lepszego przysłuchiwania się...

— Potrzebaby panu kieliszka... rzekł Ludwik z uśmiechem.

— I krzesła, dodał pan Simrock.

— I wina do nalania w kieliszek, nie prawdaż?

To rzekłszy Ludwik zawołał na służącą:

— Katarzyno! przynieśno tu tacę, talerz biszkoptów, niebieski kieliszek i butelkę wina opieczętowanego, którą ojciec odstawia zawsze dla siebie po obiedzie.

— Dwa kieliszki! rzekł pan Simrock, którego rumiana twarz uśmiechnęła się radośnie. Wszakże dotrzymasz mi towarzystwa mój chłopcze.

— Podaj Katarzyno dwa kieliszki, rzekł Ludwik za całą odpowiedź.

Katarzyna wkrótce ukazała się z żądanemi przedmiotami, a ponieważ nie było wcale stołu na tém poddaszu, postawiła tacę na kominku.

Pan Simrock zasiadł na jedyném krześle, stanowiącém cały sprzęt téj izdebki, zaś Ludwik przyniósł sobie pudło drewniane, które postawiwszy przed klawikordem, wdrapał się na nie, następnie odwracając się do księgarza, rzekł:

— Pij pan z łaski swojéj i powiedz mi, co chcesz żebym ci zagrał, czy Haydna, czy Mozarta?

— I jednego i drugiego, rzekł pan Simrock nalewając wina w oba kieliszki i podnosząc jeden do ust.

Tak przeszła godzina cała, podczas któréj młody Beethowen z wielką uprzejmością grał z kolei z pamięci różne utwory tych dwóch wielkich kompozytorów. Kiedy wreszcie skończył, butelka przed księgarzem stała już próżna.

— Cudne! prawdziwie cudne, rzekł ten ostatni, kiedy nie pozostało już nic wina, oprócz tego co było nalane w kieliszek Ludwiczka. A jednak dziwna rzecz, lubię bardzo Haydna, przepadam za Mozartem, a pomimo tego najlepiéj mi się podobało to, co grałeś właśnie kiedy wchodziłem tutaj.

W téj chwili pan Beethowen ukazał się na poddaszu i zbliżywszy się do swojego starego przyjaciela, przeprosił, że wyszedłszy z domu, nie mógł go lepiéj przyjąć.

W braku pańskiego towarzystwa i obecności łaskawéj pańskiéj małżonki, rzekł księgarz oddając ukłon pani Beethowen, która szła za mężem, ten malec wybornie mnie tu przyjął. On wcale dobrze gra na klawikordzie, pije także nieźle i przekonanany jestem, że wyrośnie kiedyś na bardzo zdolnego muzyka.

— Jakto? pije nieźle? rzekł Ludwik ukazując swój kieliszek, którego się nie tknął nawet.

— Dziękuję ci moje dziecię, rzekł księgarz i wziąwszy do ręki kieliszek, wychylił go za zdrowie pani Beethowen.

Potém odwracając się do Beethowena ojca, rzekł:

— Wierzaj mi stary przyjacielu, że to prawdziwie zadziwiające dziecko i że byłoby grzechem nie do darowania, gdybyś zaniedbał kształcić talent tak wcześnie rozwinięty. Pomówię o tém jutro z panem van der Eden, nadwornym księcia organistą, i będę się starał, żeby ten utalentowany człowiek i uczony muzyk wziął twojego syna do nauki.

— Wiesz przecie mój przyjacielu, że nie jestem bogaty, zauważył Beethowen.

— Rozkosz posiadania takiego ucznia, jak twój

syn, zapłaci mu hojnie za naukę, odpowiedział Simrock. Poślijże jutro Ludwiczka do pana van der Eden, a ja biorę na siebie resztę.

I księgarz z głową rozegrzaną butelką wina reńskiego, którą wychylił co do kropli, a jeszcze bardziéj muzyką Ludwika, powrócił do domu, powtarzając przez drogę:

— Ten malec gra wybornie i pije nieźle, ręczę że daleko zajdzie.

IV.

Mały improwizator.

W sześć lat po téj scenie, pewnego rana p. Beethowen wszedł do pokoju żony, a smutek i niepokój malujące się na jego fizyonomii, zadziwiły tę ostatnią.

— Co ci się stało? zapytała.

— Najstarszy nasz syn Ludwik, staje się dla mnie coraz większym powodem zmartwienia, rzekł mąż zasiadając przy krosienkach, na których ona haftowała jakąś robótkę; nie wiadomo co ten chłopak robi lub nie robi, co lubi lub czego nie lubi; zawsze samotny, wyszukuje jak najdzikszych miejsc, zgadzających się z ponurém jego usposobieniem, albo też siedzi na swojém poddaszu sam na sam z fortepianem. Zdawałoby się, że się exercytuje, ale za każdym razem kiedy go poproszę, żeby mi co zagrał, odpowiada mi niezmiennie: „Jeszcze się nie nauczyłem mój ojcze,” co ma się znaczyć: „Jeszcze nie umiem.” Ale mniejsza nawet o to, mówił daléj tenor kaplicy książęcéj, przerywając mowę dla zażycia niucha tabaki, wiesz przecie, że idąc za ra-

dami Simrock'a, powierzyłem Ludwika do nauki panu van der Eden, który żadnego za to odemnie nie chciał wziąć wynagrodzenia. Kiedy van der Eden umarł, lekcye te musiały się przerwać z konieczności, ale książę oświadczył, że pan van Neefe, który po zmarłym objął urząd nadwornego organisty, będzie daléj zajmować się moim malcem. Przystałem na to... I wystawże sobie, że księciu przychodzi usłyszéć grę Ludwika i otrzymałem rozkaz udania się z nim wieczorem do zamku; i ten malec, który nigdy nie chciał grać przedemną, będzie musiał grać przed całym dworem. Możesz się więc domyślić w jakim jestem kłopocie, a nawet obawie, bo jeżeli źle zagra...

— Czyś zawiadomił Ludwika o woli księcia? zapytała pani Beethowen.

— Nie, ale uczynię to bezzwłocznie, bo słyszę go wracającego do domu.

I pan Beethowen zawołał głośno na syna, który w téj chwili przechodząc przez ogród, posłuszny wezwaniu ukazał się wkrótce we drzwiach.

— Książę elektor chce ciebie usłyszéć, rzekł ojciec, i osądzić sam przez się, czy lekcye, które każe ci udzielać, idą ci w korzyść.

— Dobrze ojcze, odpowiedział Ludwik.

— Ale wiedz o tém, że przedstawienie to twoje ma mieć miejsce dziś jeszcze wieczorem w pałacu książęcym i to w przytomności calego dworu.

— Dobrze ojcze, rzekł jeszcze Ludwik, a na twarzy jego nie było znać żadnego wzruszenia.

— Dobrze! dobrze! zawołał zniecierpliwiony pan Beethowen, mówisz to jak gdyby popisywanie się na klawikordzie przed dwustu osobami było najnaturalniej-

szą rzeczą w świecie. A czy umiesz przynajmniéj grać jaki efektowny kawałek? Czy się nie omylisz?

— Nie wiem ojcze, odpowiedział Ludwik.

— To dziecko o śmierć mnie przyprawi! rzekł pan Beethowen, który po pierwszy raz przed swoją żoną wydał się z obawami, jakie w nim sprawiało dziwne usposobienie starszego syna.

Ludwik schylił głowę w milczeniu i widząc, że ojciec już się nie odzywa do niego, wyszedł z pokoju.

Za nadejściem wieczoru, pan Beethowen przybrany w ceremonialny swój ubiór, udał się wraz z synem do pałacu księcia elektora. O ile ojciéc był drżący i pełen obawy, o tyle syn okazywał odwagi i pewności siebie; zdawało się, że on, tak bojaźliwy zazwyczaj, pragnie dziś ośmielić ojca.

Książę przyjął ich bardzo łaskawie i wskazując Ludwikowi piękny fortepian, ustawiony w najwidoczniejszém miejscu, kazał mu zasiąść przy nim i wybrać sobie kawałek, jaki ma grać.

— Niech Wasza Książęca Mość sam raczy uczynić wybór, rzekł pan van Neefe zabierając głos, mój uczeń gra równie dobrze fugi Jana Sebastiana Bacha, jak symfonie Haydna.

Podczas téj krótkiéj rozmowy, Ludwik posłuszny rozkazom księcia zbliżał się do fortepianu, kiedy nagle zbladł i cofnął się o parę kroków.

Spostrzegł on w téj chwili kilka młodych dziewcząt stojących przy fortepianie, z których jedna najwyższa i najpiękniejsza niewątpliwie, spoglądała na niego szyderczo i nakazująco zarazem. I w téj trzynastoletniéj panience poznał on małą Leosię, towarzyszkę swoich lat dziecinnych, uczennicę Doroty, krewną księcia.

— To mały Beethowen, rzekła Leosia do swoich towarzyszek, a choć mówiła cicho, Ludwik obdarzony nader delikatnym słuchem, usłyszał ją jak najwyraźniéj: to jest mały dzik z Bonn, bo tak go zawsze nazywałyśmy, wyrosł on wprawdzie, ale nie wypiękniał wcale... Spojrzcie tylko jaki brzydki!

Trzeba być rzeczywiście brzydkim i wrażliwym do najwyższego stopnia, żeby umieć ocenić męczarnie, jakich doznał w téj chwili biedny mały artysta, słysząc te nielitościwe słowa. Zdawało mu się, że zasłona jakaś spada mu nagle na oczy, całá krew nabiegła mu do serca; uczuł w sobie dreszcz śmiertelny i musiał oprzeć się o fortepian, ażeby nie upaść.

— No Ludwiku, odwagi, rzekł pan van Neefe, i to napomnienie mistrza stawiło na pamięć młodzieńcowi, gdzie się znajduje i czego po nim oczekują.

Siadając do fortepianu Ludwik poszukał oczami ojca i ujrzał go tak bladego, tak zalękłego, tak w zupełnie odmienném od codziennego usposobieniu, że młody artysta zrozumiał, iż gdyby brakło mu na odwadze i sile, ojciec najwięcéjby na tém ucierpiał. Ta myśl dodała mu energii i pragnąc razem ze wzruszeniem odgonić i pierwszą myśl, która to wzruszenie wywołała, kiedy dotknął klawiszów fortepianu, spojrzał oko w oko Eleonorze.

A ona stała ciągle tam na jedném miejscu z szyderczym uśmiechem i z dumném czołem. Więc dwa razy rzucił na nią wzrokiem: za pierwszym razem spojrzenie jego nacechowane było głębokim smutkiem, ale za drugim czarne jego oko przybrało wyraz wyzywający i malowała się w niém niezachwiana pewność siebie.

— Bezmyślna istoto, która mną pogardzasz, zda-

wał się on mówić do niéj; ponieważ położenie moje towarzyskie stawiło mnie niżéj od ciebie, słuchaj teraz i wiedz, że talent zagładza wszelkie różnice.

Eleonora nie mogła znieść siły tego spojrzenia, opuściła więc głowę na piersi i poczęła słuchać.

I w téj saméj chwili, bez żadnéj przegrywki i bez tych wszystkich formalności, za pomocą których artysta przygotowywa się do mającego się odegrać przez siebie utworu i zapewnia uwagę słuchaczów, Ludwik uderzył trzy akkordy na klawikordzie, i nie otwierając nawet nut, które stały na pulpicie, zagrał utwór tak poważny, tak szeroki w pojęciu, którego harmonia nacechowana była tak dziwną tęsknotą, tak głębokim smutkiem, iż dusza słuchaczów zawieszoną jest u palców tego nieporównanego artysty. I kiedy cudotworne palce zatrzymały się, można było słyszéć przyśpieszony oddech tych wszystkich, którzy znajdowali się w sali. Wzruszenie malowało się na każdéj twarzy. A nawet pan Beethowen ojciec, ten człowiek tak zimny na pozór, miał oczy łez pełne.

— Cudnie! cudnie! zawołał książę elektor, przerywając pierwszy milczenie: grałeś kochanku jak mistrz. Co powiesz na to panie Junker? dodał odwracając się do tego sławnego kompozytora, który siedział po lewéj fotelu książęcego.

— Jestem zdania Waszéj książęcéj mości, odpowiedział głośno kompozytor; szkoda tylko że to dziecko gra z pamięci.

Ludwik dosłyszawszy tych wyrazów nie mógł się wstrzymać od uśmiechnięcia.

— Czyj to utwór odegrałeś nam teraz Ludwiku? zapytał go pan van Neefe.

— Mój, odpowiedział młodzieniec.

— Jakto twój, rzekł pan Junker, to niepodobna!

— Nie ma żadnego niepodobieństwa, odpowiedział pan van Neefe, on już bardzo wysoko stoi w kompozycyi. Niedawno utworzył trzy sonaty i waryacye, które przyniosłyby zaszczyt każdemu z dzisiejszych kompozytorów. Ale przyznam się szczerze, że nie znałem wcale tego kawałka, co go dzisiaj odegrał. Kiedyżeś go skomponował? rzekł pan van Neefe, odwracając się do Ludwika.

— W téj chwili! odpowiedział on tonem tak naturalnym, że przekonał wszystkich oprócz jednego pana Junker.

— Więc to był utwór improwizowany? rzekł ten ostatni z pewném niedowierzaniem; jakoś mi się to nie widzi...

— A jednak tak jest niezawodnie, odpowiedział Ludwik rozjątrzony trochę, że ośmielono się powątpiewać o jego prawdomówności.

— I czy potrafiłbyś jeszcze raz zaimprowizować na zadany mu temat? zapytał pan Junker.

— Dlaczegóżby nie! odpowiedział mały Beethowen.

— Więc za pozwoleniem Jego książęcéj mości, ja chcę się o tém przekonać, rzekł pan Junker, i powstawszy z miejsca, wydobył z pomiędzy nut leżących na pulpicie temat jakiś, a położywszy go przed młodym artystą, rzekł szorstko:

— Poprobujże teraz.

Ludwik zasiadł znowuż do klawikordu i bez wahania się z zadziwiającą łatwością odegrał najprzód temat, a następnie zaczął improwizować najdziwniejsze, najcu-

dniejsze waryacye, i to bez żadnego wysilenia, zdając się igrać tylko z klawiszami.

A kiedy skończył, pan Junker zawołał z zapałem wielkiego artysty:

— Chłopcze! Jesteś mistrzem nad mistrze!

Wówczas szczęśliwy i dumny pochwałami księcia, wspaniałym podarunkiem jaki od niego otrzymał, zachwyceniem wszystkich obecnych, a nadewszystko wzruszeniem, jakie malowało się na twarzy jego własnego ojca, Ludwik począł szukać w tłumie spojrzenia Eleonory. Ale z tego spojrzenia znikło już szyderstwo i duma wyzywająca, z jaką młode dziewczę przyjęło pierwsze pojawienie się genialnego artysty, a w zamian wyczytać w niém było można słodkie i bojaźliwe zakłopotanie.

— Panie Ludwiku, rzekła odczepiając bukiet od pasa, zechciéj pan przyjąć te kwiaty, które zerwałam w własnym moim ogrodzie w zamian za wiązankę z macierzyczki, jaką otrzymałam od ciebie sześć lat temu.

Nazwała go panem, ona, która przed chwilą mówiła o nim, jako o wstrętném sobie dziecku! I jakim sposobem przez tak krótki przeciąg czasu to dziecko mogło tak podrosnąć w oczach téj młodéj i bogatéj panny? Więc siła talentu, więc czarodziejstwo sztuki nie są próżném tylko marzeniem? Ludwik przyjął bukiet, i on, który tak śmiało umiał odeprzéć wyzywające i dumne spojrzenie młodéj dziewczyny, utracił wszelką pewność, kiedy ujrzał ją stojącą przed sobą ze spuszczonemi modremi oczyma... Więc żeby ukoić wzruszenie, rzucił się w objęcia ojca.

— Mój synu, rzekł ten ostatni całując go, od dziś cię dopiero poznałem, ale dzień ten wynagradza mi za wszystkie moje zmartwienia, i staje się rękojmią świe-

tnéj przyszłości twojéj. Beethowenie! dodał mianując go po pierwszy raz tém nazwiskiem najstarszego z rodziny, będziesz kiedyś podporą twojéj matki i braci: nie zapominaj o tém synu.

Trzeba wam wiedziéć młodzi moi przyjaciele, że książę nie ograniczył na tém dobrodziejstwa swoje dla młodego Beethowena. Ponieważ Ludwik okazywał wielkie usposobienie do gry na organach, książę posłał go na kilka lat do Wiednia, dla kształcenia się tam daléj w nauce kompozycyi pod kierunkiem sławnego Haydna. Haydn nader łaskawie przyjął młodego artystę, ale wszystko ograniczyło się na tém, bo stary mistrz nie zrozumiał wszystkich genialnych myśli, które spoczywały w duszy młodego artysty. W r. 1790 Beethowen odbył umyślnie podróż do Wiednia, żeby widziéć i usłyszéć autora don Juana (Mozarta), a ten ostatni według swojego zwyczaju prosił gościa, żeby mu co zagrał. Beethowen stosując się do tego żądania, zaimprowizował jeden ze swoich płomienistych utworów, ale Mozart nie okazał ani radości, ani podziwienia, ograniczając się tylko na powiedzeniu:

— Wcale nieźle grasz bratku!

Beethowen zapytał go, co sądzi o téj kompozycyi.

— Nie wiem kto jest jéj autorem, rzekł Mozart.

— Ja, odpowiedział Beethowen, i improwizowałem wszystko. Jeżeli pan wątpisz, wybierz mi sam jaki temat, a zobaczysz.

Więc Mozart wybrał motyw z fug chromatycznych, które wzięte na wywrót, stanowiły podwójną trudność. Ale Beethowen odgadł podstęp, wynalazł prawdziwe znaczenie tematu, odtworzył je i przez trzy godziny fantazyował z taką oryginalnością i wdziękiem, że Mozart

uniesiony i zdziwiony wstrzymał dech, lękając się utracić najdrobniejszéj nuty, i nareszcie przyszedłszy na palcach do sąsiedniego pokoju, gdzie kilku przyjaciół jego było zebranych, rzekł:

— Słyszeliście tego młodego człowieka! Wspomnijcie moje słowa: on kiedyś narobi wielkiego hałasu w świecie.

Beethowen miał rówiennika i przyjaciela Wolfa, który stał się jego współzawodnikiem, ale było to szlachetne i piękne współzawodnictwo. O ile Beethowen okazywał się gwałtownym, śmiałym, tajemnym, pełnym kontrastów w swoich kompozycyach, o tyle znów Wolf odznaczał się harmonią ciągle równą, zgodną i słodką na podobieństwo metody Mozarta.

Po śmierci księcia elektora, Beethowen znalazłszy się bez opiekuna, musiał czerpać w swoim talencie zasoby potrzebne do życia i utrzymania rodziny. Zamieszkał więc w Wiedniu, gdzie Caliari skłonił go do pracowania na polu dramatyczném. Pierwsza jego opera *Eleonora*, przedstawiona najprzód w Pradze pod nazwą *Fidelio*, nie wielkie uzyskała powodzenie. Za to w następnym roku w Wiedniu, podobała się bardzo. W téjże saméj epoce Beethowen utworzył sławne swoje Oratoryum *Chrystusa w ogrodzie Oliwnym*, oraz *Symfonie bohaterskie i pasterskie* i kilka koncertów na fortepian, które mu nawet znaczny przyniosły dochód.

Ale niestety! w pośród tych prac olbrzymich i świetnych powodzeń, w najpiękniejszéj chwili życia, niedoszedłszy jeszcze lat trzydziestu, młody artysta uczuł w sobie pierwsze symptomata kalectwa przerażającego dla muzyka. Poczynał głuchnąć, i codziennie głuchota ta znaczne czyniła postępy. Nadaremnym był cały ra-

tunek sztuki lekarskiéj: przyszedł dzień, w którym Beethowen ogłuchł zupełnie. Ucho jego tak delikatne, tak wyrobione, nie przepuszczało dźwięków, i on tak czuły na muzykę, pomimo podziwu i uwielbienia, jakie jego gra sprawiała, sam pozostawał zimny i niewzruszony. Te boskie rozkosze, jakie dusza poetyczna czerpie za pośrednictwem słuchu, zamarły dla niego. Nie przestał jednakże tworzyć, ale największe nawet jego arcydzieła nosiły na sobie cechę téj dzikiéj i tęsknéj wspaniałości, która była oddźwiękiem duszy jego zrozpaczonéj. I majątek jego nie rósł na równi z chwałą. Prawdopodobnie byłby już zmuszony przyjąć posadę głównego organisty Kasewl, którą mu król Westfalski ofiarował, gdyby nie hojność arcyksięcia Rudolfa, arcybiskupa Ołomunieckiego i kardynała, który mu ofiarował cztery tysiące złotych reńskich rocznéj pensyi pod warunkiem, iż nie opuści terrytoryum austryackiego. Ale hołdy całéj Europy umiały go znaléźć w tém jego schronieniu. Miasto Paryż przysłało mu medal na jego cześć wybity, a Londyn fortepian, na którym wyryte były nazwiska ofiarodawców. Byli to pp. Clementi, Krammer, Kalkbrenner, Moscheles i t. d.

I cóż może być smutniejszego i tkliwszego, jak pożegnanie tego wielkiego artysty z jego braćmi?

W trzydziestym czwartym zaledwie roku życia głuchota uczyniła go tak dzikim i bojaźliwym, że otaczający go nie mogąc pojąć cierpień jego moralnych, obwiniali go o nienawiść przeciwko rodzajowi ludzkiemu. On nienawidzieć! On, którego serce w jedno tylko zlało się uczucie. Przeczytajmy raczéj ten wyjątek z jego testamentu, datowanego z d. 2 października 1802 r.

„O wy ludzie, którzy mniemacie mnie być szczę-

śliwym odludkiem i przedstawiacie mnie jako takiego, jakże się mylicie głęboko! Nie znacie powodów, które zmuszają mnie do wydawania się tém, czém nie jestem. Od dzieciństwa duszą i sercem czułem się pociągnięty do kochania, chciałem się odznaczyć pięknemi i szlachetnemi czynami... Ale pomyślcie, że od sześciu lat dotknięty jestem straszną klęską, którą nieumiejętni lekarze zamiast zaradzić jéj, dotkliwszą jeszcze uczynili, tak, że łudząc się napróżno z roku na rok nadzieją polepszenia mego stanu zdrowia, doszedłem do przekonania, że wyzdrowienie moje będzie bardzo trudném, jeżeli nie niepodobném..."

A daléj znów:

„Niepodobna mi było powiedzieć ludziom: *Mówcie głośniéj*, *krzyczcie*, *bo jestem głuchym*, nie mogłem przenieść na sobie, żeby się przyznać do osłabienia zmysłu, który u mnie powinienby być doskonalszym, aniżeli u kogobądź innego..."

I jeszcze:

„Jakaż była rozpacz moja, kiedy ktoś znajdujący się przy mnie, słyszał zdala dźwięki fletu, a moje ucho nie umiało je rozróżnić... kiedy pasterz śpiewał zdaleka, a ja głuchy byłem na ten śpiew...... I tak daléj prowadzilem życie nędzne, życie nie do zniesienia, obdarzony tak dziwném usposobieniem nerwowém, że lada drobnostka stawała się dla mnie powodem szczęścia lub źródłem rozpaczy. Nie łatwo to zostać filozofem w dwudziestym ósmym roku życia, a artysta mniéj niż ktobądź inny sposobnym jest do tego..."

Więc życie dla Beethowena było już tylko ciężarem. W tych nieustannych cierpieniach dożył do dnia

27 marca 1827 r., w którym nastąpił skon jego w skutek długiéj choroby i cierpień moralnych, jakie pociągnęła za sobą. Żył lat pięćdziesięt siedm. Dewizą jego życia było:

Vita brevis, *ars longa* (życie krótkie, sztuka długa).

ANNA Z BRETANII.



Lit. W. Dumler

Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Kto jesteś piękna pani? zawołał młody wieśniak.

VII.

ANNA KSIĘŻNICZKA BRETANII *).

I.

Nieszczęścia młodéj księżniczki.

Na brzegu morza o kilka mil od miasta Nantes, istnieją dotad trzy czarne wysokie wieże, a sięgają one tak dawnych czasów, że mieszkańcy nawet okoliczni nie umieliby z pewnością oznaczyć epoki ich wybudowania. To tylko pewna, że w r. 1489 to jest w chwili, w któréj się zaczyna nasze opowiadanie, owe trzy wieże stanowiły część zamku Redon.

*) Anna księżniczka Bretanii, córka księcia Franciszka II, urodziła się w roku 1476, zmarła w r. 1514, słynęła wdziękami, cnotami i rozumem. Zaślubiwszy króla francuzkiego Karola VIII, a po jego śmierci następcę jego Ludwika XII, połączyła przez ten związek na wieczne czasy Bretanią z koroną francuzką.

Działo się to o rannéj porze w miesiącu październiku 1489 r. W jednéj z tych trzech wież w okazałéj komnacie, siedziało młode trzynastoletnie dziewczę na drewnianém krześle o wysokiéj rzeźbionéj poręczy, a oparty ręką o tę poręcz stał rycerz, podeszły już wiekiem, w postawie pokornéj na pozór, ale zaczerwieniony od gniewu, oczy zaś jego błyszczały nakazującą surowością, któréj nie śmiał ustnie wyrazić.

— Czy widziała Wasza książęca mość barona Alana d'Albret? pytał się stary rycerz młodéj owéj panny.

— Z łaski Boga, panie de Rieux, odpowiedziała zagadnięta, mam wzrok doskonały, więc téż przyjrzałam się mu jak najdokładniéj.

— I czy nie będzie zbyt wielką śmiałością z mojéj strony, mówił daléj pan de Rieux, jeżeli poważę się zapytać księżniczki, jak się jéj pan d'Albret podobał?

— Okropnie brzydki, odpowiedziała księżniczka.

— Brzydota twarzy jest niczém, jeżeli piękność duszy ją wynagradza.

— Tak... *jeżeli*... odpowiedziała księżniczka z pewnym wyrazem powątpiewania i złośliwości.

— Księżniczko! zawołał pan de Rieux, a głos jego zdradzał przykry przymus, jaki sobie zadawał.

— Nietylko brzydki, ale stary już, odpowiedziała księżniczka.

— Jakto stary? zaledwie ma pięćdziesiąt lat wieku.

— Być może, ale ja mam lat trzynaście, więc w porównaniu ze mną jest bardzo stary.

— Mościa księżniczko Anno, rzekł pan de Rieux, przybierając ton mowy poważny i uroczysty, książę Franciszek II, ojciec Waszéj łaski, zmarły w r. 1488, naznaczył mnie Waszym opiekunem, przelewając na

mnie wszelkie prawa czuwania nad dzieciństwem Waszém... Powiedzże sama Mościa księżniczko, jakim sposobem będę mógł uiścić się z tego trudnego zadania, jeżeli każde wyrażenie mojéj woli wywołuje z Waszéj strony opór, a każda rada, jaką Wam udzielam, budzi w Was wstręt nieprzełamany.

— Bo nienależy, panie de Rieux, nadużywać nadanéj przez ojca władzy, i trzeba było poradzić się mojéj woli, zanim zechcieliście rozrządzać moją ręką, odpowiedziała księżniczka z tak dumnym wyrazem twarzy i z taką godnością w wejrzeniu, że pomimowolnie opiekun skłonił głowę, jak gdyby nie z dzieckiem, ale z rzeczywistą monarchinią miał do czynienia. Odrzekł jednak:

— Zdaje mi się, że w téj chwili właśnie dopełniam tego, czego Wasza książęca mość żądasz odemnie.

— Tak, odrzekła złośliwie księżniczka, ale trochę na podobieństwo wilka, który opowiada się jagnięciu, zanim je schrupie.

— Więc, mówił daléj opiekun, Wasza książęca Mość odmawiasz stanowczo wejść w związki małżeńskie z Maxymilianem królem rzymskim, z którym jednak jesteś zaręczoną od kolebki prawie?

— Odmawiam.

— I Wasza książęca mość odrzucasz także rękę Karola VIII króla francuzkiego?

— Najzupełniéj.

— Czas jednak wielki pomyśleć o mężu dla Waszéj łaski.

— Ja téż myślę o nim, odpowiedziała poważnie księżniczka.

— I czy można wiedzieć, kto jest tym szczęśliwym

śmiertelnikiem, który wraz z Waszą ręką otrzyma jedno z najpiękniejszych księztw Europy.

— Jest to tajemnica pomiędzy Bogiem a mną, odrzekła księżniczka wzruszonym głosem. Dość panu wiedzieć, że nie chcę za męża ani króla rzymskiego, ani króla francuzkiego, ani protegowanego waszego barona Alana d'Albret... Dzięki Bogu, mam już lat trzynaście, jestem Bretonką, a w tym wieku Bretonki umieją rozrządzać sobą bez pomocy i rad opiekuna. Więc nie daléj jak jutro, myślę wyruszyć na objazd mojego państwa, żeby widzieć na własne oczy i słyszéć na własne uszy potrzeby i żądania ludu, i jako godna córka Franciszka II, umiéć im wedle Bożéj woli zaradzić... A przytém upraszam cię panie de Rieux, żebyś zechciał oszczędzić mi swoich piorunowych wejrzeń, które mogły przestraszać mnie, kiedym była dzieckiem, ale teraz żadnego wrażenia na mnie nie czynią. Ponieważ zaś nadeszła chwila, w któréj zamykam się w mojéj kapliczce dla odmówienia zwykłych codziennych modlitw, raczysz pan mnie samą zostawić.

Wyrzekłszy te słowa z powagą prawdziwie królewską, księżniczka Anna powstała, i w toworzystwie kilku panien dworskich przeszła do drugiéj komnaty, gdzie w głębi był urządzony pewien rodzaj kapliczki. Otwarte okna téj komnaty wychodziły na lasek, którego świeża i bujna roślinność cudną wonią napełniała powietrze.

Jedno z tych okien prowadziło na żelazny ganek.

Kiedy księżniczka weszła do komnaty kaplicznéj, z pod tego ganku dawał się słyszéć tęskny głos jakiś.

Więc Anna nakazała milczenie służebnym, i zbliżywszy się do okna, usłyszała następujące wyrazy:

— Gdybym był królem albo królową, działałbym tylko według mojéj woli; ale Boże mój! dlaczegóż chciałeś, żebym się nędzném chłopięciem urodził! Tak!.. uczynię to... bo śmierć lepsza od takiego życia.

Zaciekawiona księżniczka zapragnęła widzieć tego marzyciela, który myślał, że król i królowa mogą tylko działać według swojéj woli, wówczas kiedy przeciwnie poświęcać się oni muszą dla różnych wymagań politycznych i społecznych. Więc rozkazawszy służebnom żeby pozostały na miejscu, otworzyła małe drzwiczki, które przez kręte schody prowadziły do jednego z najbardziéj odosobnionych podwórz zamkowych, i wyszedłszy przez furtkę w murze wybitą, znalazła się u wejścia do owego lasku.

Tam spostrzegła przed sobą młodego chłopca wiejskiego, mogącego mieć zaledwie piętnaście lat wieku.

II.

Wieszczka Bretońska.

I jeżeli ten biedny chłopak się skarżył, to miał do tego najzupełniejsze prawo. Bo nędzny był ubiór jego, z samych łachmanów złożony, ale nędzniejsza jeszcze twarz wybladła chorobliwie i zalana łzami.

Na lekki szelest chodu księżniczki i szmer jéj jedwabnéj sukni, młody wieśniak odwrócił głowę, i widząc przed sobą osobę jakąś nie wiadomo zkąd wyszłą, bo nie słyszał ani otwierającéj się, ani zamykającéj furtki, przez którą księżniczka wydostała się z zamku, zląkł się i zrobił znak krzyża świętego. Anna miała tego

dnia na sobie fioletową jedwabną suknię, spiętą koronkowym kołnierzykiem u szyi. Ta suknia zaciskała szczelnie wiotką jéj kibić, a spadając w fałdach i rozszerzając się ku ziemi, dawała jéj niejakie podobieństwo do pszczoły. Prześliczna twarz księżniczki ocienioną była kapelusikiem bretońskiéj formy, podobnym do tych, w które malarze XV wieku przystrajają Najświętszą Pannę, uciekającą z Dzieciątkiem Bożém na ręku do Egiptu. Na ręku miała gruby łańcuch złoty, a od pasa na sznurkach jedwabnych srebrem przerabianych, zwieszała się torebka aksamitna suto złotem haftowana.

— Czy przestraszyłeś się mnie? zapytała się księżniczka uśmiechając się z obawy, jaką wzbudziła w młodym wieśniaku.

— Bo nie mogę odgadnąć kto jesteś, o piękna pani, odpowiedział wieśniak, i myślę chyba, że jesteś jedną z naszych dobroczynnych wieszczek, albo téż samą księżniczką Anną...

— Jak chcesz, odpowiedziała księżniczka, zwiéj mnie jedną lub drugą, ale mniejsza o to kto ja jestem: nie o mnie idzie tu teraz. Usłyszałam twoje skargi i przybywam tutaj, żeby dowiedzieć się, czego żądasz. Dlaczego chcesz umrzéć?

— Bo jestem bardzo nieszczęśliwy, odpowiedział z płaczem młody wieśniak. Dziadek mój jest niewidomy i matka oślepła także, umierają więc oboje z głodu; ja chciałbym im dopomódz, ale nie mogę służby dla siebie znaleźć, i tylko jedna moja biedna siostrzyczka Gothe, utrzymuje nas wszystkich, pracując w polu przez cały dzień Boży, dla lichego kęsa chleba, który na czterech nie starczy.

— Ale dlaczego nie możesz znaleźć zajęcia? zapytała księżniczka.

W téj chwili zdawało się, że w głowie młodego wieśniaka nowa myśl zaświtała.

— Powiedziałaś mi piękna pani, rzekł, kiedy się cię pytałem, czy jesteś wieszczką, albo téż księżniczką Anną, że możesz być jedną lub drugą, do wyboru.

— Tak, odpowiedziała księżniczka.

— I jak będę chciał, staniesz się pani jedną lub drugą?

— Jedną lub drugą.

— A więc wybrałem już i chcę, żebyś była wieszczką.

— Już się stało według twojéj woli, rzekła Anna, którą bawiła ta naiwność wieśniaka. Powiedz teraz czego pragniesz?

— Chcę mieć najprzód piękne, nowe ubranie.

— Zawiele widzę mój chłopcze przywiązujesz do powierzchowności. Nie spełnię tego żądania.

— Wielmożna wieszczko, chciéj mnie wysłuchać, rzekł młody wieśniak składając ręce. Jest tu w okolicy bogaty wieśniak, który miał mnie już przyjąć do służby, ale kiedym mu się przedstawił dziś z rana w tych oto łachmanach, które mam na sobie, nie chciał nawet mówić ze mną oświadczając, żebym przyszedł do niego w porządném ubraniu, albo wcale mu się już nie przedstawiał na oczy. A więc wielmożna wieszczko od ciebie zależy, żeby mnie do służby przyjęto... uczyń to dla mnie...

— Pomyślimy o tém, rzekła Anna, ale czegóż żądasz więcéj?

— Żeby chałupa mojéj matki była dość obszerną

dla pomieszczenia tam jeszcze sióstr moich, które w strasznéj są nędzy.

— A daléj?...

— Chcę żeby zasługi, jakie nowy mój pan płacić mi będzie, starczyły na zakupienie dla dziadka wieprzka, z którego przyrządzimy dla niego wędliny, a dla siostry nowe chodaki, żeby mogła się w nie na Kwietnią niedzielę przystroić.

— A daléj jeszcze rzekła księżniczka, coraz bardziéj wzruszona nędzą i prostotą tego biedaka.

— Daléj... mówił wieśniak, namyślając się i rachując na palcach, co to już mam?... ubranie, dom, prosiaka, parę chodaków... no to już chyba nie wiem coby można więcéj żądać... Masz tobie... zapomniałem... chciałbym módz jeść codzień tyle chleba razowego, ile się zmieści... Tożbym dopiero hulał sobie...

— Miły Boże! zawołała księżniczka składając ręce, więc w Bretanii istnieją ludzie, którzy nie mają nawet chleba podostatkiem.

— Więcéj tu takich, którzy nie mają, niż takich, którzy mają, wielmożna wieszczko, odpowiedział mały Bretończyk.

— Czy tylko pewny jesteś tego co mówisz?

— A to dziwna, żeby taka wieszczka co wszystko wié, o tém jednak nie wiedziała? Ale przejdźno się pani do Rohalec'a, do Joanny Metouard, do Maryanny Sarzeau, do ojca Labarre, do Józefa Glageau, do Wilhelma Allona, do Mikolaja Allona, i do wszystkich Allonów, wstąp do każdéj chaty, a powiedzą ci tak jak ja, że Bretonom nicby do szczęścia nie brakowało, gdy-

by tylko codzień mogli mieć tyle razowego chleba, ile im się jeść zachce.

— Jakże mnie oszukiwano! jakże mnie oszukują codziennie! zawołała księżniczka z oczami łez pełnemi. Powiedz mi mój chłopcze, jak się nazywasz?

— Piotruś, do usług twoich wielmożna wieszczko, odpowiedział chłopak.

— Piotrusiu, rzekła księżniczka sięgając do torebki i wyjmując z niéj kilka sztuk srebrnéj monety, masz oto, pobiegnij do miasteczka zakupić dla siebie ubranie, a dziś wieczorem... tak, zaraz dziś wieczorem, pójdę na własne oczy się przekonać, czy w istocie taka nędza panuje w Bretanii.

— Wielmożna wieszczko, rzekł Piotruś spoglądając z podziwieniem na sztuki białéj monety, błyszczące na jego twardéj i opalonéj dłoni; czy pozwolisz, żebym ci jeszcze oświadczył jedno żądanie?

— Mów! odpowiedziała księżniczka.

— Oto chciałbym, żebyś sama zajęła miejsce naszéj młodéj księżniczki Anny, ażeby rządzić jak się należy krajem, i ukończyć raz przecie tę przeklętą wojnę, która już się nam wszystkim dała we znaki?

— Żądanie twoje spełniło się już Piotrusiu, jestem księżniczką Anną, odpowiedziała mniemana wieszczka, na któréj piękném i otwartém czole, wyraz dziecinnéj pustoty ustąpił w téj chwili troskom i zadumaniu wieku dojrzałego; idź w pokoju mój chłopcze, wyrazy twoje przemieniły dziecko takie same jak ty w kobietę, a może księżniczkę w królowę; idź zakup sobie nowe ubranie i bądź szczęśliwym.

A to powiedziawszy, odwróciła się i wszedłszy po za furtkę, zamknęła ją za sobą.

III.

Przebranie.

Tego samego dnia ponad wieczorem słońce nachylało się już po za szczyty starożytnych dębów Redońskiego parku; powietrze było ciepłe i spokojne, ale czuć w niém było duszność, przepowiednię burzy; komary brzęczały kręcąc się mgławemi obłoczkami po nad wodą; jaskółka muskała znużoném skrzydłem pożółkłe drzew wierzchołki, rolnik popędzał swoje woły, żeby powrócić do chałupy, zanim deszcz gwałtowny zalawszy ścieżki, nie utrudni mu pochodu, a owczarz, nawołując psy, zawracał owce do owczarni.

Wkrótce pole opustoszało zupełnie, wszystko ucichło na łąkach i w gajach, bo nawet ptaszki leśne ubezsilnione skwarem, zaprzestały śpiewów swoich. Zdaleka słychać się dawał dziwny jakiś szmer, głuchy, przerażający prawie, zdradzający nieskończoność, z któréj brał początek; był to odgłos fal morskich, które pod wpływem nurtującego głąb oceanu wzburzenia, pieniły się, napływały jedna na drugą i z trzaskiem biły o brzeg skalisty.

W téj chwili uroczystéj ciszy, przepowiadającéj burzę, na drodze prowadzącéj do zamku Redon, dał się słyszéć tentent kopyt końskich. Rycerz jadący na tym koniu mógł mieć około dwudziestu sześciu lat wieku, a był to młodzian wspaniałéj postawy i pięknéj twarzy. Podróżny ubiór jego' odznaczał się wielką wykwintnością, połączoną z gustem. I dziwna rzecz, nie kiero-

wał on swojego konia ku zwodzonemu mostowi; zdawało się, że ukradkiem tylko pragnie się dostać do zamku, bo objeżdżając wysokie mury stawał co chwila, i spoglądając w sklepione okna, ubezpieczone kratami żelaznemi, zdawał się wyczekiwać czy kogo w nich nie zobaczy. I jakby na umówione hasło, furtka owa w murze, z którą już z rana dnia tego zapoznaliśmy się, stanęła otworem, i ukazała się w niéj młoda dziewica. Spostrzegłszy jeźdzca cofnęła się ona z razu z giestem przerażenia, ale rycerz zawołał na nią, i widać powstydziwszy się tego pierwszego wrażenia trwogi, odwróciła się znów ku niemu i zapytala z uśmiechem, choć nie bez zakłopotania, czego żąda.

Rycerz zamiast jéj odpowiedziéć, spoglądał ciągle na nią, jak gdyby nie mogąc dość nasycić oczów tym cudnym widokiem. Była ona wysoka i smukła, twarz miała dziecinną, ale postawę królewską, a szlachetny jéj sposób zachowania się, zdawał się zadawać kłamstwo skromnym szatom, które ją okrywały. Miała na sobie kaftanik z czarnego aksamitu i grubą wełnianą suto pofałdowaną spódniczkę, którą pokrywał z przodu lekko zarzucony biały fartuszek. Z pod grubego kaptura jaki miała na głowie, dobywały się gęste pukle włosów miękkich, jak jedwab, w złotą wpadających barwę.

— Moja piękna panienko, rzekł jeździec przypatrzywszy się jéj do woli, chciéj mi odpowiedzieć, wszakże to jest zamek Redon?

— Tak panie, odpowiedziała dziewczyna, miękkim i słodkim głosem, czystym jak błękit jéj oczów, które bez żadnego wstydu trzymała utkwione w nowo przybyłym.

— A znużony lub zbłąkany podróżnik wszakże może tu znaleźć gościnne przyjęcie?

— Tak panie, odrzekło dziewczę.

Usłyszawszy te wyrazy, rycerz zsiadł z konia, i prowadząc go za sobą, zbliżył się do furtki.

— Za pozwoleniem pańskim, rzekła dziewczyna zastępując mu drogę, nie tędy wjeżdża się do zamku. Zechciéj pan objechać oto na około tego muru, a napotkasz most zwodzony z podniesioną broną. Wówczas zadmiesz w mały rożek, zawieszony na mosiężnym łańcuszku przy prawéj kolumnie mostowéj, wymienisz imię, nazwisko i powody, które cię tutaj sprowadzają, a strażnik spuści bronę i wprowadzi cię do zamku.

— Więc księżniczka Anna dziedziczka Bretanii, wymaga aż tylu formalności, dla dopełnienia świętego obowiązku gościnności? zapytał młody rycerz z tak dumnym ruchem głowy, że gdyby młoda dziewica była nań spojrzała w téj chwili, odgadłaby pewno krew królewską w drobnych żyłkach, które lekko czerwieniły białka oczów dorodnego młodziana. Ale słysząc imię księżniczki, nieznajoma zapuściła głębiéj na twarz gruby kaptur wełniany, stanowiący zwykły strój głowy młodych wiejskich dziewcząt bretońskich, i lękliwym prawie odpowiedziała głosem:

— Księżniczka Anna nie jest w zupełności panią tego zamku.

— Na głowę mojego ojca! zawołał rycerz uderzając po rękojeści miecza, chciéj mi powiedzieć młode dziewczę, kto śmie narzucać wolę swoją, tak pięknéj i szlachetnéj księżniczce?

— Od śmierci jéj ojca księcia Franciszka II. księżniczka żyje pod opieką marszałka de Rieux...

— Czy tego, który w r. 1465, walczył przeciwko panu swojemu dziedzicznemu królowi Francyi! zawołał z gniewliwem uniesieniem młody rycerz. Ale prawda, ja ci gadam o tych rzeczach, moje dziecko, a ty pewno nie masz o nich najmniejszego wyobrażenia, i świeże wiejskie róże, które zakwitły na twojéj twarzyczce, nie mają nic wspólnego z bruzdami, jakie troski życia wyżłobiły już na mojém czole.

Obdarzona delikatnym instynktem płci swojéj, dziewica wyczytała bolesne wspomnienia, jakie się ryły w téj chwili w sercu młodego rycerza i odgadła raczéj niż dojrzała łzę w jego oczach.

— Przykro mi szlachetny panie, rzekła, żem mogła przez nierozważne pytania moje odżywić w tobie jakie przykre wspomnienia.

Wyrazy te i ton pełen szlachetności, jakim były wyrzeczone, zdziwiły obcego.

— Kto jesteś dziewczę? zapytał.

Ale ona, z pewném wzruszeniem, od jakiego się uchronić nie mogła słysząc to zapytanie, które jednak nie powinno było jéj zdziwić, odrzekła:

— Odkądże to podróżnik żądający gościnności, zapytuje się o imie i stanowisko w świecie tych, których nawiedza?

— Sama się zdradzasz młoda dziewico, zawołał rycerz, widzę z ciebie, że musisz należeć do panien pokojowych księżniczki Anny.

— I po czémże to odgadujesz szlachetny wróżbiarzu? zapytała młoda dziewica, na ustach któréj igrał w téj chwili ironiczny uśmiech.

— Po pewnéj sztywności w twojém ułożeniu i mo-

wie, sztywności zdradzającéj dworskość, z którą dziewczyny wiejskie nie miały czasu się zapoznać.

— Więc pan mniemasz, że księżniczka Anna...

— Jest nietylko uczoną, ale nawet pedantką, co naturalnie musi się w jéj otoczeniu odbijać. Bo zapewniano mnie, że umie czytać, pisać, mówi po łacinie, a nawet rozumie trochę po grecku.

— To wszystko jest prawdą, odpowiedziała dziewica.

— A w dodatku ma być bardzo piękną, i wszystkie te przymioty sprawiają zapewne, że jest nudną, nieprzyjemną, niezgrabną, dumną, pretensyonalną; że wreszcie gdyby miała w posagu nietylko książęcą mitrę bretońską, ale nawet królewską francuzką koronę, za nic w świecie nie chciałbym takiéj żony... i przeniósłbym nad nią... ot naprzykład ciebie, chociaż ze stroju chcesz uchodzić za prostą wiejską dziewczynę.

— Dziękuję ci szlachetny panie, odpowiedziała dziewica, z któréj twarzy w téj chwili uśmiech ustąpił nieznacznemu odcieniowi niezadowolenia, ale wybacz, że się ośmielę cię zapytać, po co tu przyjeżdżasz... tutaj... na dwór téj księżniczki, nieprzyjemnéj, dumnéj, niezgrabnéj i pretensyonalnéj?

— No, no, no, podoba mi się ten twój gniew, bo dowodzi, że jesteś szczerze do swojéj pani przywiązaną. A trzeba kochać tych, którym służymy wraz z ich przymiotami i wadami: nieprawdaż moja obraźliwa dzieweczko. Ale pogódźmy się... potrzebuję twojéj pomocy, a wierzaj mi, że będę umiał się wywdzięczyć.

— Czemże mogę panu służyć?

— Powiedz mi, czy znasz historyą Francyi?

— Z panią taką jak moja, pedantką, dumną, i t. d., i t. d., wiele rzeczy można się nauczyć, odpowiedziała złośliwie dziewczyna.

— I wiesz zapewne co spowodowało wojnę, która obecnie Bretania toczy przeciwko Francyi?

— Jest to wojna niesłuszna i niesprawiedliwa, odezwała się z westchnieniem dziewczyna; zaczął ją jeszcze Ludwik XI, a Karol VIII syn jego prowadzi ją daléj z tymże samym, co i ojciec uporem.

— A jednak skończyłaby się ona wkrótce, gdyby główni sprawcy téj wojny chcieli się porozumieć pomiędzy sobą.

— A jakim sposobem może się to da uskutecznić? zapytała dziewczyna z tak poważnym wyrazem twarzy, że rycerz zapomniawszy, iż ma do czynienia z dzieckiem, ciągnął daléj rzecz swoją w ten sposób:

— Księżniczka Anna, która liczy obecnie trzynaście lat, zaręczoną została królowi rzymskiemu Maksymilianowi Austryackiemu, zaś Karol VIII król francuzki jest narzeczonym Małgorzaty Austryackiéj... Ale dwa te związki nie trudno będzie zerwać, a wówczas jeżeli zechcesz mi dopomódz, możemy wydać księżniczkę Annę za Karola VIII i wszystko pójdzie dobrze.

— Jakto jeżeli zechcę? rzekła dziewczyna trochę wzruszona.

— Tak, nastręcz mi sposobność dostania się do zamku, ujrzenia księżniczki nie będąc od niéj widzianym, i osądzenia jéj własnoocznie, a nie ze słyszenia tylko, ażebym mógł zaręczyć królowi francuzkiemu, że jest choć w części taką, jak utrzymują jéj pochlebcy, to jest księżniczką *najmędrszą*, *najpiękniejszą*, *najbogatszą*, *najukształceńszą*, *najgodniejszą tronu cesarskiego lub*

królewskiego w całéj Europie. A zresztą chociażby nie było tak w zupełności, zawsze bym ją starał się zachwalić w ten sposób królowi; chcę bowiem, żeby to małżeństwo przyszło do skutku i... tak być musi.

— Książę Ludwiku Orleański, rzekła dziewczyna, uśmiechając się z zadziwienia w jakie wymienienie tego książęcego imienia wprawiło młodego rycerza, zasługujesz żeby za taką niedorzeczną myśl zasadzono cię napowrót do więzienia, do którego cię wtrąciła pani de Beaujeu, a wyswobodził dopiero król Karol VIII, obecnie panujący nad Francyą.

— Aniele czy szatanie, kto jesteś? zawołał Ludwik Orleański chcąc porwać dziewczę za rękę. Ale ta cofnęła się szybko, i jak cień lekki znikła pomiędzy gęstemi drzewami, zamek otaczającemi.

Z konieczności więc książę musiał pójść za radą poprzednio mu przez dziewczynę udzieloną, a okrążywszy mur zamkowy, stanął przed mostem zwodzonym i zadął w róg na mosiężnym łańcuszku wiszący.

Wyszedł strażnik i zapytał o nazwisko.

— Ludwik Orleański, odpowiedział nowo przybyły.

Podniesiono bronę i książę wjechał do zamku.

IV.

Niewidomy.

A teraz pozostawmy księcia, korzystającego z gościnności, jaką mu w zamku udzielają, i podążmy za ową dziewczyną, która tak zręcznie umiała się wymknąć jego pogoni.

Biegnąc ciągle z lekkością gazelli, minęła ona wkrótce drzewa parku zamek otaczającego, i stanęła przed jedną z tych nędznych chat, o których jéj Piotruś wspominał. Była to chata Maryanny Sarzeau.

Księżniczka Anna, bo czytelnicy moi odgadli zapewne, że to ona przybrała ten ubiór wiejski, w zamiarze sprawdzenia własnoocznie tego, co jéj młody wieśniak mówił o nędzy jéj poddanych, była trochę wzruszoną. Nieprzewidziane pojawienie się obcego rycerza w chwili, kiedy już wychodziła na tę wycieczkę, zbiło ją już z toru. A wchodząc do chałupy Maryanny Sarzeau wyrzucała sobie, że tak długo pozbawiała się jednéj z największych roskoszy, jakie dać mogą władza i bogactwa, niesienia pomocy i pociechy ubogim.

Maryanna Sarzeau liczyła zaledwie czterdzieści pięć lat wieku, ale wydawała się na sześćdziesiąt, tak ją przygnębiły trudy pracowitego życia i nędza, która zużyła w niéj wszystkie siły żywotne.

— Niestety, rzekła ona do księżniczki, któréj nie znała wcale, kiedy nieboszczyk mąż mój żył jeszcze, wszystko szło lepiéj jakoś, każdy z nas pracował i przy końcu tygodnia związawszy jedno z drugiém, starczyło to jeszcze. Ale od dwóch lat, odkąd nieboszczyk poszedł do nieba, połączyć się z dwoma biednemi naszemi dziećmi, bo miałam ich troje moja kochana panienko, i pozostał mi ten oto chłopak, który na przyszły rok siedm lat kończy, od téj śmierci tedy wszystko łamało mi się pod ręką. Ja także zachorowałam i nie mogłam już jak dawniéj pracować przy wrzecionie. Powiesz mi panienka, że sąsiedzi mogli mnie wspomódz, ale niestety, oni wszyscy prawie tacy biedni jak i ja, a to co mi dawali, zaledwie starczyło mnie i mojemu

synowi, ażeby nie umrzeć śmiercią głodową... A od dziś z rana...

Biedna kobieta nie skończyła, ale księżniczka zrozumiała z przerażeniem, że od dziś z rana, ani ona zapewne, ani dziecko jéj nie musieli nic jeść jeszcze; powstała więc w zamiarze jak najśpieszniejszego wspomożenia téj nędzy.

— Powrócę wkrótce, rzekła do Maryanny Sarzeau, należę bowiem do dworu księżniczki i ona jest dość łaskawą na mnie; mam więc nadzieję, że przyśle tu do ciebie swojego doktora, który zna skuteczne leki na wszelkie słabości i potrafi wam pomocy udzielić. Więc... do widzenia.

To powiedziawszy księżniczka wyszła, zostawiwszy na stołku przy tapczanie choréj srebrnego talara.

Wzruszona temi odwiedzinami ubogiéj chaty i obrazem nędzy, jaką tam znalazła, a o któréj dotąd nie miała nawet wyobrażenia, księżniczka wracając do zamku zmyliła drogę, i ujrzała się nagle na brzegu morskim, o który zdaleka biły z trasznym szumem spienione bałwany.

I wówczas, czy to skutkiem wysokiego nastroju duszy w obec cudów przyrody, które przy uroczym blasku zachodzącego słońca, siejącego po falach oceanu purpurą i złotem, rozwijały się przed jéj oczami, czyli też pod wrażeniem rozmowy, którą przed chwilą miała z księciem, a która ją żywo obeszła; księżniczka tęskna, marząca, pogrążona w myślach, błądząc oczyma po nieskończoności morza, a zatapiając drobne nóżki w żółtym i miałkim piasku, szła ciągle daléj i daléj. I zapomniawszy o tém, że wieczór już bliski, błądziła tak, nie widząc, że słońce chyliło się już za morze, że wiatr

powstając zwolna pędził przed sobą gęste kłęby czarnych obłoków, a nawet od chwili do chwili słychać było odgłos grzmotu oddalonego.

I nagle zagrzmiało silniéj w bliskości; księżniczka zatrzymała się i spojrzała w około siebie; okolica ta była jéj całkiem nieznaną. Woda zdawała się ją otaczać ze wszystkich stron, na ziemi ani śladu mieszkania, na wodzie ani szmaty żagla.

Więc niespokojna i przejęta obawą, już miała wołać o pomoc, chociaż wątpiła, żeby jéj wołania były gdziebądź usłyszane, kiedy nagle ujrzała jakiegoś człowieka, który szedł w jéj stronę chwiejącym się krokiem. Ubiór tego człowieka stanowiły łachmany, którym trudno oznaczyćby było pierwotne kształty i barwę pierwotną; długa siwa broda spadała mu na piersi, a na twarzy znać było jakieś wycieńczenie, które wielka nędza lub wielkie cierpienie sprowadzać zwykły. A szedł tak jak zwykle idą niewidomi, wystawiając głowę naprzód z lękliwém i niezręczném wahaniem się ludzi, którzy lękają się potknąć o nieznaną jakąś przeszkodę; zanim stawił przed siebie nogę, obmacywał najprzód nią grunt, na który miał stąpić, jedną rękę wyciągnął przed siebie, a drugą opierał się na grubéj białéj lasce. A idąc mówił sam do siebie:

— O! młodzi! młodzi! Jakie to nieopatrzne! Późno już się robi. Czuję ostrą woń ziół morskich: to widocznie znak przypływu morza... A biedna moja Reginka czeka na mnie... Trzeba iść naprzód polecając się opiece Pana Boga.

To powiedziawszy starzec zrobił znak krzyża świętego i przyśpieszył kroku; ale nagle lekki krzyk rozległ się tuż przy nim, uczuł na ramieniu dotknięcie

delikatnéj jakiéjś, prawie dziecięcéj rączki, a słodki i harmonijny głosik odezwał się do niego w te słowa:

— Gdzie to idziesz staruszku?

— A do siebie, moja dobra pani albo panienko, odpowiedział bez wahania się starzec.

— Ależ przed tobą morze, dwa kroki jeszcze i pochłonęłoby cię.

— Trudno moja panienko, niewidomy zawsze bywa narażony na takie niebezpieczeństwa, ale dziękuję ci, żeś mnie ostrzegła.

— I dlaczegóż staruszku, kiedy jesteś niewidomy, wychodzisz tak sam bez przewodnika.

— Panienka widać nie jesteś tutejszą?

— A to dlaczego?

— Bo tu na pięć mil na około wszyscy znają ojca Bernez, wiedzą że jest niewidomy, a kto go napotka zbłąkanego, to odprowadza go na drogę, zamiast czynienia mu uwag. A przytém rączka twoja panienko, jest miękka i delikatna, widocznie nie stwardniała nigdy przy pracy, ani się opaliła na słońcu.

— Bo mieszkam w zamku i należę do służby księżniczki.

— A jakże się nazywasz dzieweczko?

— Anusia.

— A więc Anusiu, zamiast tracić czas na próżnéj gadaninie, pomóż mi odszukać drogę do domu, przeprowadź mnie oto wzdłuż brzegu aż do tych kup kamieni pod górą, a potém odwrócisz mnie na wschód, i... nie będę już potrzebował nikogo. Tylko śpieszmy się, bo morze przypływa szybko, a jeżeli opóźnimy się jeszcze, to ty sama, chociaż jak sądzę masz parę

dobrych oczów, nie potrafisz już trafić napowrót do mieszkania.

— Bo to, odpowiedziała mniemana Anusia, słychać zdaleka huk piorunów, noc się zbliża, ja oddawna wyszłam z domu, straciłam dużo czasu i...

— Oj młodzi! młodzi! powtórzył starzec, to zupełnie tak jak ten Piotruś mój wnuczek. Poszedł do Redon zakupić sobie nowe ubranie za pieniądze, które jak mówi, dostał od jakiejś wieszczki... A plótł mi o niéj takie niestworzone baje, że myślałem, iż chyba mu się pomięszało w głowie... Towarzyszyłem mu aż do połowy drogi do mieszkania ojca Rohalec, do którego miałem interes... Obiecał mi, że powróci za trzy godziny... Ale ci młodzi!... Oto już siódma... i burza za pasem... nie mogłem więc dłużéj czekać.

— A jednak możeby lepiéj było ojcze Bernez, zaczekać na synowca, aniżeli puszczać się w drogę samemu narażając się na wpadnięcie w morze, o mało co nie miało to miejsca przed chwilą.

— Coraz bardziéj przekonywam się, że nie jesteś tutejszą moja Anusiu, rzekł starzec uśmiechając się, bo w przeciwnym razie wiedziałabyś, że Reginka czeka na mnie sama w domu, że nasz domek oddalony jest od wszelkich mieszkań ludzkich, że nie mamy sąsiedztwa, a biedna moja córka jest tak samo jak i ja niewidoma; jeżeli zaś nie usłyszy mnie wracającego przed przypływem morza, straci głowę, jak to się zwykle u niéj dzieje, wybiegnie z domu, i narazi się na Bóg wié co, żeby mnie szukać. Nie będzie temu więcéj jak dwa tygodnie, znalazłem ją w wodzie, miała już jéj po pas, a zanurzała się coraz głębiéj, myśląc że się ratuje... Na szczęście przybyliśmy na czas z Piotrusiem, bo

parę minut jeszcze, jabym utracił córkę, a Piotruś matkę.

Serce młodéj Bretonki ścisnęło się na myśl o tych dwóch istotach, dotkniętych srogiem kalectwem, a z takiém poświęceniem miłujących się wzajem.

— Nie, ja nie mogę cię zostawić w takiem niebezpieczeństwie staruszku, zawołała Anusia łzawym głosem; oprzyj się na mnie i pójdźmy razem, żeby twoja córka nie potrzebowała ciebie szukać.

— Ale jakże ty kochana dzieweczko wrócisz do zamku, rzekł stary Bernez. Za godzinę, niepodobna już będzie tego dokonać, bo woda zaleje wszystkie drogi i ścieżki.

— Mam dobre nogi, odpowiedziała Anusia, a przytém głównie tu idzie o oszczędzenie niepokoju twojéj córce, która czeka na ciebie... A mam nadzieję, że Pan Bóg przez wzgląd na to, że starałam się dopomódz wedle możności biednemu, nie odmówi mi Swojéj opieki i dozwoli szczęśliwie powrócić do zamku.

— Widzę, że jesteś pobożną, moja dzieweczko, to bardzo dobrze.

Szli więc daléj i Anusia rzekła do starca:

— Pozwól staruszku, że ci zadam jedno pytanie. Może ci się ono wyda bardzo dziwném, ale cóż chcesz, kiedy się wychodzi z zamku tylko na mszę do kościoła, i powraca się nie mając sposobności przemówienia do żywego ducha, nie można wiele wiedzieć o tém, co się dzieje na świecie; ludzie zaś mówią, a radabym, żeby to były baśnie, że chociaż piękny bardzo kraj ta nasza Bretania, to jednak nie wszyscy Bretonowie są szczęśliwymi, i znajduje się pomiędzy niemi wielu bar-

dzo takich, którym braknie... nawet... chleba powszedniego.

— I najwięcéj jest takich, moja panienko, bo po twojém zapytaniu widzę, że jesteś prawdziwą panienką i nie dziwię się już, że masz taką miękką i delikatną rączkę.

— A dlaczegoż ci, którym braknie chleba, nie udają się do księżniczki Anny? rzekła Anusia z drżeniem w głosie: onaby ich wspomogła... A znam ją o tyle, że mogę cię o tém upewnić, mój staruszku.

— Księżniczka Anna jest jeszcze dzieckiem, rzekł starzec, a cóż można liczyć na dziecko, zwłaszcza jeżeli jego opiekunem jest marszałek de Rieux, któremu zawsze się zdaje, że to jest jeszcze rok 1475, kiedy to ci wszyscy panowie niszczyli kraj i biednych ludzi ową wojną, którą nazwali *wojną dobra publicznego.* I cóż można spodziewać się po tym marszałku, kiedy wiadomo przecie, że on Bretanii za pana, a księżniczce za małżonka chce dać barona Alana d'Albret.

— Jeszcze się to małżeństwo nie odbyło, rzekła Anusia.

— Jeżeli się nie odbyło, to się odbędzie.

— I to nie.

— A ja ręczę, że tak. Jak marszałek de Rieux raz sobie przypuści co do głowy, to już mu, jak to mówią, i klinem nie wybije.

— Ja zaś ręczę, że nic nie wskóra. Wszakże księżniczka jest także czystéj krwi Bretonką, a więc równie jak marszałek upartą i ona nie chce tego. Pan d'Albret nie podobał jéj się wcale, raz że za stary, powtóre... Ale dajmy pokój księżniczce, jéj opiekunowi i ulubieńcowi tego opiekuna, kochany staruszku,

i zamiast mi mówić, czegoby nietrzeba było Bretanii, żeby była szczęśliwą, powiedz mi, co ją uszczęśliwić może.

— Oto monarchini, któraby umiała patrzeć własnemi oczami, rzekł starzec, któraby zachodziła sama do chat biednych; bo widzisz moja dzieweczko, poczciwe słowo, to tyle znaczy nieraz dla nieszczęśliwego, co i kęs chleba. Ziemia tu jest dobra i rodzi zboża podostatkiem, nie braknie soli, wina, masła, miodu, ale podatki zabierają wszystko, wielcy panowie się bogacą, a biedny lud, który za wszystkich pracuje, umiera z głodu.

Anusia idąc ze spuszczoną głową, słuchała w milczeniu słów starca; i ten, który w téj chwili spojrzałby na nią uważnie, obaczyłby łzy w jéj oczach, a na czole głębokie, nie dziecinne już wcale zadumanie.

A starzec mówił daléj:

— I mogę z wszelką świadomością o tém rozprawiać, bo spytaj się panienka każdego w okolicy, a powiedzą ci, że stary Bernez był bogatym, zanim Pan Bóg go dotknął klęską utraty wzroku. W chacie jego było chleba podostatkiem, dla niego, żony i dzieci, z których pozostała już tylko Reginka, dotknięta témże samém co i ja kalectwem. Rok rocznie zabijałem tłustego wieprzka dla sporządzenia z niego wędlin, a w Kwietnią niedzielę znalazło się zawsze co odłożonych pieniędzy, na zakupienie dla całéj rodziny nowych chodaków, co nam wszystkim wielką radość sprawiało, bo naturalnie nie potrzebowaliśmy już chodzić boso do kościoła. Nareszcie tak mi się wiodło, iż mówiono ogólnie w okolicy, iż mam tajemne stosunki z *wyklętemi kamieniami*, na jednym z których wyżło-

biony jest krzyż, i nawet mówią ludzie, że to jeden z moich przodków sławny siłacz Paweł Bernez, swoim nożem ten krzyż wyżłobił... Ponieważ zamieszkujesz te okolice moja panienko, to musisz przecie o tych *kamieniach wyklętych*... I dałby Bóg, żeby przyszły w pomoc mojemu wnukowi Piotrusiowi Bernez, jak już sto lat temu posłużyły pradziadowi jego Pawłowi Bernez.

— I w czémże te *wyklęte kamienie* posłużyły waszemu dziadowi? zapytała Anusia, która uginała się pod ciężarem ręki starca, opierającego się na jéj ramieniu.

— O! to długa historya, ale do mojego mieszkania daleko jeszcze i mam czas ci ją opowiedzieć, moja dzieweczko, rzekł starzec z tą prostoduszną uciechą starych wieśniaków, kiedy znajdą sobie chętnego słuchacza dla cudownych powieści, które lubią opowiadać.

V.

Kamienie wyklęte.

Więc starzec zaczął rzecz swoją w ten sposób:

— Było to w wigilią Bożego Narodzenia... a jak raz sto lat temu, może trochę więcéj, może trochę mniéj, nie umiałbym bowiem z pewnością daty naznaczyć; to tylko pewna, że wypadek ten miał miejsce w samą noc Bożego Narodzenia. Owóż wiadomo, że w taką noc, woły mogą się odzywać głosem ludzkim... a mówią ludzie, iż dlatego się to dzieje, że te zwierzęta były świadkami narodzenia naszego Chrystusa Pana. Sam jednakże nie śmiałbym napewno twierdzić

o tém, nigdy bowiem nie zdarzyło mi się słyszéć wołów rozmawiających pomiędzy sobą, ani podczas nocy nie znajdowałem się w oborze, to i nie mogłem podsłuchać téj ich rozmowy, a być także może, ponieważ wszystko zmienia się na tym świecie, że woły, które rozmawiały pomiędzy sobą w owym czasie, obecnie zaprzestały już mówić... niech i tak będzie. To bo i pewna, że rzeczy, które dawniéj dość często się wydarzały, teraz zdarzają tak rzadko, że trudno napotkać takiego, któryby twierdził, że słyszał na własne uszy rozmawiające woły. Nawet mnie nie zdarzyło się nigdy zdybać się z takim człowiekiem, i gdyby nie opowiadanie to o Piotrze Bernez, sambym powątpiewał o prawdziwości tego twierdzenia.

No, ale powróćmy do tych *kamieni wyklętych*:

Było to więc w wigilią Bożego Narodzenia...

Ale przedewszystkiém trzeba ci wiedzieć moja panienko, że w owym czasie tułał się po tutejszéj okolicy niejaki żebrak zwany Plankoet.

Ten człowiek jak mówiono, nie był ani żydem, ani chrześcijaninem, nigdy nie widziano go wchodzącego do kościoła, i dziwne o nim obiegały wieści. Utrzymywano, że umié rzucać uroki na ludzi i na bydło, że potrafi zsuszyć zboże na pniu, opróżnić orzechy z ziarna w nich znajdującego się, zmrozić winne grona, skwasić wino w kadziach, stopić sól, poprzemieniać wszystkie pszczoły na trutnie i odjąć mleko krowom. A co najgłówniejsza, byli tacy, którzy twierdzili, że żebrak ów jak tylko zechce, może się przemienić w *gobelina*.

— Co to znaczy przemienić się w *gobelina?* zapytała Anusia.

— Tak u nas nazywają *wilkołaków*, odpowiedział Bernez.

— Wybacz staruszku jeżeli ci jeszcze raz przerywam, mówiła daléj Anusia, ale ja również nie wiem, co to jest *wilkołak?*

— Tak nazywają człowieka, który może ile tylko razy zechce, przybrać kształty zwierzęcia. Ot naprzykład za nadejściem nocy, *gobelin* może sobie powiedzieć: „Chcę zostać osłem" i zostaje osłem, potém chce być wołem i przemienia się w wołu.

Owóż ten niedowiarek wiedział, tak jak i wszyscy w okolicy, że co sto lat, wyklęte kamienie chodzą napoić się do morza, i że podczas kiedy piją, skarby, które się kryją pod niemi, pozostają jawnemi dla każdego przechodzącego tamtędy, i dostępnemi dla lada śmiałka, który po nie sięgnąć się odważy. Jednakowoż takiemu śmiałkowi wielkie grozi niebezpieczeństwo, bo *kamienie wyklęte* napoiwszy się w morzu, powracają na swoje miejsce i to tak szybko, że przygniatają zwykle tych, którzy podczas ich nieobecności odważają się sięgnąć po skarby. Istnieje jednak jeden sposób ustrzeżenia się od nich: należy im dać na pastwę jaką chrześcijańską duszę, a przytém trzymać w ręku trawkę paproci, zaś każdemu wiadomo, jak trudną jest taka trawka do znalezienia. Ale Plankoet znalazł już był tę trawkę, brakło mu tylko duszy chrześcijańskiéj, i w tym zamiarze wpadł mu jakoś w oko mój pradziadek Piotr Bernez.

Poszedł więc go odwidzieć w wigilią wigilii Bożego Narodzenia.

— Pojutrze, rzekł, wypada czas, w którym kamienie wyklęte mają iść się napoić w morzu. Czy

chcesz, ażebyśmy poszli razem, w celu wykradzenia skarbów, które znajdują się pod niemi?

— A czy masz paproć? zapytał mój pradziadek.

— Naturalnie, że mam.

— Ale wiesz przecie, że oprócz tego potrzeba im dać na pastwę duszę chrześcijańską? mówił daléj mój pradziadek

— O, to znowu nie jest tak koniecznie potrzebném, rzekł Plankoet, który potajemnie umyślił był sobie, poświęcić w ofierze mojego dziadka. Zwykle się zdarza, że one powracając przytłoczą kogoś, a więc zawsze znajdą sobie duszę.

— To ma się znaczyć, rzekł Bernez, że ażeby posiąść skarby tych *wyklętych kamieni*, ty pragniesz szatanowi czynić służbę. Ale ja wolę się trzywać Pana Boga, i zobaczymy kto wygra na tém.

— A jakże sobie w takim razie poradzisz? zapytał go Plankoet.

— Pójdź za mną, rzekł pradziadek, a zobaczysz.

To powiedziawszy, wziął młot i dłuto, i udał się w pochód ku górom. Przybywszy tam, wybrał sobie największy i najgrubszy z kamieni, przyłożył do niego dłuto, i bijąc młotkiem począł w nim krzyż żłobić. Widząc to Plankoet, począł się śmiać, ale to tak głośno, że aż echa okoliczne powtarzały śmiech jego i zdawało się, że wszystkie *kamienie wyklęte* śmieją się także. Ale mój pradziadek nie zważając na to, kończył daléj swoje dzieło. I kiedy krzyż już był gotów, rzekł do Plankoeta:

— A więc jutro o północy.

— Jutro o północy, odpowiedział Plankoet.

Nazajutrz, była to właśnie wigilja Bożego Naro-

dzenia, obaj, trochę przed północą spotkali się u stóp góry. Plankoet niósł ze sobą z jakie dwanaście sporych sakw, zawieszonych na około pasa, a pradziadek mój miał w ręku poświęconą gałązkę palmową, którą w Kwietnią niedzielę wyniósł był z kościoła. I obaj zaczęli wchodzić na górę.

— Cóż myślisz zrobić z nabytemi skarbami? zapytał Plankoet, ciesząc się już z góry z pomyślnego skutku zamierzonego przedsięwzięcia.

— Udzielę ich ojcu, matce, braciom i siostrom.

— A daléj?...

— Daléj, wybuduję piękny kościół dla Pana Boga.

— A daléj jeszcze?...

— Daléj... no i cóż... daléj... będę rozdawał pieniądze tym wszystkim, co mnie o to poproszą. Ale teraz ty mi powiedz Plankoecie, co zamierzasz z twojemi skarbami uczynić?

— Zachowam je w wielkich skrzyniach i codziennie będę przerachowywał.

— A daléj? zapytał pradziadek.

— Daléj... każę sobie piękny pałac postawić.

— A daléj jeszcze?...

— Daléj... daléj... będę pokazywał te pieniądze wszystkim tym, którzy mnie prosić będą o wsparcie, ale nie dam im ani grosza, żeby pozdychali z zawiści.

Tak rozmawiając ze sobą, przybyli wreszcie na szczyt góry. I jak raz w téj chwili właśnie nadeszła północ, a obaj śmiałkowie usłyszeli nagle wielki huk i łoskot, jak gdyby ogromnych głazów, uderzających o siebie i roztrącających się na sztuki. Były to *kamienie wyklęte*, które biegły napoić się w morzu. Bernez i Plankoet zobaczyli je tuż obok staczające się z góry,

a czyniły one to tak szybko, iż widocznėm było, iż wielkie pragnienie im dokucza. Kiedy wreszcie już ostatni kamień przeleciał, Plankoet i mój pradziadek zbliżyli się do miejsc, które one zajmowały przed chwilą i stanęli w osłupieniu. Było tam co nie miara złota, srebra, drogich kamieni, i Bóg wié już nie jakich skarbów. Bernez upadł na kolana i począł dziękować Bogu, że takie skarby oddał mu do rozporządzenia, ale Plankoet nie tracąc czasu, począł napełniać sakwy i to tak szybko, że aż zadyszał się cały, co mu jednak nie przeszkadzało śmiać się z mojego pradziadka, który nie wziął był ze sobą żadnego worka ani naczynia, do zabrania tych skarbów.

Ale mój pradziadek pomodliwszy się Panu Bogu, podniósł się także i począł nabierać złota do kieszeni, kiedy nagle straszny hałas dał się słyszéć, a były to *kamienie wyklęte*, które napoiwszy się do syta, wracały na swoje miejsca, łamiąc i druzgocąc wszystko po drodze.

— Nogi za pas! zawołał Plankoet, cofając się na bok i wystawiając naprzód rękę, w któréj trzymał paproć.

Mój pradziadek zaś tak się zląkł, że ze strachu zapomniał nawet wyjąć z zapazuchy poświęconą palmową gałązkę, a widząc kamienie toczące się na niego całą massą, rzucił się na kolana polecając duszę Bogu, bo zdawało mu się, że to już ostatnia jego godzina... I widział jak kamienie ustępowały na jedną i na drugą stronę przed czarodziejskiém zielem, które Plankoet trzymał w ręku, a wszystko się ku niemu waliło z hałasem. Ale w chwili kiedy ten z kamieni, który biegł na przodzie miał już uderzyć o niego, jakiś ogromny głaz gruby a wysoki stanął pomiędzy nim a napastni-

kami, odtrącając ich na stronę. Spojrzał pradziadek i spostrzegł, że to ten sam kamień, na którym był krzyż wyżłobił.

Zwolna wyklęte głazy pozajmowały swoje dawne miejsca, więc też i kamień z krzyżem wypełniwszy swoję powinność, począł się toczyć ku odwiecznemu łożysku, ale w drodze napotkał Plankoeta, który stał z wystawioną naprzód paprocią. Ponieważ jednak ziółko czarnoksięzkie nad kamieniem z krzyżem żadnéj władzy nie miało, a nawet owszem głaz ten jako świeżo znakiem świętym opatrzony, miał wstręt do wszelkiego szatań請stwa; więc niby nie widząc czarownika, potrącił go tak silnie, że ten wraz bez życia padł na miejscu, a pradziadek mój odziedziczywszy po nim sakwy i wszelkie skarby, został bardzo bogatym, wymurował, jako to był przyrzekł, kościół dla Pana Boga, a z reszty wraz z rodziną żył długo, swobodny i szczęśliwy... Oto cała rzecz tak, jak mi ją ojciec i dziadek opowiadali.

W chwili kiedy niewidomy skończył mówić, rozległo się zdaleka głośne wołanie. Był to Piotruś, który powracając z miasta, gonił za dziadkiem.

— Dziaduniu! wołał, poczekaj! zatrzymaj się chwilę! To ja... prawda, że długo bawiłem, ale jak też jestem wystrojony!... Kasia węglarka nie mogła mnie poznać i dziwowała się tylko, co to za panicz do niéj zagadał. Jaka to szkoda dziaduniu, że nie możesz mnie widziéć, bo dalibóg byłoby na co patrzéć. Oddajże mi panienka dziadunia, mówił daléj biorąc staruszka za rękę i jeżeli mieszkasz w zamku, jakby to się wydawało po téj tak czystéj spódniczce, którą masz na sobie, to spiesz się powrócić przed nocą, bo woda zalewa już zewsząd drogi. Ależ Jezu Chryste! zawołał Piotruś

spojrzawszy po pierwszy raz na towarzyszkę starca... Co za podobieństwo!.. i gdybym nie wiedział, że wieszczki nie noszą chłopskich ubiorów... to myślałbym... że panienka jesteś tą samą wieszczką.., tą samą księżniczką... która...

— No, ale kiedy jestem chłopką, to nie mogę być ani jedną, ani drugą, rzekła uśmiechając się Anusia.

— To też przepraszam panienkę, żem ją wziął za wieszczkę albo księżniczkę, rzekł Piotruś, ale podobna jesteś do tamtéj, jak jedna kropla wody do drugiéj... dalibóg, że prawda.

— Nie łam sobie już głowy nad tém podobieństwem mój Piotrusiu, obecnie twój dziadek ma już w tobie przewodnika, a ja powrócić mogę do zamku.

— Tak, ale niech panienka nie idzie drogą na prawo, bo tam już jest woda, tylko trzeba skręcić spadkiem góry, tam około téj kamiennéj kolumenki i potém w lewo kładką przez wąwóz, a może i uda się panience zdążyć tamtędy zanim morze przejścia zaleje. Tylko trzeba się spieszyć.

— Dziękuję, odpowiedziała Anusia, a ponieważ dobra rada zasługuje na wzajemność, to wiedz o tém, że kiedy zabraknie ci pieniędzy, nie potrzebujesz wcale wyczekiwać na chwilę, w której wyklęte kamienie idą poić się do morza, ale zapukaj do bramy zamkowéj, i oświadcz, że chcesz się widzieć z księżniczką... a i bez paproci nawet wszystko ci pójdzie dobrze.

A to powiedziawszy, lekka jak gołąbek, a chyża jak sarna, poczęła biegnąć w kierunku przez Piotrusia jéj naznaczonym.

VI.

Przypływ morza.

Chociaż bohaterka nasza rzadko kiedy odprawiała przechadzki w okolice zamku, co łatwo można było poznać po pewném wahaniu się w jéj biegu i obawie, z jaką zwracała spojrzenie na prawo i na lewo, niemniéj jednak znała niebezpieczeństwo, jakie jéj groziło na téj płaskiéj przestrzeni, z powodu przypływu morza, a kamienna kolumenka, którą jéj Piotruś wskazał jako punkt przewodni, zamiast ją uspakajać, straszyła ją jeszcze bardziéj: wiedziała bowiem, że ten pomnik wystawiony został przez pewną na pamiątkę jéj córki, która tam śmierć poniosła. Więc przyśpieszała kroku, podążając o ile tylko mogła najszybciéj i nie czując jak krople deszczu, spadające na jéj czoło, mieszały się z kroplami potu, wyciśniętemi przez bojaźń i znużenie. Więc biegła coraz prędzéj, bo dochodził już jéj uszów szum wody, z przodu, z tyłu, ze wszystkich stron. I widziała tę wodę przebłyskującą zdala i pokrywającą coraz większą przestrzeń. A wkrótce spostrzegła, że piasek, po którym stąpała, jest ruchomy, woda bowiem nurtuje go i rozmiękcza zwolna. Więc zatrzymała się chwilę, zdjęła trzewiki, żeby jéj wygodniéj było iść w wodzie i biegła daléj nie zważając już na tę nową przeszkodę, ale jako dobra chrześcijanka wyjęła różaniec z kieszeni i poczęła powoli odmawiać modlitwy, pokładając w Bogu nadzieję, bo tylko On Sam mógł ją wyrwać z tego niebezpieczeństwa.

I nagle usłyszała po za sobą wołania jakieś, a drżą-

cy i przytłumiony głos wołającego dowodził, że musiał on biedz spory kawał drogi bez odpoczynku.

— Zatrzymaj się panienka! Na miłość Boską zatrzymaj się! Jeden krok więcéj, a już po tobie.

Anusia odwróciła się, ale w téj chwili Piotruś dopadł do niéj i już ją trzymał za spódnicę.

Wypadek ten dopełnił miary przestrachu biednéj Anusi: zachwiała się i upadła zemdlona w objęcia Piotrusia i drugiego wysokiego a silnego wieśniaka, który biegł z nim razem.

— Na czas przybyliśmy mój chłopcze, rzekł ten ostatni, gdyby upadła była w wodę, niktby jéj już nie wyratował. Czy widzisz Józefa Glageau na kolumnie?

— A jakżebym go nie miał widzieć? rzekł Piotruś zwracając oczy w tym kierunku. Ale co to ma się znaczyć, że tyle luda klęczy około téj kolumny. Słuchajno Rohalec, tyś krzepki jak wół, co wypoczął sobie przez parę dni po robocie, więc weź ją na plecy, a ja potrzymam ją za nogi i daléj w drogę... Jeszcze nie wraca do przytomności... a jaka blada!...

— Skoro ją umieścimy w bezpieczném miejscu, to już kobiety dotrzeźwią się tam jéj... nie nasza to rzecz... No, ale spojrzno co tam Józef robi?

— Założył ręce na piersi, co ma się znaczyć, że jesteśmy na dobréj drodze, rzekł Piotruś... A co, czy nie mówiłem... już mam tylko wody po łydki.., nie ma się czego obawiać.

I już zbliska widniała przed niemi owa kolumenka, postawiona na skale odosobnionéj, zkąd widok daleko się rozciągał na około, i dlatego podczas burzy lub silnego przypływu morza, stał tam zwykle człowiek dla ostrzegania zbłąkanych podróżników. Nagle do

uszów ich doszły wołania kobiet, stojących u stóp téj kolumenki.

— Księżniczka? Gdzie jest księżniczka? pytały się one płacząc.

— Nie widziałem co prawda księżniczki, tylko jakąś dziewczynkę, która widocznie do służby zamkowéj należy, i która gdyby nie ja, zakosztowałaby trochę wody morskiéj, odpowiedział Piotruś.

— Dziewczyna ze służby zamkowéj! zawołały kobiety i zbliżywszy się do zemdlonéj Anusi, którą Piotruś i Rohalec położyli na piasku, krzyknęły:

— Ale to nasza ukochana księżniczka!

— Zemdlona! zawołała jedna.

— Może umarła! wyjęknęła druga.

— Jezu, Marya! ratujcie nas! wykrzyknęły wszystkie.

— Księżniczka w ubiorze chłopki! rzekł Piotruś zdziwiony, czy to podobna?

— Ale to ona nie kto inny, odpowiedziała jedna z kobiet. Joanna mówiła mi, że widziała księżniczkę kierującą się ku téj stronie... Ale w jakimże stanie napotykamy ją!... Pani Metouard, wszakże musisz mieć z sobą flakon z wodą trzeźwiącą.

— Obejdzie się już bez téj wody, rzekła trzecia kobieta, która przez ten czas nacierała skronie księżniczki wilgotną chustką... Jéj Książęca Mość otwiera już oczy!... Ach Miłościwa Pani, jakże nas przeraziłaś! Księżniczka uśmiechnęła się, a spojrzawszy na otaczające ją osoby i przypomniawszy sobie co zaszło, wyciągnęła do Piotrusia białą i delikatną rączkę.

— Więc wiedziałeś, kto ja jestem Piotrusiu? zapytała.

— Co prawda, to nie zupełnie Wielmożna księ-

żniczko, odpowiedział Piotruś trochę zakłopotany i nie wiedząc jak przemawiać do tak znakomitéj osoby, ale oto cała rzecz. Odprowadziwszy dziadka do domu powiedziałem sobie: Nie mogę przecież pozwolić powracać saméj do zamku téj panience, co tak podobna do wieszczki... ona była tak dobrą dla mojego dziadka, więc i ja powinienem przysłużyć się jéj w czém będę mógł. A ponieważ nie ufałem tak zupełnie sobie, zawołałem Rohaleca, żeby poszedł ze mną, a Rohalec, trzeba państwu wiedzieć, to tak dzielny pływak, że gdyby cała wieś wpadła do wody, on całą wieś wyratuje. Wytłumaczyłem mu o co idzie, że trzeba pogonić za pewną panienką, która choć to niby rozgarnięta, ale jednakże drogę przed sobą nie bardzo rozpoznać potrafi... Więc postawiliśmy Józefa Glageau na kolumnie, ażeby nam robił znaki, a sami puściliśmy się za panienką... przepraszam, za księżniczką, którą przecież dogoniliśmy, kiedy zdjąwszy trzewiczki i pończoszki, z różańcem w ręku, wchodziła sobie jak nic w morze. No i co prawda to prawda, można powiedzieć chociaż to księżniczka, że jużby było bardzo źle, gdyby nie my. Ale i Rohalec i ja kontenci jesteśmy, żeśmy ją wsparli w tym razie.

— A ja potrafię być wdzięczną, rzekła księżniczka, która już zupełnie powróciła do przytomności.

Damy dworskie spytały Piotrusia, którędy najbezpieczniéj powracać do zamku, a on wskazał im ścieżkę której nawet przy najsilniejszym przypływie, woda morska nigdy nie przykrywa. Wówczas oparłszy się na ramieniu pani Metouard, księżniczka udała się napowrót w drogę do zamku.

— I cóż się tam stało w czasie mojéj nieobecności? zapytała.

— Marszałek i baron d'Albret, obydwaj wielce rozsrożeni, że nie zastali Waszéj książęcéj Mości, zaczęli nas obwiniać o kłamstwo; widząc nareszcie, że tracą czas nadaremnie i uważając to za uchybienie swojéj godności, opuściwszy zamek, odjechali do Nantes.

— A potém? zapytała księżniczka nie bez pewnego wzruszenia.

— Zaraz po ich wyjeździe, dorodny jakiś rycerz, ale dorodny co się zowie, zameldował się do mostu zwodowego, oświadczając życzenie widzenia się z Waszą książęcą Mością. Odpowiedzieliśmy mu tak samo, jak i panu de Rieux. Wówczas to Joanna przyszła nam powiedzieć w sekrecie, że widziała Waszą książęcą Mość, wychodzącą w ubraniu wieśniaczki przez furtkę do lasku prowadzącą, a ponieważ słońce miało się ku zachodowi i wszystko zdawało się zapowiadać burzę, która na szczęście rozeszła się, panna Dustec, panna Kersabec i ja, wyszłyśmy z zamku w zamiarze poszukiwania Waszéj książęcéj Mości, a Józef Glageau, którego spotkałyśmy w drodze, doprowadził nas pod kolumnę, jako do miejsca, zkąd całą okolicę można najlepiéj ogarnąć wzrokiem... Ale wybacz miłościwa księżniczko, że ośmielę się zapytać, co znaczy to przebranie?

— Chciałam naocznie osądzić kto ma słuszność, czy marszałek de Rieux, czy Piotruś; marszałek bowiem twierdzi, że wszyscy, moi poddani są szczęśliwymi, Piotruś zaś utrzymuje, że ubóstwo i choroby dzień w dzień ich dziesiątkują... Powiedziałam więc sobie: „Jeżeli zapragnę wejść do chaty ubogich w bogatém ubraniu, to nigdy się niczego nie dowiem, obawa bowiem i uszanowanie nie dozwolą im powiedzieć mi prawdy, ale jeżeli ukażę się przed moimi poczciwymi wieśniakami

w tych samych sukniach, które i oni noszą, to wezmą mnie za jednę ze swoich i odkryją przedemną całą prawdę bez zatajenia niczego."

— I czegóż dowiedziała się Wasza książęca Mość podczas téj wyprawy? zapytała panna de Kersabec.

— Opowiedziano mi tylko legendę o wyklętych kamieniach, rzekła z uśmiechem księżniczka, która nie miała wcale ochoty zwierzać się przed paniami dworskiemi z tajemnych wrażeń swoich.

— Kto zna jednę legendę bretońską, ten zna i wszystkie, Miłościwa księżniczko, rzekła pani Metouard, która jako dawna ochmistrzyni księżniczki, była z nią poufalszą od innych.

We dwie godziny po tym wypadku, Anna w książęcym stroju przyjmowała na audencyi Ludwika księcia Orleańskiego i odmawiała swojéj ręki Karolowi VIII królowi francuzkiemu z powodów, które powinny były zostać w tajemnicy więcéj jeszcze dla krewnego i umocowanego posła królewskiego, aniżeli dla kogobądź innego.

— Pani, rzekł książę, którego ta odmowa nie tyle zmartwiła niżby się zdawać powinno, wjeżdżając do zamku Waszéj książęcéj Mości, spotkałem młodą osobę, i nigdy nie pragnąłbym innéj żony, jak ona. Bo w téj dziewicy napotkałem połączone wszystko: młodość, piękność, serce i rozum, i przez całe życie zachowam wrażenie, jakie na mnie sprawiła. To powiedziawszy z żalem przychodzi mi oświadczyć Waszéj książęcéj Mości, że dostojny pan mój Karol VIII, z Bożéj łaski król Francyi, wypowiada Bretanii wojnę, którą będzie toczył aż dopóki... z przykrością przychodzi mi to dopowie-

dzieć... aż dopóki Wasza książęca Mość nie zechcesz przyjąć ofiarowanéj przez niego ręki.

— A więc wojna! odpowiedziała księżniczka z tak słodkiém spojrzeniem, że książe Orleański nie potrzebował wielkiéj domyślności ażeby zrozumieć, iż to nieprzyjazne słowo nie do niego się stosowało.

VII.

Wojna.

W pewien czas po tych wypadkach, w styczniu r. 1489, księżniczka Anna na klęczkach, z płaczem modliła się w kapliczce zamkowéj. A zdaleka słychać było odgłos bębnów.

To oddział wojska pieszego z nastawionemi włóczniami i halabardami, z rozwiniętemi na wiatr sztandarami zbliżał się do zamku.

— O! mój Boże! wołała księżniczka załamując rozpaczliwie ręce, mój Boże! Ocal mnie!... ocal nas wszystkich!... ocal kraj mój kochany od téj wojny straszliwéj!... Spuść na mnie natchnienie z nieba i wskaż co mam czynić!.. Mamże zaślubić tego króla francuzkiego, którego nie kocham?... O jakże nieszczęśliwe są księżniczki! Nie wolno im iść za popędem własnego serca.

Modlitwę tę przerwały krzyki rozlegające się na korytarzu. Nagle drzwi od kapliczki stanęły otworem, a kobiety dworskie i służebne księżniczki w wielkiém przerażeniu i boleści, wpadły do komnaty.

Na widok tego przestrachu, tych łez, téj boleści

ogólnéj, księżniczka Anna zrozumiała, że do niéj saméj już tylko należało dodać odwagi tym chwiejącym się sercom. Więc zapanowawszy nad własną boleścią, przybrała w oczach i uśmiechu twarzy wyraz odwagi i zaufania które jednak dalekie były od niéj.

— Więc, zawołała, bledniecie już i zamieracie ze strachu dlatego, że mały oddziałek nieprzyjacielskiego wojska otoczył nasz zamek, i że opiekun mój zagniewany na mnie, iż odmówiłam ręki jego protegowanemu, wyjechał ztąd do Nantes, grożąc nam zemstą... Ale nie lękajcie się, nie drżyjcie tak, wysokie są wieże zamku, i dzielne ramiona rycerzy moich, którzy gotowi wszyscy śmierć ponieść w naszéj obronie. Nie prawdaż Filipie de Montauban.

Ostatnie te wyrazy wyrzeczone były do rycerza w podeszłym już wieku, ale olbrzymiéj postawy, który ukazawszy się we drzwiach kapliczki, zatrzymał się z uszanowaniem na progu.

— Niestety! odezwał się stary rycerz, dzisiaj Miłościwa księżniczko nadeszła chwila okazania odwagi, którą odziedziczyłaś po ojcu swoim Franciszku II, i roztropności, jaką przekazała ci w spadku po sobie nieodżałowana matka twoja Małgorzata de Foix. Chateaubriant, Guingamps, Brest, Cocarneawe, poddały się już, albo wzięte zostały szturmem, a wice-hrabia de Rohan, główny wódz armii francuzkiéj osobiście dowodzi oddziałem wojska, które w téj chwili zbliża się pod zamek... Przy tak małéj liczbie osady, jaką posiadamy, niepodobna nam stawić oporu; trzeba uciekać...

— Uciekać! nigdy! zawołała księżniczka, a oczy jéj w téj chwili dziwny wyrażał zapał.

Ale jak gdyby nie słyszał wykrzyknięcia księżniczki, stary wojak mówił daléj:

— Droga do Nantes jeszcze pozostała swobodną; więc spiesz się pani, bo niebezpieczeństwo grozi: dłuższe wahanie się byłoby zgubą... Ucieczka jest koniecznością, jest obowiązkiem dla ciebie księżniczko, dla bezpieczeństwa kobiet twoich, dla życia sług twoich wiernych...

— Tak jest, masz słuszność Filipie, dla nich i dla nich tylko mogę i powinnam się poświęcić, rzekła Anna z wielką powagą i smutkiem.

Poczém podawszy rękę Filipowi de Montauban kanclerzowi Bretanii, w towarzystwie dworskich kobiet które jéj dziękowały za uwzględnienie rad starego wodza, wyszła z kapliczki.

Wyjazdowi księżniczki z zamku miał towarzyszyć konwój ze stu koni złożony. Był to kwiat rycerstwa bretońskiego. Księżniczka znalazła ich wszystkich zgromadzonych na wielkiém podwórzu honorowém. Więc siadła na śliczną białą klacz, którą przyprowadzili jéj masztalerze, i dając sama znak odjazdu, wyruszyła przez ową dobrze nam znaną furtkę, drogą do Nantes.

Rycerze rozwinąwszy się w półkole, otoczyli ją i damy do świty należące, a zdaleka widać było obłoki kurzu, i tentniała ziemia pod uderzeniem kopyt końskich.

Była to pogoń francuzka.

Nareszcie po kilku godzinach szalonego biegu księżna wraz z konwojem przybyła pod mury stolicy, i wraz bramy miasta otwarły się i ukazał się marszałek de Rieux na czele zastępu zbrojnych, nie ażeby przyjąć

swoją panią, jak to było jego powinnością, z zaszczytami godności jéj przynależnemi, ale ażeby nie wpuścić jéj do stolicy przodków.

I niebezpieczne było to położenie, bo z tyłu groziła pogoń francuzka, z przodu buntowniczy marszałek bronił wejścia.

W téj ostateczności księżniczka umiała znaleźć jedno z tych niespodzianych natchnień, które tylko wielkim sercom w rzadkich chwilach Bóg zsyła; porwała ona za miecz Filipa de Montauban, który stał najbliżéj przy niéj i zawołała:

— Za mną hrabiowie i baronowie! Uderzmy na tych buntowników i przekonajmy się, czy odważą się stawić opór prawowitéj monarchini swojéj?

I pierwsza rzuciła się ku bramom.

Ta niespodziana przytomność i odwaga trzynastoletniego dziecka, takie sprawiła wrażenie na żołnierzach załogi i samymże marszałku, że zamiast czynić opór księżniczce, rozproszyli się na dwie strony i zmieszali się z konwojem Anny, żeby wejść do miasta.

Zajechawszy do swojego pałacu, Anna kazała przywołać do siebie kanclerza i marszałka.

Już dziecko w niéj znikło zupełnie. Dwaj ci rycerze znaleźli przed sobą kobietę, wprawdzie bardzo jeszcze młodą, ale uroczyście poważną i silną niezachwianém postanowieniem:

— Panowie! rzekła księżniczka wskazawszy doradcom swoim krzesła, na których zasiedli w milczeniu, wojna jest straszną klęską, tém straszniejszą, że ciężar jéj ponoszą głównie ci, którzy w niczém na wybuch jéj nie wpłynęli. Nie kocham wcale króla Karola VIII, i gdyby wolno mi było wybierać męża, nigdybym jego

nie wybrała... nie mogę jednak znieść téj myśli, że życie moich poddanych narażone jest dla dogodzenia mojemu upodobaniu. Monarchini nie należy do siebie, ona winna się poświęcić dla swojego ludu: ja téż to uczynię. Panie marszałku de Rieux, chciéj zawiadomić jako mój opiekun króla jegomości francuzkiego, że ja Anna księżniczka Bretanii przyjmuję jego rękę, i że przynoszę mu w posagu najpiękniejszą część Francyi. Pragnę tylko, żeby z uwagi na wiek mój młodociany, ślub ten przez rok jeszcze poszedł w odwłokę, tém bardziéj, że potrzebuję tego czasu dla godnego ocenienia zaszczytu, jaki mi wyświadcza król jegomość, starając się o moją rękę.

W listopadzie tegoż samego roku, w zamku królewskim de Langeais, wielka była uroczystość. Wszystkie okna gorzały światłem, rozpalono ognie na podwórcach zamkowych, w salach honorowych odzywała się muzyka wojskowa, a łucznicy szkoccy ze straży przybocznéj królewskiéj, przechadzali się przed główną bramą zamkową, z halabardami na ramieniu, w płaszczach narodowemi barwami przystrojonych.

I nagle jakby w odpowiedzi tym tysiącznym światłom, w które się przystrajały okna zamkowe, ujrzano całą Loarę odbłyskującą ogniem rozpalonych pochodni i pięknie przystrojone łodzie, zdobne chorągwiami Francyi i Bretanii, zbliżały się powoli do brzegu. Była to Anna księżniczka Bretanii, która zgodnie z udzielonóm przyrzeczeniem, przypływała liczną świtą znakomitych dam i panów otoczona, oddać swoją rękę Karolowi VIII królowi francuzkiemu.

Na wieść o przybyciu księżnéj, król wyszedłszy ze swojego mieszkania, podążył szybko na spotkanie

oblubienicy. Zastał już ją na podwórzu zamkowém; była blada, drżąca i opierała się na ramieniu pani Metouard, ulubionéj swojéj ochmistrzyni. Na widok króla, Anna rzuciwszy się na kolana, rozpłynęła się we łzach, ale z grzecznością prawdziwie francuzką, i z czułością, którą usprawiedliwiała uroczystość mająca wkrótce nastąpić, Karol VIII podniósł księżniczkę, ucałował ją w oba policzki i wziąwszy ją za rękę, rzekł do dworzan i panów otaczających go:

— Do kaplicy panowie.

W taki sposób odbyło się małżeństwo księżniczki Anny z królem Karolem VIII, i od tego czasu Bretania przyłączoną została do Francyi.

Niedługo jednak potrwał ten związek, na zawarcie którego nie skłonności serca, ale wymagania polityczne wpłynęły; w siedm bowiem lat po tych wypadkach, dnia 17 kwietnia 1498 r. król Karol VIII, wjeżdżając do swojego zamku Amboise, uderzył tak silnie czołem o niskie sklepienie bramy, że z rany ztąd powstałéj, śmierć nastąpiła.

Ponieważ zaś zmarł bezdzietnie, korona przechodziła z prawa na księcia Ludwika Orleańskiego, który rzeczywiście wstąpił na tron francuzki, pod nazwą Ludwika XII.

Książę ten wstępując na tron po śmierci swojego krewnego, połączony był związkiem małżeńskim z jego siostrą a córką Ludwika XI, Joanną. Wszakże nigdy on nie kochał téj swojéj żony, i skoro tylko ujrzał się panem własnéj woli, zerwał ten nienawistny związek i ofiarował rękę wdowie po Karolu VIII, królowéj Annie. Wstąpiła więc ona po drugi raz na tron francuzki, zaślubiając tego, którego od dzieciństwa ukochała.

Dwie córki narodziły się tylko z tego związku, a starsza z nich Klaudyna, oddana została w małżeństwo księciu d'Angoulême, który panował późniéj pod nazwą Franciszka I.

Anna zmarła w zamku Blois 9 stycznia 1514 roku, a zwłoki jéj pogrzebane zostały w kaplicy Ś-go Dyonizego.

SALVATOR ROZA.



Lit. W. Dümler.

Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Salvator ukarany.

VIII.

POWOŁANIE *).

— Donna Giulia, czy Salvatoriello wrócił już pytał się signor Antonio Rosa, stanąwszy na progu swojéj *casaccia*, zbudowanéj na wzgórku Arenella w bliskości Neapolu.

Trzeba wam wiedzieć kochane dzieci, że w Neapolitańskiém istnieje mnóstwo domów na wpół rozwalonych, niegdyś siedlisk feodalizmu, zamieszkałych dawniéj przez wielkich panów, książąt, i całe roje sług, a dzisiaj w pośród nagich i rozpadających się murów, mieszczących zaledwie parę izb jakotako zachowanych,

*) *Salvator Rosa*, znakomity malarz włoski, przytém utalentowany poeta; urodził się w Arenella w roku 1635, umarł w Rzymie w roku 1673. Obrazy jego odznaczające się wielką śmiałością pendzla, przedstawiają wszystkie prawie smutne i okropne sceny.

gdzie zamieszkują całe rodziny robotników. Domy takie zwą się *casaccia*. Główne do nich wejście stanowi zwykle perystyl zdobny najcudniejszą zielonością i kwieciem, z którego szeroki widok na całą okolicę się odkrywa. Rozkoszne to miejsce zwane *loggia*, staje się schronieniem całéj rodziny, kiedy już z zapadnięciem mroku upał dzienny traci na sile.

Tego dnia pani Giulia siedziała w swojéj loggia, pomiędzy dwiema córkami Stellą i Pernettą, zajętemi robieniem siatki. Było to w sierpniu 1625 r. Zdaleka słyszéć się dawały śpiewy i wesołe rozmowy żniwiarzy schodzących z pola. Obie dziewczęta milczały, a ważny chyba powód musiał je znaglać do milczenia, bo Pernetta najweselsza z Neapolitanek, ocierała ukradkiem łzę spływającą zwolna po rumianych jéj i świeżych, jak jagody leśne, policzkach.

Widząc wchodzącego ojca, wszystkie trzy kobiety podniosły głowy, ale jedna tylko matka odpowiedziała z westchnieniem:

— Nie, mój przyjacielu, syn nasz jeszcze nie wrócił.

I zabrała się znowu do przerwanéj roboty.

— A *per Bacco!* co to ma się znaczyć! wszakże to po pierwszy raz ten dzieciak tak długo pozostaje za domem, rzekł signor Antonio rzucając na ziemię worek, napełniony narzędziami mierniczemi.

I z brwiami gniewnie zmarszczonemi zasiadł na ławce kamiennéj, stojącéj przed domem, a założywszy ręce, począł gwizdać jakąś barkarollę, co dla znających go wyraźną było oznaką, że w bardzo niedobrym znajdował się humorze, i że małemu Salvatoriellowi za powrotem do domu, łatwo się co może oberwać.

— Wszakże jak wyszedł od wczoraj z rana, nie

wrócił jeszcze dotąt, nie prawdaż donna Giulio?... Powiedz mi donna Giulio, czemu nie odpowiadasz, kiedy mówię do ciebie?... A wy Stello, Pernetto, czyście się u licha przemieniły w jakie posągi?... Zwyczajnie śpiewacie, śmiejecie się i robicie we dwie tyle hałasu, ile pułk królewski z muzyką na czele, a teraz kiedy was się pytam, stoicie oniemiałe jak ryby... Ejże dajcie wy sobie pokój, bo ja znajdę środek przywrócenia wam mowy.

— Na miłość Boską Antonio, po co tyle hałasu, rzekła donna Giulia, wszakże mówiłam ci już, że Salvatoriello od wczoraj z rana nie wrócił jeszcze.

— A to uparte i nieposłuszne dziecko! zawołał Antonio, prawdziwie chciałbym, żeby na ukaranie za swoje nieposłuszeństwo wpadł gdzie do studni... albo...

— To byłaby gorsza kara dla nas niż dla niego, rzekła donna Giulia porzucając wrzeciono, a biorąc w rękę rożaniec, który jéj wisiał u pasa.

— Może to i prawda, rzekł stary Rosa, ale gdzie u licha podział się ten smarkacz przebrzydły?

— Kto może wiedzieć! odezwały się razem trzy kobiety.

I jak gdyby ożywione jedną myślą, wszystkie trzy zwróciły spojrzenia na pole, rozciągające się przed niemi. Niespokojne te spojrzenia błądziły na traf tu i owdzie. A piękny i rozległy ztamtąd rozchodził się widok: zachodzące słońce złociło okoliczne wzgórza, zdala zieleniały wysepki Nizitria, Caprea i Procida, daléj jeszcze morze, odbijające to przecudne niebo włoskie, którego błękitu żadna chmurka nie ćmiła.

Ale już oddawna żniwiarze zeszli byli z pola, a z wy-

jątkiem ptaków szybujących po powietrzu, na całéj téj przestrzeni nie było widać żywego ducha.

Nastała znowu chwila milczenia, donna Giulia przędła i modliła się, dziewczęta także pilnie pracowały, a Antonio Rosa spoglądał na nie gwiżdżąc przez zęby. I nagle nie mogąc już powściągnąć swojéj niecierpliwości, zbliżył się do żony i powtórnie zagadnął ją w ten sposób:

— Przyznaję ci donna Giulio, że rzadko która kobieta potrafi tak jak ty obejść się z wrzecionem, wybornie także umiesz przyprawiać makaron i marynować zrazy z tuńczyków; jesteś prawdziwym wzorem gospodyń, ale nie zajmujesz się tyle, ileby należało naszym jedynakiem, który wyszedł jeszcze wczoraj z rana, a ty sama nie wiesz, gdzie się podział. Wszakże przypominasz sobie, że kiedy był niemowlęciem u piersi, siedzieliśmy razem przed domem i rozmawialiśmy o jego przyszłości. Bóg nam dał syna, rzekłem do ciebie, wartoby pomyśleć na co go będziemy kierować.

— A ja odpowiedziałam ci: Stanie się wedle woli Boga i Najświętszéj Panny Maryi.

— Tak, ale już wówczas dodałem, że za nic w świecie nie chciałbym, ażeby mój syn został malarzem albo artystą jakim.

— I postanowiliśmy poświęcić go kościołowi.

— A przedewszystkiem pomyśleliśmy o ochrzczeniu go.

— I wynaleźliśmy dlań szczęśliwe imie.

— Tak, Salvator, to imie dobréj wróżby.

— Może poszedł uczyć się lekcyi matematyki, do któréj go tak koniecznie znaglasz.

— A ja myślę, że raczéj błąka się gdzie w okolicy, bo to wielki leniuch i włóczęga, odpowiedział Rosa. Najwięcéj mu się podoba w pośród skał w jaskiniach Bajańskich. Ot niedawno jeszcze przyjaciołka twoja Loretta, spotkała go w rozwalonéj świątyni Apollina Pityjskiego, a rybak Pietro widział go wchodzącego do jaskini Sybillińskiéj. Słowem, to utrapione dziecko wszędzie spotkać można, oprócz domu.

— Ale, rzekła Stella przerywając robotę, Salvatoriello poszedł może do swojego wuja Paula.

— I zkądżeby znów, rzekł ojciec. Powracając z Neapolu, przechodziłem przez ulicę Seggio del Nido, i pytałem się Paula, czy nie widział tego smarkacza, a on mi odpowiedział, że nie. I w istocie, cóżby on u niego robił?

— Przypatruje się pewno jak brat maluje obrazy, bo wiesz przecie Rosa, jakie Salvatoriello ma usposobienie do malarstwa, rzekła Giulia.

— Tak, wiem to, ale niestety wiem także, że z tém całém malarstwem można bezpiecznie umrzeć z głodu, czego dowodem brat twój Paulo Grecca, który chociaż przez cały dzień pracuje nad obrazami, nie znajdzie często wziąć co pod ząb.

— To może wina mojego brata.

— Albo raczéj malarstwa. Te wszystkie ich talenta, i ta cała chwała, o któréj tak dużo bają, to funta kłaków nie warte.

— Tak, rzeczywiście, jak kto nie ma talentu...

— Mamo! mamo! zawołała Pernetta, spojrzno mama...

I dziewczyna wskazywała palcem na jakiś oddalony przedmiot, a wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę

stronę. I nagle w skalistym wąwozie *Monte Donzelle*, prowadzącym do cudnego klasztoru Borgo Renella, założonego w XIV wieku przez Karola syna Roberta Arragońskiego, króla neapolitańskiego, w pośród wysokich sosen, w szczelinach skał wyrastających, ukazało się dziecko, prowadzone za rękę przez jakiegoś mnicha. Podchodzą bliżéj... drugi wykrzyk Pernetty dowodzi, że nie musiała się omylić, był to bowiem *Padre Cercatore* z klasztoru Arenella, odprowadzający Salvatoriella do domu.

— Gdzieżeś to chodził włóczęgo jakiś! zawołał Antonio Rosa spostrzegłszy syna.

— Niech ojciec raczy usiąść, rzekła donna Giulia całując mnicha w ramię, może ojciec zechce posilić się czémkolwiek?

Obie dziewczęta poskoczyły do Salvatoriella, który smutny, niespokojny, zawstydzony, stał ze spuszczoną głową, a gęste pukle ciemnych włosów jego, spadając na czoło, twarz mu zakrywały.

— Oto wasz chłopak donno Giulio, rzekł Padre Cercatore, nie przyjmując stołka, który Rosa mu podsuwał. Jeden z braci klasztornych wracając z kwesty, znalazł go uśpionego w gałęziach zeschłego drzewa, z głową opartą na kawałku lawy, w pośród nieurodzajnych pól Solfatary. Odprowadzam go wam i sądzę, że zasługuje na ukaranie za niepokój, jakiego dla was stał się powodem... Dziękuję ci signor Rosa, ale niepodobna mi pozostać z wami dłużéj, muszę powrócić do klasztoru. Jutro z rana zobaczymy się Salvatoriello, czy słyszysz? jutro z rana, a radzę żebyś się nie spóźnił na lekcyę katechizmu, bo może być źle z nami. Do widzenia signoriny.

A to powiedziawszy *Padre Cercatore*, zrobił nad wszystkiemi znak krzyża świętego, i udał się napowrót w drogę do klasztoru.

— A teraz z nami rozprawa Salvatoriello, rzekł signor Rosa zbliżając się do syna.

— Przebacz mu ojcze! zawołały obie siostry wyciągając ku ojcu błagalne ręce. On biedny zabłądził i nie mógł trafić do domu, powiedział nam to w téj chwili do ucha. Ojcze, kochany ojcze, już on się poprawi, już mu się to nie zdarzy!

— Cicho gąski! zawołał Antonio, niech tylko zakrzywię palcem na waszego braciszka, to już zaraz wrzask! *Per Bacco*, trzebaż przecie, żeby smarkacz poczuł raz, iż nie można tak sobie baraszkować, jak za dobrych czasów... dość już dziś z rana namartwiłem się o tego latawca, i matka także... a ty Pernetto, wszakże sama płakałaś i teraz jeszcze masz łzy w oczach!

— Płakałaś Pernetto! zawołał Salvatoriello rzucając się na szyję siostry; o! wybacz mi, wybacz, żem cię nabawił niespokojności.

— A ja smarkaczu? a twoja matka? czy myślisz, że to nas także nie obeszło?

— Więc wybaczcie mi wszyscy, zawołało dziecko, składając ręce, i nie gniewajcie się już na mnie, ale doprawdy to wina tych cudownych okolic, a im daléj szedłem, tém piękniejsze się oczom moim przedstawiały widoki! I cóż ci powiem ojcze? Szedłem, szedłem ciągle przed siebie, myśląc w duchu: jeszcze tylko obejrzę ten wąwóz, to drzewo na urwisku, te skały mchem obrosłe! A tu las! Ciekawa rzecz co może być za tym lasem! I tak podążając ciągle daléj, zabłąkałem się

nareszcie, sen zmorzył mnie, i wierzajcie mi, że byłem bardzo zdumiony obudziwszy się z rana i nie wiedząc gdzie jestem.

— A czy przynajmniéj nauczyłeś się zadanéj ci lekcyi matematyki? zapytał ojciec.

— Zapomniałem już jéj, rzekł Salvatoriello spuszczając oczy.

— Za to téż mój synu zasługujesz na karę i będziesz ukarany, rzekła donna Giulia. Aż do niedzieli pozostaniesz zamknięty o chlebie i o wodzie w górnéj izbie, a tam może pomyślisz przecie o nauce. No, a teraz idź na górę bez żadnych dalszych korowodów. Stello, pójdź za bratem, zamkniesz go i przyniesiesz tu klucz.

— Stello, rzekł Salvatoriello pocichu, weźno tam z sobą kilka kawałków węgla.

— Ale dajże pokój Salvatoriello, ty więcéj zużyjesz węgla do bazgrania po ścianach, niż matka do palenia w kuchni.

— Cicho Stello i zrób jak ci powiedziałem, odpowiedziało dziecko.

I wkrótce biedny Salvatoriello siedział zamknięty w wielkiéj izbie o nagich i z gruba tylko pobielonych ścianach, gdzie za cały sprzęt leżał w kącie siennik słomą napchany...

W następną niedzielę donna Giulia postanowiła sama oznajmić swojemu dziecku przebaczenie, które od razu gotowa była udzielić; od czego jedynie boczne zapatrywanie się na następstwa niepoprawności Salvatoriella ją powstrzymywało. Więc w towarzystwie córek udała się do pokoju przeznaczonego na więzienie chłopca.

Ale otworzywszy drzwi, zdziwiona i zgorszona stanęła na progu.

Salvatoriello zasypiał najspokojniéj na sienniku, nie on więc był powodem zadziwienia trzech kobiet. Wrażenie to sprawił widok ścian izby przybranych w nowy rodzaj obicia, od dwóch dni zaimprowizowanego.

I rzeczywiście ściany te wszędzie, gdzie tylko dosięgnąć mogła ręka dziesięcioletniego dziecka pokryte były jakąś czarną bazgraniną, w któréj zrazu trudno było co bądź odróżnić, ale przypatrując się uważniéj matka i siostry, zaczęły rozpoznawać najprzód Wezuwiusz, z którego tryskały płomienie, z morzem u stóp jego płynącém i Neapolem widniejącym w dali, a następnie przecudne miasteczko Baje malowniczo lasami i górami otoczone. Na drugiéj zaś ścianie widać było urocze wzgórze świętego Marcina i złocone skały, po nad któremi górował pyszny klasztor Certosa, przebłyskujący w pośród gęstego wieńca kasztanów i topoli. Słowem, ze wszystkich stron, widoki okolic, gór, miast, gmachów.

— A Najświętsza Panno! zawołała donna Giulia, kiedy już zdziwienie przestało krępować jéj język, coś ty tu porobił chłopcze?

A zachwycone dziewczęta wołały:

— To cudo! prawdziwe cudo!

— Na nic wszystkie nasze starania i trudy, mówiła donna Giulia potrząsając głową, to dziecko widzę koniecznie chce być artystą.

— Albož to nie pięknie być artystą, rzekła Stella do ucha siostrze.

— Salvatoriello! zawołała donna Giulia nachyliwszy

się nad śpiącym synem i poruszając go za rękę; czas wstać, w kościele dzwoniono już na anioł Pański.'

Na pierwsze wyrazy matki chłopak powstał i przecierając sobie oczy ze zdziwioną miną:

— Więc się nie gniewasz już na mnie matko? rzekł składając ręce; powiedz, czy już się nie gniewasz na mnie?

— Nie, kochane dziecię, odrzekła matka całując go w czoło; nie, bo już dość zostałeś ukarany: musiałeś się tu okropnie wynudzić?

— Ja! zawołał dobrodusznie Salvatoriello, ale gdzież tam, bawiłem się jak najdoskonaléj.

— Może która z was otworzyła mu drzwi? rzekła donna Giulia usiłując przybrać surowy wyraz twarzy, powiedzno Stello, czyś nie zapomniała we drzwiach klucza?

— Mogła go najśmieléj zapomnieć, i nawet drzwi zostawić zupełnie otworem, a przysięgam ci matko, że nigdy nie przyszłoby mi do myśli wydalić się ztąd. Bo spojrz tylko na te widoki, na ten pejzaż, czy nie zdaje ci się, że masz przed sobą prawdziwy wybuch wulkanu, bo ja widzę to wszystko najdoskonaléj, spodem płomień i lawa, a w górze popioły. A ten lasek kasztanowy, jaka w nim orzeźwiająca świeżość: chciałbym tam być w téj chwili. Wierzaj mi mamo, że kiedy mam trochę węgla pod ręką, to trudno mi się znudzić.

-- Jakto? więc ty to wszystko węglem narysowałeś? zawołała matka.

— A jakżebym mógł inaczéj wykonać te wszystkie rysunki; przecież nie miałem pod ręką, jak wuj Grecca ani pęzla, ani farb, ani nawet mizernego ołówka. Jaki on szczęśliwy!

— O! rzeczywiście jest czego mu zazdrościć, rzekła donna Giulia, bo téż biedny mój brat straszne ma dochody z tego swojego malowania.

— A i nie ma się czemu i dziwić, proszę mamy, bo on nie umie uchwycić żadnego podobieństwa, tych wszystkich rzeczy co maluje.

— A zkąd wiesz o tém, mały paplo?

— Czy to ja nie mam oczów. Przecież ostatnio malował las jakiś, a wszystkie drzewa były niebieskie... jak zaś namaluje wodę, to z pewnością czółnoby się na niéj nie utrzymało. O! gdybym ja tylko wziął się do tego, zobaczyłaby mama!...

— Proszę cię nie myśl nawet o tém Salvatoriello, rzekła matka grożąc mu palcem, wiesz przecie, że twój ojciec nie chce żebyś został artystą: on woli żebyś kierował się na takiego, jak on miernika.

— To zupełnie tak samo, jak gdyby mój ojciec chciał, żeby mi zamiast ciemnych, płowe włosy porosły na głowie, odpowiedział z uśmiechem Salvatoriello.

— Ale w żadnym razie mój synu, nie będzie z ciebie dobry artysta: lubisz próżnować i włóczyć się z kąta w kąt, a tu trzeba przysiedzieć fałdów.

— Jestem leniwy, jak mama powiada, bo nie lubię tych wszystkich dowodzeń o kątach, trójkątach, prostokątach i tak daléj, a jeżeli nie usiedzę na miejscu, to dlatego, że wabią mnie piękne widoki, które potém węglem rysuję na murze. I gdybyś mama wiedziała, jaka to uciecha przypomnieć sobie i odrysować piękny widok; oto ta izdebka tak szkaradna dwa dni temu, dzisiaj prześliczną się stała: niech mama sama przyzna.

— Rzeczywiście, odpowiedziała donna Giulia, ale

to tak prześliczną, że ja i twoje siostry będziemy musiały co najmniéj dwa dni stracić, na wyskrobanie ścian.

— Jakto? chcesz wyskrobać ściany? zmazać całą moją robotę? O! widzę to teraz dobrze matko, że nie masz żadnego zamiłowania do sztuki.

— Ale mam zamiłowanie do wypełniania mojego obowiązku. Więc i ty myśl o wypełnianiu twojego, a najlepszym tego dowodem będzie posłuszeństwo dla rozkazów ojca. A w szczególności proszę cię, żebyś nie zapomniał o dzisiejszéj lekcyi katechizmu, którą nasi ojcowie w klasztorze ci udzielają. Oto moja książka do nabożeństa, idź do kościoła i poczekaj tam na mnie.,

Salvatoriello wziął książkę i wyszedł z pokoju. Ale na nieszczęście ubierając się na mszę, położył książkę obok pudełka z węglami, zamyślił się o czém inném, i tak jakoś nieszczęśliwie wypadło, że wchodząc do kościoła klasztoru *Borgo Renella*, miał pod pachą zamiast książki owo utrapione pudełko.

Kościół był pusty; księża w téj chwili odprawiali w bocznych kapliczkach pokutne nabożeństwo; lud czekał na odgłos dzwonów, żeby się zgromadzić do modlitwy, więc Salvatoriello znajdował się sam w świątyni Pańskiéj.

Wśród tego głębokiego milczenia, które w wyniosłych i sklepionych gmachach staje się daleko uroczystszém, Salvatoriello pod wrażeniem cudnych dzieł sztuki, zdobiących ołtarze Pańskie i ściany kościoła, uczuł się jakby natchnionym. Historya święta, którą zakonnicy wykładali mu co rano, uprzytomniła się w jego umyśle, a rozegrzana jego wyobraźnia, zdawała mu się przed-

stawiać przed oczy wszystkie owe starożytne postacie: Abrahama poświęcającego syna, Agarę zamierającą wraz z synem z pragnienia na pustyni, Jakóba błogosławiącego rodzinie... I pudełko z węglami pomimowolnie stanęło otworem, i ręka chłopca pogrążyła się w niém... Za chwilę trzymał już w palcach kawałek węgla, i nie myśląc ani o świętości miejsca, w którém się znajdował, ani o powodzie co go tam sprowadzał, w miejscach na ścianach, gdzie mur biały pozostał, pomiędzy złotemi i niebieskiemi malowidłami, począł szkicować wszystkie te starożytne postacie, które się nakreśliły w jego umyśle.

Od szkiców przeszedł wkrótce do cieniowania i wówczas prawdziwy obłęd go ogarnął; rozpłomieniony, czerwony jak wiśnia, machał węglem na prawo i na lewo, pracując z takim zapałem, jak późniéj, kiedy przyszło mu tworzyć *Saula*, *Demokryta* lub *Agar na pustyni*. Powoli kościół napełniał się wiernymi, schodzącymi się na nabożeństwo, i ów gwar, który zazwyczaj w tłumie panuje, stuk podkutych żelazem trzewików, uderzających o tafle marmurowe, hałas poruszanych krzeseł i ławek, szepty witających się, nie zdołały oderwać chłopca od téj jego roboty. On widział tylko przed sobą swój przedmiot, a słuchał jedynie natchnień geniuszu, wskazującego mu sposoby ożywiania rysowanych przez niego postaci, kiedy nagle... drzwi zakrystyi otworzyły się i gwardyan wychodząc z chóru na czele innych zakonników, począł processyonalnie obchodzić świątynię Pańską.

Na widok tego dziecka stojącego przy kolumnie, i czerniącego, walającego węglem świętokradczą ręką te ściany, których przyozdobienie *Espagnoletto* i *Carracio*

za chwałęby sobie uważali, które *Dominichino* przyrzekł był już uświetnić nieśmiertelnemi utworami swojego pęzla; zakonnicy zatrzymali się i osłupieli. Wkrótce gwardyan wydał jakieś milczące polecenie, i zanim Salvatoriello potrafił opatrzeć się i spostrzedz, że został wyśledzony w swojéj czynności, czterech mnichów porwało go i zaniosło do refektarza, gdzie dyscyplina klasztorna z wielką skrzętnością i gorliwością wypełniła swoją powinność na barkach biednego przedwczesnego artysty. Krzyczał on żałośliwie, ale ojcowie uważając za świętokradztwo czyn, który w saméj istocie rzeczy był tylko dziecięcéj nierozwagi dowodem, nie zważając na jego krzyki, wymierzali mu ściśle liczbę razów przepisaną.

Odprowadzono Salvatoriella do domu, a większe cierpienie sprawiał mu wstyd i gniew za hańbę, jaka go spotkała, aniżeli ból rzeczywisty z odebranéj kary cielesnéj. Poprzysiągł zemstę. I pomimo próśb i napomnień matki, czekał już tylko zupełnego wyzdrowienia, żeby doprowadzić do skutku złośliwe swoje zamiary.

Z drugiéj strony zakonnicy nie mogli zapomnieć młodemu śmiałkowi bezcześci, wyrządzonéj świątyni Pańskiéj i stało się, że aż rodzice Salvatoriella nie mogąc go więcéj posyłać do klasztoru, postanowili oddać na naukę do seminaryum *Somesca* w Neapolu.

Pewnego więc pięknego poranku wrześniowego, ojciec z synem pożegnawszy się z resztą rodziny, udali się w drogę do Neapolu.

Odległość dzieląca mieszkanie ich od stolicy nie była wielką i po dwóch godzinach pochodu, podróżnicy nasi weszli do miasta. I nagle uroczysty spokój wiejski zastąpiła wrzawa ludności, w jedném ze swoich głó-

wnych ognisk nagromadzonéj. Dla nieprzywykłych do tego hałasu uszów młodego chłopca, wydawało się to trochę jakby huk wybuchu Wezuwiuszu. Wzroku jego już nie uderzają skaliste wąwozy, ani strome wzgórza sosnami obrośnięte; widzi on przed sobą cudne gmachy, pałace, kolumny, ogrody zawieszone na arkadach, ołtarze, kaplice, dzwonnice, aż naraz zaszedłszy na ulicę Toledo, cofa się olśniony cudnym rzędem marmurowych pałaców, stanowiących tam nieprzerwany ciąg pomiędzy sobą.

Przebywszy tę ulicę w jéj całéj długości, ojciec i syn skierowali się ku klasztorowi kongregacyi Somesca. I wkrótce gmach ów surowéj powierzchowności, rozwinął się przed niemi w całéj okazałości swojéj; ścisnęło się serce młodzieniaszka i odwrócił się do ojca z oczami łez pełnemi.

— Jeszcze więzienie! rzekł.

— Lepsi od ciebie mój synu, zamieszkują tu i nie nadają takiéj nazwy temu świętemu miejscu, odezwał się łagodnie Antonio.

— Ale nie pozostawisz mnie tu na zawsze mój ojcze, nieprawdaż? zawołał Salvatoriello, uchwyciwszy starca za rękę.

— Owszem, wolałbym żebyś tu całe twoje życie przepędził.

— Niech się stanie wola twoja mój ojcze, rzekł Salvatoriello, a jednak, dodał wskazując palcem na czoło, tam było cóś!

— W takim razie mój synu łatwo zrozumiesz powody, jakie nas skłaniają do przeznaczenia ci klasztoru za pomieszkanie; nie jesteśmy bogaci, a życie zakonne najlepiéj zdaje się przypadać do twojego usposobienia.

— Wolałbym jednak inny rodzaj życia.

— Dajmy już pokój tym marzeniom, rzekł Antonio, który nędzy od sztuki oddzielić nie umiał, mając ciągle obecny w pamięci przykład swojego szwagra; ale słuchaj Salvatoriello, pracuj, bądź pobożnym, uważnym, posłusznym, staraj się przyzwyczaić do pokoju i świętości życia klasztornego, a będziesz szczęśliwym.

To rzekłszy Antonio zadzwonił do drzwi; brat furtyan ukazał się w progu, a signor Rosa widząc, że syn pozostaje nieruchomy i nie myśli wcale iść za zakonnikiem, dotknął się lekko jego ramienia:

— O czém myślisz? zapytał.

— O wielkiéj stracie jaką poniosłem, przychodząc tutaj.

— Czyś zgubil pieniądze? zapytał zaniepokojony Antonio, może ci się gdzie zapodziała ta sztuka srebrnéj monety, którą cię na odchodném obdarowała matka?

— Straciłem stokroć więcéj, mój ojcze.

— I cóż takiego?

— Niepodobna mi powiedzieć ci tego, odrzekł poważnie mały Salvator. Tylko Stella lub Pernetta mogą wynagrodzić mi tę stratę... Mój Boże! Jakiż roztrzepaniec ze mnie.

— Czy signor Rosa wchodzi? zapytał się brat furtyan.

— Nie; muszę śpiesznie wracać do domu, a przytém wczoraj już widziałem się z gwardyanem, który przyrzekł mi przyjąć na opiekę mojego syna. No Salvatoriello, tylko odważnie, uściśnij mnie raz jeszcze i idź za bratem.

— Przynajmniéj pobłogosław mi ojcze, rzekł Sal-

vator rozpływając się we łzach i rzucając się w objęcia ojca.

Antonio pobłogosławił synowi, ucałował go w czoło, poczém zleciwszy go opiece brata furtyana, oddalił się z klasztoru.

Serce rozdzierało się Salvatorowi, kiedy usłyszał zasuwające się zwolna ciężkie żelazne rygle.

— I gdybym jeszcze, mówił do siebie idąc za bratem furtyanem, nie był zapomniał tych utrapionych węgli, ileżbym tu miejsca przepysznego był znalazł do rysunków!

A to mówiąc, spoglądał z żałością na białe i nagie ściany korytarzy klasztornych.

Nad wieczorem brat furtyan zjawił się u Salvatora donosząc mu, że ktoś pragnie z nim mówić u kraty klasztornéj.

Chłopak pobiegł natychmiast na wskazane miejsce, i zastał za kratą obie siostry.

— Zgadnij téż com ci przyniosła? rzekła uśmiechając się Pernetta.

— Pudełko moje z węglami!... zawołał klaskając w ręce Salvatoriello.

— Jak raz zgadłeś, odpowiedziała dziewczyna podając mu pudełko przez kratę.

— Jesteś wzorem wszystkich sióstr Pernetto! zawołał Salvatoriello skacząc z radości.

— Pierwsza Stella spostrzegła się o twojéj zgubie, rzekła Pernetta.

— A ona za to wpadła pierwsza na myśl przyniesienia tu tobie pudełka, odezwała się Stella.

— I przyszłyśmy jak widzisz razem odwiedzić ciebie, dodała Pernetta.

— Poczciwe z was dziewczęta! mówił Salvatoriello całując kolejno, to pudełko z węglami, to ręce sióstr; teraz mam przynajmniéj tę pewność, że już się nie znudzę u ojców Somesca. Bo wystaw sobie Pernetto, tutaj tyle białych ścian, że aż ślinka do ust idzie.

— Pamiętaj jednak braciszku o karze, jakąś otrzymał w klasztorze Borgo Arenella, rzekła Pernetta uśmiechając się.

— Może téż mi tutaj lepiéj się powiedzie: nie wszyscy przecież zakonnicy są nieprzyjaciołmi sztuki. A przytém nie będę już rysował w kościele, ale na korytarzach.

— Ale księża nie zechcą także, żeby mury korytarzy klasztornych były zamazane węglem.

— Jak mało w tobie poczucia artystycznego Pernetto? *Zamazane!* Co ty rozumiesz przez ten wyraz *zamazane!* Ależ to najpyszniejsze rysunki, a nie mazaniny. To jakbyś powiedziała, że Annibal Carracio, albo Dominiquino bazgrzą na płótnie... Zupełnie to na jedno wychodzi.

— Niech i tak będzie braciszku, rzekła Stella, przybyłyśmy tutaj ażeby odwiedzić ciebie, nie ażeby kłócić się z tobą. Powtarzam ci jednak raz jeszcze, że jeżeli zabardzo zechcesz przyozdabiać mury klasztorne, to ojcowie gotowi cię jeszcze wygonić ztąd.

— A to właśnie najszczęśliwsza rzecz, jakaby mi się mogła wydarzyć.

— B cóżbyś ze sobą w takim razie zrobił nieboraku?

— Wszakże Francazani ma wkrótce zostać twoim mężem?

— Mam przynajmniéj nadzieję, że tak się stanie.

— W takim razie poprosisz męża, żeby mnie przyjął za ucznia.

— A cóż myślisz rodzice nasi na to powiedzą?

— Matka tak mnie kocha, że nie będzie się gniewać o to, a ojciec przecież mi kiedyś przebaczy, zwłaszcza jeżeli ty przyjmiesz mnie na mieszkanie.

— Czy wątpisz o tém Salvatoriello?

— No, to wychodź prędko za mąż, a ja będę się starał, żeby mnie ztąd jak naśpieszniéj wypędzili.

— Jak widzę, możemy się oddalić, rzekła Stella, bo zostawiamy go w wyborném usposobieniu.

— O!... ręczę ci za to... mam przepyszny przedmiot do rysunku w głowie.

— Sądzę, że ściany tutejsze nie będą już jutro tak białe jak dzisiaj, rzekła uśmiechając się Pernetta.

— I ja spodziewam się tego siostrzyczko.

— Do widzenia więc.

— Do widzenia Stello... a powtarzam ci, wychodź prędko za mąż.

— Ale ty pozostaniesz tu dopóki za mąż nie wyjdę?

— Pozostanę, ale nie daj mi długo czekać.

W téj chwili odezwało się dzwonienie na nieszpory, i obie dziewczęta odeszły. Salvatoriello dotrzymał słowa. Zarysował on węglem od góry do dołu wszystkie ściany klasztorne, nie oszczędzając ani korytarza, który prowadził do gwardyana, ani nawet wejścia do kościoła, aż wreszcie ojcowie Somesca stracili cierpliwość i wypędzili go z kongregacyi.

A i Stella dotrzymała słowa, bo wyszła wkrótce za malarza Francazini. U nich więc Salvatoriello zamieszkał, pobierając nauki od szwagra.

Salvator Rosa wyrósł wkrótce na jednego z naj-

sławniejszysh i najpłodniejszych malarzów owéj epoki; wymalował on sto dziewięćdziesiąt obrazów i umarł w r. 1673 w pięćdziesiątym ósmym roku, pozostawiwszy po sobie więcéj arcydzieł aniżeli lat życia.

Niestety! wiele dzieci czujących w sobie nieprzezwyciężone lenistwo do nauki, objawiają wrzekome powołanie dziś do malarstwa, jutro do budownictwa, pojutrze do muzyki lub piśmiennictwa. Ale każdemu wiadomo dzisiaj, że największy nawet geniusz potrzebuje uczyć się i kształcić. Tak téż i Salvator Rosa poczuwszy późniéj, ile namiętność jego do rysunku nabawiła go straty czasu w dzieciństwie, zrozumiał, że do doskonałości w sztuce dojść tylko można przez głębokie studyowanie arcywzorów starożytności i usilną pracę nad sobą samym. Nie trzeba brać prostego kaprysu za powołanie, bo to ostatnie objawia się przez niezwykłą zdolność, która się utaić nie może. Najznakomitsi malarze i poeci przykładali się pilnie do nauk.

CANOVA.



Lit. W. Dünzler

Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Był to wspaniały lew wyrobiony z ciasta.

IX.

CIASTO ARTYSTYCZNE *).

W Possagno w Wenecyańskiém, nieopodal od wspaniałego pałacu rodziny Falieri w ciemnym zaułku, mała bieliła się chatka, a mieszkał w niéj stary murarz Pasino.

Pewnego wieczora, znużony dzienną robotą Pasino, rzuciwszy się na tapczan zasypiał snem smacznym i twardym, kiedy rozbudziło go nagle silne stukanie do drzwi. Wstał więc, poszedł otworzyć i przy niepewném świetle księżyca spostrzegł przed sobą dziecko.

— Kto jesteś i czego żądasz? rzekł Pasino głosem gniewnym człowieka, nagle ze snu zbudzonego.

— Jestem Antonio, odpowiedziało trwożliwie dziecko.

---

*) *Antonio Canova* sławny rzeźbiarz urodz. w roku 1747, umarł w roku 1822.

— Jaki Antonio?

— Jakto kochany dziaduniu, nie poznajecie mnie? Antonio, twój wnuczek.

— To ty? A cóż ci się znowu stało? rzekł murarz zmieniając nagle ton mowy, a wziąwszy dziecko za rękę przyciągnął je do siebie, usiłując pomimo ciemności, wyczytać w téj małéj twarzyczce powód tych późnych odwiedzin.

— Ale mówże! Dla czego odszedłeś od matki? Czy zasłabła? Czy przeskrobałeś jéj w czém? A może sama ciebie wypędziła z domu?

— Nie, dziaduniu, to ja samowolnie odszedłem.

— Ty! Ale z jakiego powodu? pytał daléj starzec i wszedłszy do izby począł krzesać ognia. Tak uciekać! Święta Maryo Rodzicielko! Jak można tak odchodzić od matki?

Wkrótce zapłonęła hupka i Pasino zapaliwszy lampę postawił ją przed dzieckiem, żeby mu się lepiéj przypatrzéć. Wówczas dopiéro spostrzegł, że chłopak ma łzy w oczach i dźwiga jakieś zawiniątko na kiju, przez ramię przełożonym.

— Nie mogłem pozostać dłużéj w domu, rzekł Antonio, rzucając zawiniątko na ziemię, tam skończyło się już dla mnie, bo byłem w rodzinie jak obcy. Ten Wenecyanin to szkaradny człowiek! Gdybym miał chociaż z dziesięć lat więcéj, byłbym go zabił; tak dziaduniu, byłbym go zabił, z pewnością. Ale niestety! mam dopiero lat dwanaście.

— Ot i wielka krzywda tobie! rzekł Pasino, śmiejąc się z tego dziecinnego gniewu. Chciałbyś być już panem w domu.

— Ojciec mój umierając zostawił mnie tylko jedy-

naka; więc słuszna rzecz, żebym był głową rodziny i panem domu.

— Piękny mi dom! rzekł starzec, coraz więcéj rozweselony tém rozjątrzeniem wnuczka: piękny mi dom! Cztéry tyki utkwione w ziemię, a połączone ze sobą ścianami ze słomy, gliną oblepionéj. Gdybyś posiadał przynajmniéj taki pałac jak Falierowie... to nie mówię jeszcze.

— Falierowie! Falierowie! zawołał chłopak potrząsając ciemnowłosą główką, można być tak bogatym jak oni i nie miéć wcale serca.

— Słuchajno Antonio, może zjesz co?

— Nie, nie mam wcale apetytu.

— A jednakże przyszedłeś tu od matki do mnie piechotą, a to kawał drogi?

— E! co to za kawał... zaledwie małe dwie milki.

— No, to rozpowiedz mi, jak się to stało.

— A to widzisz dziaduniu, wiem przecie o tém, że mama poszła drugi raz za mąż za tego szkaradnika Paesillo, a największém dla mnie zmartwieniem było, że już jéj nie nazywano pani Canova! A jednak pani Canova... to piękne nazwisko... nieprawdaż dziaduniu?

— Tak... tak... mów daléj.

— A przytém ja się tak nazywam... a to jakoś nie uchodzi, żeby syn miał inne nazwisko, a matka inne...

— Ale kończże, bo zasnę naprawdę, i nie dosłucham się końca twojego opowiadania, rzekł starzec kładąc się do łóżka.

— Bo téż jak tylko ten Paesillo stawił nogę w domu naszym, to zaraz wszystko się zmieniło do niepoznania. Zaczęto już mniéj dbać o mnie, przy obiedzie

nie dostawały się mi jak dawniéj najlepsze kawałki, owe przysmaczki cybulkowe, które tak lubiłem, wszystko to było dla pana Paesilla. Gniewałem się, ale nikt nie zważał na to, nikt się nie spytał nawet dlaczego siedzę zaperzony w kącie, dlaczego nie przychodzę na obiad, albo na wieczerzę. Ani słówka! Nie przychodzisz na obiad... to nie jedz: nie chcesz wieczerzać z nami... jak ci się podoba. A więc ja nie namyślając się długo, powiedziałem sobie: Mam przecie dziadunia, który mieszka na odosobnieniu i kocha mnie, bo kiedy przyjdę czasem do niego, to mi pozwala robić co mi się podoba; pójdę sobie do niego, a tam mi będzie lepiéj niż tu... Wszakże nie śpisz jeszcze dziaduniu, wszakże słyszysz co mówię?

— Tak, najlepiéj. Połóż się teraz na téj świeżéj słomie, a kiedy ci idzie o to, żebyś sam sobie był panem, to cię nauczę rzemiosła murarskiego, które ci chléb zapewni.

— E, nie chcę być murarzem, odpowiedział krzywiąc się Antonio, to nudne rzemiosło!

— Bo się na niém nie znasz, ale jak zaprobujesz, to zobaczysz.

— Tak, piękna mi zabawa, stawiać na jednym kamieniu drugi, a na tym trzeci i tak daléj.

— Wybredniś z ciebie, wolałbyś widzę mieć do czynienia z marmurem, aniżeli z prostemi kamieniami.

— Naturalnie, że wolałbym, bo to i piękniejsze i szlachetniejsze.

— No, no, idź spać, bo ja sam już padam ze snu.

Nazajutrz Pasino rozbudził z samego rana Antonia, i obaj odmówiwszy modlitwę do Najświętszéj Panny Maryi siedmiu boleści, i spożywszy skromny posiłek,

udali się w drogę do pałacu Falieri, gdzie starzec pracował nad naprawą muru, który, złodzieje usiłując się nocną porą dobyć na podwórko, znacznie byli uszkodzili. Ale napróżno Pasino starał się wyuczyć wnuka swojego rzemiosła, pokazując mu starannie co gdzie i jak trzeba użyć. Jak tylko starzec zajęty w inném miejscu zostawił go samego na chwilę, wnet psotny chłopak nie myśląc już o naprawie muru, wykuwał jaką figurkę z kamienia albo klecił maskę z gliny. A ponieważ był wątły i delikatny, dziadek nie umiał się na niego gniewać, bo kiedy się zabierał do zmycia mu głowy, Antonio wnet mu odpowiadał:

— Ale widzisz przecież dziaduniu, że jestem zmęczony strasznie.

— A jednak cóś tam dłubiesz.

— To Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus.

A chociaż to była dość niezgrabna jeszcze i niekształtna robota, dziadek przepadający za wnukiem wynosił ją pod niebiosy, twierdząc, że Antonio wyjdzie kiedyś na bardzo znakomitego murarza, i że będzie budował pałace dla najbogatszych rodzin włoskich.

I zdarzyło się, że pewnego dnia książę Faliero wydawał u siebie wielką ucztę. Trzeba téż było wiedzieć, ile tam rondli skwierczało na ogniu, ile rożnów uginało się pod ciężarem bażantów, indyków, kaczek, kurcząt nawleczonych długim rzędem jedne za drugiemi. A ciastek, cukierków, konfitur, słodyczy różnych, to już tyle, że przez cały dzień byłoby się czemu przypatrywać. Więc Antonio odbiegłszy od roboty, wcisnął się pomiędzy kucharczyków, posługaczy i pomywaczki i na widok tych wszystkich smakołyków, ślinka szła mu do

ust, a oczy z pożądliwości aż na wierzch prawie wychodziły.

I nadeszła wreszcie chwila zastawiania stołów. Ale kiedy już się zabierano do téj roboty, naczelny kuchmistrz uderzył się z rozpaczą w czoło i zawołał:

— A do licha, zgubiony człowiek ze mnie! Już nie będę śmiał oczów na świat podnieść i chyba sam sobie śmierć zadam! Nieszczęśliwy Pietro, tegożeś się na starość doczekał? Zgłupiałeś braciszku, zrobiłeś się niezgrabjaszem, partaczem, niedołęgą, zadałeś hańbę własnemu honorowi, a co gorsza, honorowi rodziny książęcéj.

I w chwili kiedy naczelny kuchmistrz odprawiał ten żałosny monolog, sam książę przechodząc przez sąsiedni salon usłyszał jego wyrzekania i otworzył drzwi od pokoju kredensowego, żeby się dowiedziéć o co rzecz chodzi.

A otworzył je w chwili, kiedy nieszczęśliwy Pietro siedząc rozpaczliwie na krześle z głową w tył pochyloną, dopijał ostatniego łyka ze sporego kubka araku, który mu przyniósł był kuchcik stojący jeszcze przy nim z białą bawełnianą czapką w ręku.

— Co się stało? zapytał książę uśmiechając się z tego dziwnego sposobu wyrażania rozpaczy.

— A Jaśnie oświecony panie! bij, zabij mnie! zawołał Pietro, który zobaczywszy księcia, tak śpiesznie usiłował przełknąć resztę araku, pozostałą jeszcze w kubku, że się zakrztusił najokropniéj i żadnym już sposobem nie mógł dojść do słowa.

Książę spojrzał po całéj służbie kuchennéj znajdującéj się tam w téj chwili, ale nikt nie mógł mu wy-

tłumaczyć znaczenia téj zagadki, bo i doprawdy nikt nie wiedział, jakieto straszne nieszczęście naczelnego kuchmistrza dotknęło.

Skoro jednak niewczesny kaszel tego ostatniego uspokoił się trochę, książę zapytał znowu:

— Czy wytłumaczysz mi nareszcie mości Pietro, jakim sposobem niedołęztwo twoje, jak sam utrzymujesz, ma przynieść zakałę twojemu, a co gorsza naszéj rodziny honorowi?

— Dlatego, że obiad dzisiejszy, obiad świetny, wystawny, znakomity, na którym sam doża a nawet papież, mogliby się bez żadnéj ujmy dla swojéj godności znajdować, ten obiad, na który wysiliłem całą moją fantazyę i umiejętność, zostaje zniweczony, zbezczeszczony, zatruty, zabity, przez jedno głupie zapomnienie... zapomnienie, za które sam powinienbym ukarać się szubienicą, gdybym miał stryczek... i resztę pod ręką.

— Jakież to zapomnienie.

— Zastawa pierwsza jest przecudowna, Jaśnie oświecony panie. Mięsa, ryby, sosy, pieczyste nic nie zostawiają do życzenia. Wszystkie zastawy i przybory harmonizują ze sobą najwyborniéj, i mogę śmiało oddać sobie sprawiedliwość, że tym razem jak zawsze, złożyłem dowody wielkiéj nauki gastronomicznéj i znamienicie wykształconego gustu. Aleć deser!.. deser!..

— No i cóż deser?

— Niestety, brak środkowego półmiska, który powinienby być najozdobniejszy ze wszystkich.

— Także mi wielkie nieszczęście! kiedy brak, to przecież można dorobić, pomruczał przez zęby Antonio, na którego nikt w téj chwili nie zwracał uwagi.

— A czy nie dałoby się go czém zastąpić? rzekł książę.

— Bardzo trudno, a raczéj niepodobna, Jaśnie oświecony panie.

— No... to zrób piramidę... z cukru,.. z konfitur...

— A toż właśnie w tém trudność, żeby to coś wymyślić, a nie mamy nawet pół godziny czasu przed sobą, bo goście zaraz się zaczną zjeżdżać.

— Ot dopiero niedołęga! mruknął znowu Antonio, niby to rzecz tak trudna wymyślić cóśkolwiek...

— I gdyby cała zastawa obiadu nie była w tak pięknym i poprawnym stylu, mówił daléj zrozpaczony Pietro, możnaby dopasować coś jeszcze... ale tak to jedno zepsułoby tylko drugie.

— Wszakże mówiłeś, rzekł książę, że idzie tu głównie o ułożenie jakiego planu... No to w takim razie słuchaj, około muru pałacowego pracuje w téj chwili Pasino, który chociaż tylko majster murarski, zna się jednak na architekturze i mógłby nam coś poradzić..

— A oto jego wnuczek, Jaśnie oświecony panie! odezwał się jeden z kucharzów.

— No to dobrze, chłopcze, pobiegnij po dziadka i przyprowadź go do pałacu, bo nam go tu pilnie potrzeba!

Antonio śmiejąc się ukradkiem, wybiegł szybko i wkrótce powrócił ciągnąc za sobą dziadka, którego trzymał za połę od skórzanego fartucha. Ale skoro wytłumaczono murarzowi o co rzecz chodzi, stary potrząsł głową i kręcąc w stwardniałych od pracy rękach bawełnianą czapkę, którą zdjął był przez uszanowanie przed księciem, rzekł:

— Gdyby to jeszcze chodziło Jaśnie oświecony panie, o wyrobienie jakiéj ozdoby murarskiéj, lub nawet w najgorszym razie wyrzeźbienie kapitelu, to jeszcze mógłbym... ale...

— Ale tu idzie o zastawę, o piękną zastawę deserową dziaduniu, wrzeszczał Antonio do ucha starcowi, jak gdyby ten ostatni był głuchy.

— Wiem... wiem,.. o co chodzi, mówił Pasino, coraz bardziéj zakłopotany, ale cóż ja na to poradzę?

— Jak to dziaduniu, ty co budujesz pałace, nie umiałbyś wysztyftować zastawy, prostéj zastawy stołowéj?

— Cicho bądź chłopcze i nie odzywaj się tak głośno przed księciem jegomością.

Ale Antonio rozgniewany tém napomnieniem, tupnął nogą i odwróciwszy się, zawołał półgłosem:

— To całe nieszczęście że posłuchać mnie nie chcą.

Przez ten czas książę przypatrywał się dowcipnéj fizyonomii wnuczka murarza i uderzył go dziwny wyraz, który się na niéj w téj chwili malował. Widać bowiem tam było pogardę, jaką wzniecała w chłopcu ta cała rozprawa nad głupią drobnostką, a na czole jego jaśniała tak niezwyczajna pewność siebie, i tak zdawał się przekonany, że potrafi wszystkiemu zaradzić, iż książę nie mógł się oprzeć chętce zapytania go o zdanie.

— Więc jakąż radę udzieliłbyś smyku jeden, gdyby chciano cię posłuchać? rzekł biorąc dwoma palcami Antonia za ucho i ściskając je lekko.

— Jaśnie oświecony panie, rzekł chłopak zarumieniony jak wiśnia, gdyby tylko pan Pietro chciał mi dać

spory kawał maślanego ciasta, to jabym już wszystko ułatwił.

— Niech Jaśnie oświecony pan nie zważa na tego smarkacza, odezwał się Pasino, usiłując napróżno nakazać giestami milczenie wnukowi; to strasznie jeszcze głupie i niedowarzone.

— Owszem, zważam i bardzo zważam, rzekł książę uśmiechając się, i pragnę właśnie, żeby Pietro uczynił to, czego ten malec sobie życzy... Więcéj nawet powiem, chcę, żeby to było niespodzianką dla mnie, jak i dla gości moich... Zważ więc Antonio, że ci daję wszelaką wolność, ale jeżeli ci się nie uda?... powiedz, co będzie w takim razie?

— Pozwolę sobie obciąć to ucho, które wasza książęca mość i tak już naderwałeś trochę, odpowiedział śmiejąc się Antonio.

— Zgoda, odrzekł książę.

I wyszedł z izby kredensowéj.

Obiad był rzeczywiście przepyszny, rodzina bowiem Falierów należała do najmajętniejszych we Włoszech i słynęła z bardzo wykwintnych przyjęć; kiedy jednak nadeszła chwila zastawienia deseru, książę ubawił swoich gości opowiadaniem o zapomnieniu naczelnego kuchmistrza i wystąpieniu wnuczka murarza, który z taką ufnością wierzył w swój geniusz twórczy pod względem urządzeuia ciasta maślanego.

I zaczęto zastawiać jedną po drugiéj potrawy deserowe, a za każdym nowo przynoszonym półmiskiem, oczy zgromadzonych gości śledziły z ciekawością tego zapowiedzianego arcydzieła terminatora murarskiego. I jak gdyby z umysłu wszystkie krawędzie stołu już były suto zastawione, a tyle wyczekiwany środkowy pół-

misek nie ukazywał się jeszcze. Niecierpliwość obecnych wzrastała ciągle.

Nareszcie ukazał się sam starszy kuchmistrz niosąc ostrożnie wielką jakąś zastawę, pokrytą białym obrusem. Zastawę tę umieszczono przed księciem, zdjęto obrus, i okrzyk podziwu rozległ się ze wszystkich ust.

Byłto lew wyrobiony z ciasta maślanego, a wybornie umodelowany.

— Brawo! brawo! zawołano ze wszystkich stron, gdzie jest twórca téj zastawy, gdzie ten mały murarczyk?

— Gdzie ten artysta? wołał książę, którego głos głuszył wszystkie inne wołania.

I wówczas z poza otyłego Pietra, ukazał się uszczęśliwiony dzieciak.

Twarz miał zarumienioną od wielkiego wstydu, ale zarazem i od wielkiéj radości, a w oczach jego skrzył dziwny zapał.

Książę był znakomitym znawcą i lubownikiem sztuki, odgadnął więc od razu w têm arcydziele dziecka zarody pierwszorzędnego talentu. Więc skłoniwszy dziadka, żeby mu Antonia odstąpił na wychowanie, posłał go do Wenecyi, najznakomitszym tamecznym mistrzom powierzając kształcenie go w sztuce. Po cztérech latach nauki młody wychowaniec księcia pojechał do Rzymu, opatrzony na drogę licznemi listami rekomendacyjnemi.

Powodując się têm dobrém natchnieniem, które przychodzi zawsze w porę ludziom przeznaczonym do odgrywania niezwykłéj roli w świecie, Antonio przybywszy do Rzymu odwiedził przed innemi signora Volputo, którego pragnął usilnie zostać uczniem.

Trzeba wam wiedzieć, młodzi moi przyjaciele, że

Volputo słynął pod owe czasy jako znamienity nauczyciel sztycharstwa, i z jego to szkoły wyszli najsłynniejsi mistrze w tym rodzaju.

Lecz wkrótce Antonio Canova porzucił rylec dla dłuta rzeźbiarskiego, na tém bowiem polu świetniejsza daleko czekała nań przyszłość.

W r. 1782 poseł wenecki Zuliano, wydawszy obiad, na którym zgromadzone były wszystkie rzymskie znamienitości rodu, sztuki i majątku, kiedy wstano od stołu, zaprosił swoich gości do sąsiedniéj sali. Chciał on ukazać im nową gruppę marmurową, wykonaną przez artystę, którego nazwiska nie chciał jeszcze wymienić. Gruppa przedstawiała Tezeusza jako zwycięzcę Minotaura i jednogłośnie wyrzeczono o niéj, że to jedno z najznakomitszych arcydzieł, jakie Rzym kiedykolwiek posiadał.

— Panowie! rzekł wówczas Zuliano z wyrazem radosnego zadowolenia, ten artysta jest moim współziomkiem. Mistrzu Antonio Canova, mówił daléj wyprowadzając za rękę z tłumu młodzieńca, który się skromnie trzymał na uboczy, pójdź przyjąć powinszowania i hołdy, na jakie zasłużyłeś.

Canova zasłynął jako najznamienitszy rzeźbiarz czasów nowożytnych. Kiedy jednak kto przychodził zwiedzić jego pracownię, lubił on opowiadać początki swojego zawodu, nie przepominając o wdzięczności, którą był winien signorowi Volputo.

To com wam tu opowiedział, młodzi moi przyjaciele, powinno was natchnąć odwagą do pracy i stanąć wam za dowód, że w jakimbądź stanie Pan Bóg umieścił człowieka, przy dobréj woli, pracy i cierpliwości, świetna przyszłość może się dlań otworzyć.

Papież kazał zapisać nazwisko Canovy w księdze złotéj kapitolińskiéj, i nadał mu tytuł margrabiego d'Ishia.

Magdalena pokutująca jest jedném z najbardziéj zachwalnych arcydzieł tego mistrza; są one zresztą tak liczne, że trudnoby je tu było wymienić po szczególe. Canova bowiem wykonał sto siedmdziesiąt sześć różnych rzeźb i posągów. Pod genialném jego dotknięciem, marmur miękł i zdawał się życia nabierać i słusznie powiedzieli o nim spółcześni: że „Canova maluje na marmurze."

A wiedzcie przytém młodzi moi przyjaciele, że Canova jako człowiek odpowiadał w zupełności rozgłosowi, jaki sobie jako artysta uzyskać potrafił. Nie znał on bowiem ani zawiści, ani zazdrości żadnéj, był bardzo skromnym, bezinteresownym, a dobroczynność jego zjednała mu miano ojca ubogich.

GUSTAW WAZA.



Lit. W. Dümler

Odbito w Lit. M. Fajansa w Warsz.

Patrzaj, rzekł Gustaw pokazując punkt czarny na widnokręgu.

X.

GUSTAW WAZA *).

I.

Dziecko.

Na szczycie stroméj skały stał czternastoletni młodzieniec. Wiatr rozwiewał jego płowe włosy, a modre oczy z tęsknym niepokojem wpatrywały się kolejno, to w siedm wysp służących za podstawę królewskiemu miastu Sztokholmowi, to w piękne i czyste wody jeziora Maeler, odwzorujące w sobie gmachy i wieżyce starego grodu. W oddaleniu siniało morze Baltyckie, a na ostatnim krańcu widnokręgu widniał ciemny punkt, który się zbliżał ciągle, rosnąc stopniowo w oczach.

---

*) *Gustaw Waza*, król szwedzki, odnowiciel królestwa szwedzkiego i założyciel nowéj dynastyi, urodził się w r. 1490, umarł w r. 1560.

Był to piękny i pogodny ranek, a słońce sypiąc dokoła złotemi promieńmi, rozpraszało resztki mgły nocnéj. W téj chwili ukazała się nowa jakaś postać. Był to młodzieniec trochę starszy wiekiem od tego, którego zastaliśmy już stojącego na skale, chociaż nie dosięgał go ani wzrostem, ani dorodnością ciała. Obaj mieli na sobie ubiór szlachty szwedzkiéj.

— Gustawie! zawołał nowo przybyły, Gustawie!

Gustaw drgnął na dźwięk tego głosu, który go wyrwał z zamyślenia.

— Jak się masz Fryderyku? odrzekł.

I obaj przyjaciele podawszy sobie rękę, usiedli przy sobie na skale.

— Czy widzisz to? rzekł Gustaw do Fryderyka ukazując mu punkt czarny na widnokręgu.

— Pewno wszyscy czuwają w zamku, rzekł Stur.

— Przez całą noc nikt tam oka nie zmrużył.

— Czy wiesz co nowego?

— Wczoraj, około dziesiątéj wieczorem, przechodząc przez główną galeryę, żeby powrócić do mojego pokoju, spotkałem obcego służącego. Poznawszy na nim liberyą administratora królestwa, zawołałem go. Był to Ing, zaufany sługa twojego ojca.

— Gdzie idziesz? zapytałem.

— Przybyłem tu z listem do Jego Wielmożności Eryka Johansona Wazy, odpowiedział. I poszedł w swoją stronę, a ja w moją. Położyłem się w łóżko, ale o północy niespokojny sam nie wiedząc dlaczego, wstałem i otworzyłem okno. Wówczas zobaczyłem światło w pokoju ojca, a w wielkiéj galeryi, gdzie o tak późnéj porze nawet nie pogaszono pochodni, trzy osoby przechodziły tam i napowrót.

Podczas kiedy Gustaw mówił, Fryderyk Stur syn Swanta Stura, administratora królestwa, słuchał go w zamyśleniu, naradzając się z sobą jak gdyby niepewny, co mu ma odpowiedzieć.

— Czy więcéj jeszcze co wiesz Fryderyku?

— Tak Gustawie, Chrystian II król Duński pożąda korony szwedzkiéj, opierając się na prawach zapewnionych mu, jak twierdzi, unią Kalmarską. Te okręty, które się zbliżają, to jego flota, a w liście pisanym do mojego ojca donosi on, że gotów sam przybyć do Sztokholmu dla załatwienia osobiście sporów, byleby oddano mu jako zakładników sześć osób, należących do najznakomitszych rodzin krajowych.

— A czyż te osoby już są wyznaczone?

— Jeszcze nie, ale udajmy się do zamku, a tam zapewne dowiemy się o wszystkiém.

Gustaw powstał żeby iść za przyjacielem, a oczy jego dziwnym błyszczały zapałem.

— Więc Duńczyk ma nam narzucać prawa? rzekł.

— Cóż czynić?

— O! gdyby to odemnie zależało!...

A wyrazy te wyrzekł Gustaw z gniewném drżeniem w głosie.

— I cóżbyś uczynił?

— Nie wiem, ale to pewna, że nigdybym nie uznał królem Szwedzkim Chrystiana II.

— Mówisz jak dziecko, kochany Gustawie.

— Tak zapewne, dziecko zmieni się kiedyś w mężczyznę, ale za to mogę ci ręczyć, że sposób mój myślenia nie zmieni się nigdy.

I uścisnął silnie przyjaciela za rękę.

Ulice Sztokholmu zaczynały się już ożywiać. Coraz

gęściéj ukazywali się przechodnie krążący tu i owdzie, i to zmusiło obu młodzieńców do zaniechania rozmowy, która nie z zupełném bezpieczeństwem mogła się wówczas toczyć na ulicach stolicy.

Przybywszy do zamku Lindholmskiego, dwaj towarzysze mieli się już rozłączyć z sobą, kiedy nagle Fryderyk ująwszy Gustawa za rękę, rzekł doń nie usiłując już nawet ukryć wzruszenia:

— Uściśnij mnie Gustawie!

— Jakim dziwnym tonem mówisz to do mnie? Zdawałoby się, jakbyśmy się już rozłączali na zawsze!

— Kto to wié?...

— Fryderyku, ty coś ukrywasz przedemną?

— Wszakże wiesz Gustawie, że jesteś oddawna powiernikiem wszystkich moich tajemnic.

— Więc widać, że tę tajemnicę uważasz właśnie nie za swoją i dlatego nie chcesz mi jéj powierzyć.

A ponieważ Stur nie odpowiadał, Gustaw mówił daléj:

— Jeżeli się nie mylę Fryderyku, starszym jesteś odemnie o trzy lata: tyś się urodził w r. 1487, a ja w r. 1490. Chciéj jednak przyjąć przysięgę, którą ci składam dzisiaj w dniu 10 sierpnia 1504 r. że jakkolwiek zła czy dobra dola ciebie spotka, ja ją podzielę, jak również przypuszczę ciebie do udziału w każdém pomyślném wydarzeniu, jakie dla mnie wypaść może.

— Dzieckiem jesteś, rzekł Fryderyk oddalając się.

— A więc do widzenia.

I pożegnawszy się z przyjacielem, Gustaw wszedł do zamku.

II.

Młodzieniec.

— Gdzie mój ojciec? zapytał młody Waza pierwszego służącego, którego napotkał.

— Jego Wielmożność znajduje się obecnie w swoim pokoju, odpowiedział służący.

Zbliżając się do téj komnaty, położonéj w najoddaleńszém skrzydle zamkowém, zdawało się młodzieńcowi, iż słyszy jęki jakieś i szlochania. Wahał się więc przez chwilę czy ma wejść; pod wpływem jednak uczucia niecierpliwości, które nie dozwalało mu dłużéj oczekiwać, otworzył nagle drzwi i wszedł.

Pierwszym przedmiotem, który zwrócił na siebie uwagę wchodzącego młodzieńca, była jego matka, leżąca na fotelu z oczami łzami zalanemi. Przed nią klęczała siostra Gustawa, szesnastoletnia dziewica z twarzą ukrytą w dłoniach, jak gdyby przygnębiona nadmiarem gwałtownej boleści i pogrążona w rozpaczliwém milczeniu. Ojciec przechadzał się wielkiemi krokami po pokoju, a oczy miał wlepione w ziemię, jak gdyby lękał się dać do serca przystępu rozczuleniu, przez widok łez żony i rozpaczy córki.

— Wielki Boże! co się stało? zapytał Gustaw.

— Przecież przybyłeś, czekałem na ciebie. Jesteś mężczyzną Gustawie...

I to mówiąc stary Waza, położył żylastą i muskularną rękę na ramieniu syna.

— Jesteś mężczyzną powtarzam, a więc zrozumiesz moje położenie i nie zechcesz miękczyć we mnie odwa-

gi, jak te oto kobiety usiłują to czynić. Słuchaj mnie synu. Wiesz, że Szwecya mocą traktatu Kalmarskiego, ma teraz przejść pod panowanie Chrystiana II króla Duńskiego. Flota tego króla otacza w téj chwili port Sztokholmski i ofiaruje on się przybyć osobiście do naszego miasta dla załatwienia wszelkich sporów; ale ponieważ lęka się jakiéj zasadzki, wymaga więc od nas zakładników. Na zakładnika ofiaruję się ja pierwzzy, jako jeden z naczelników szlachty szwedzkiéj, Swan Stur posyła swojego syna, a ponieważ my dwaj jesteśmy gotowi poświęcić się, czteréj inni nie będa trudni do znalezienia. Spodziewam się, że w przeciągu dwudziestu czterech godzin, wszyscy sześciu staną w pogotowiu na żądanie królewskie. Skoro więc noc zapadnie popłyniemy do statku królewskiego, jutro ze świtem Chrystyan wchodzi do Sztokholmu, a mam nadzieję, że najdaléj za godzinę powróci na okręt i uwolni nas.

— A gdyby się nie stało tak, jak utrzymujesz kochany Eryku, rzekła żona jego zanosząc się od płaczu, gdyby, kiedy ty i pięciu najznakomitszych panów Szwecyi, będziecie się znajdować jako zakładnicy na okręcie królewskim, flota nagle podniosła kotwice i odpłynęła do Danii. Cóżby się stało wówczas z wami?

— Kochana Cecylio! straszysz się sama nieprzypuszczalnemi nieszczęściami.

Podczas téj rozmowy, Gustaw bystrzejszym nad wiek rzutem oka ocenił i słuszność obaw matki, i niebezpieczeństwo szlachetnego zaufania ojca.

— Ależ przypuśćmy, mówiła daléj Cecylia Eka, przypośćmy... że się tak stanie rzeczywiście.,. Nie ruszaj ramionami Eryku, bo wszakże wiesz dobrze, że... w czasie wojennym... wszystko jest prawdopodobném.

— A więc... czyż nie zostawiam wam tu zastępcę, drugiego siebie, Gustawa syna?...

— Niestety! brat nie zastąpi ojca!

— Dziękuję ci w imieniu wszystkich braci, rzekł Gustaw kłaniając się żartobliwie siostrze... Pomimo tego jednak przyjmuję z wdzięcznością posłannictwo, którém ojciec raczył mnie zaszczycić podczas swojéj nieobecności.

— I mam nadzieję, że się okażesz godnym tego posłannictwa mój synu. Zbyt wiele masz szczerości na twarzy, a szlachetnéj dumy na czole, żeby kto poważył się wątpić o prawdziwości uczuć twoich...

I Eryk Waza jedną ręką pomógłszy do powstania córce, drugą zaś ująwszy dłoń żony, odprowadził je obie do drzwi swojego pokoju.

— Kochana Cecylio, kochana Ewo, rzekł zwracając kolejno do każdej z nich mowę, wierzajcie mi że nie pozostaje mi zbyt wiele czasu na dzień dzisiejszy, więc zostawcie mnie samego... z synem. Idźcie moje kochane, idźcie już... pożegnam się jeszcze z wami przed odjazdem. Tylko na miłość Boską trochę więcéj odwagi... Nie jesteście zwyczajnemi kobietami, pomyślcie jaka krew płynie w waszych żyłach, i bądźcie godnemi waszego rodu. Ty Cecylio pochodzisz z rodziny Eka, a przodkowie twoi zawsze byli obok tronu lub na jego stopniach; ty Ewo pochodzisz z krwi Wazów, krwi bohaterskiéj.

Te wyrazy Eryka przywróciły trochę spokojności nieszczęśliwym kobietom, a on je odprowadził przez galeryę, uścisnął raz jeszcze, podłożył rękę jednéj pod ramię drugiéj i gestem wyrażającym rozkaz, ale i prośbę

zarazem, wskazawszy im drogę do kobiecych komnat, wrócił do siebie.

— Mój synu, mój Gustawie, rzekł on wówczas do młodzieńca, który starał mu się z twarzy najskrytsze myśli wyczytać, wiedz że obawy twojéj matki nie są tak bezzasadne, jak ja jéj to się staram wytłumaczyć... Od Chrystiana II, wszystkiego spodziewać się można. A więc mój synu chociaż dopiero piętnasty rok liczysz, oświadczam ci, że nie masz już czasu być dzieckiem, i mianuję cię opiekunem całéj rodziny... Idź teraz do matki i do siostry, nie chcę już ich widzieć przed odjazdem, nie miałbym do tego dość odwagi... idź... A przechodząc powiesz staremu Olafowi, żeby za nadejściem nocy czekał na mnie przed furtką zamku, która prowadzi do morza, i niech weźmie ze sobą ciemny mój płaszcz i kapelusz o szerokich skrzydłach... Pilnuj go, żeby się nie spóźnił, a czuwaj nad tém mianowicie, żeby matka twoja i siostra nie zwróciły kroków swoich w tamtą stronę... Kiedy zaś się wszystko uspokoi w zamku i Olaf będzie już na mnie czekał u furtki, przyjdziesz zawiadomić mnie o tém, zapukasz trzy razy do drzwi, a ja wówczas dopiero otworzę, bo będę wiedział że to ty. A teraz idź mój synu, bo dzisiaj z każdą chwilą liczyć nam się trzeba.

Gustaw miał się już ku wyjściu, kiedy nagle przeszła mu przez głowę myśl jakaś i zwrócił się do ojca.

— Lękam się, rzekł, że Olaf mnie nie usłucha; czybyś ojcze nie był łaskaw napisać mi słówko polecenia do niego.

— I owszem.

— To mówiąc Eryk wziął ze stolika kartkę papieru i napisał na niéj następujące wyrazy:

Zalecam spełnić jak najdokładniéj wszystkie rozkazy syna mojego Gustawa.

I położywszy pod spodem swój podpis *Eryk Johanson Waza*, przyłożył pieczątkę herbową i oddał to wszystko synowi, którego twarz w téj chwili dziwnie była rozradowaną.

Ojciec zauważył to.

— Dziecko, cieszysz się, że cię już uważają za mężczyznę, rzekł.

Ale Gustaw nie odpowiedział ani słowa, tylko ucałowawszy z uszanowaniem rękę ojca, śpiesznie wyszedł z pokoju.

II.

Ciemny płaszcz i kapelusz o szerokich skrzydłach.

Za nadejściem nocy, Cecylia ufna w przyrzeczenie męża, a jednak niespokojna, że go nie widzi dotychczas i przypominając sobie z boleścią, że każda minuta jest porachowaną, nie mogła znieść dłuższego oczekiwania i posłała Ewę na spotkanie ojca.

Ewa skwapliwie wypełniła rozkaz matki. Zbliżając się do pokoju pana zamku, spotkała u wejścia do galeryi prowadzącéj doń Olafa, jednego z najstarszych sług zamkowych.

— Przejście wzbronione panienko, rzekł Olaf z całém uszanowaniem starego sługi, ale zarazem z niewzruszonością żołnierza, postawionego na straży.

— Jakto przejście wzbronione? zapytała Ewa, czyliż noc jest tak ciemna, albo też wzrok twój tak osłabiony, że nie poznajesz córki swojego pana?

— Ażeby niepoznać panienki, musiałbym być nietylko ślepym, ale i głuchym.

— W takim razie pozwólże mi przejść.

— Niech panienka raczy mi wybaczyć, że po raz pierwszy poważę się nieposłuchać jéj rozkazów, ale otrzymałem najsurowsze polecenie.

— Ciekawam od kogo?

— Od tego, który ma teraz władzę rozkazywania w zamku.

— Od mojego ojca?

— Nie... od brata panienki.

— Od mojego brata! zawołała boleśnie Ewa. Więc ojciec opuścił nas już?

— Nie sądzę, owszem zdaje mi się, że przeciwnie.

— To wytłumaczże się, proszę cię Olafie, rzekła Ewa z trwożliwą niespokojnością.

— Bo to widzi panienka, siedzieliśmy wszyscy zgromadzeni w dolnéj sali zamkowéj, rozmawiając o polityce, choć bowiem człowiek służy, to jednak zawsze jest Szwedem i wszystko co się dzieje w kraju zajmuje go, kiedy pan Gustaw ukazał się nagle przed nami i dał mi znak, żebym za nim poszedł: „Idź, rzekł, weź ciemny płaszcz mojego ojca i kapelusz jego o szerokich skrzydłach, i czekaj na mnie u furtki, która prowadzi na ścieżkę do portu.” Wypełniłem rozkazy pana Gustawa i wkrótce czekałem już przy furtce. Więc od godziny stałem tam i zaczynało mi się nudzić nawet trochę, bo noc zapadała powoli, a żołądek ostrzegał mnie, że chwila wieczerzy już nadeszła, kiedy ukazał-

się brat panienki: „Daj mi to wszystko, rzekł biorąc z rąk moich płaszcz i kapelusz, i staraj się wypełnić punktualnie to co ci polecę. Staniesz u wejścia do galeryi prowadzącéj do pokoju ojca, i nie przepuścisz tamtędy nikogo, rozumiesz... nikogo... nawet mojéj matki.” A kiedy wahałem się jeszcze, czy mam usłuchać tak surowego rozkazu, pan Gustaw pokazał mi własnoręczne polecenie na piśmie Jego Wielmożności, które brzmiało jak następuje: *Zalecam spełnić jak najdokładniéj wszystkie rozkazy syna mojego Gustawa.* Nie pozostawało mi więc jak być posłusznym, co téż uczyniłem i czynię obecnie.

— Więc pewny jesteś Olafie, że mój ojciec jest jeszcze w swoim pokoju, rzekła Ewa z poruszeniem radości.

— O tyle proszę panienki, o ile może być pewnym człowiek, który go nie widział ani wychodzącego, ani wchodzącego przez ten korytarz.

— Dziękuję ci, powracasz mi zupełnie spokojność.

— Niech panienka jednak raczy zauważać, że ja nie utrzymuję, żeby Jego Wielmożność nie wychodził wcale. Panienka wié, że pokój Jego Wielmożności ma dwa wyjścia, jedno prowadzi na tę oto galeryę, a drugie na uboczne schodki, które wychodzą na podwórko stajenne, a ztamtąd znów na okopy zamkowe...

Ewa złozywszy ręce zawołała:

— O mój Boże! Ale gdzież jest mój brat? On przynajmniéj musi wiedzieć o wszystkiém?...

— Ja sądzę, że młody pan musi być u furtki, na ścieżkę do morza wychodzącéj.

— Biegnę tam!

I w istocie pobiegła jak strzała.

Podczas téj rozmowy noc już zapadła zupełnie i trzeba było obeznania z miejscowością, jakie posiadała Ewa, wychowana z dzieciństwa w zamku, żeby nie zabłądzić po tych długich i ciemnych korytarzach. Nareszcie doszła do ogrodu. Aleja prowadząca do furtki nad morzem, ocieniona gęstemi jaworami była ciemna po dniu nawet. Ewa jednak nie dając się ustraszyć ani cieniom nocnym, ani głuchemu milczeniu, które w około panowało, biegła naprzód, a biegła tak lekko, że stąpania jéj słychać nawet nie było. Dotarłszy do drzwi już miała się przekonać czy są otwarte czy zamknięte, kiedy usłyszała rozmowę jakąś z zewnątrz, i z trwożliwością kobiecą cofnęła się o kilka kroków w tył. Jakiś głos obcy przemawiał te słowa:

— Czy to Jego Wielmożność Eryk Johanson Waza?

— Tak, idźmy! odpowiedziano, a w głosie tym zdawało się Ewie, że rozpoznaje dźwięk mowy ojca.

Wypadła więc po za furtkę i ujrzała pole przed sobą. Pomimo jednak ciemności nocnéj spostrzegła dwóch ludzi, podążających w stronę morza i w jednym z tych ludzi po długim płaszczu i kapeluszu o szerokich brzegach, ze spływającém zeń białem piórem poznała ojca; zdawało jéj się nawet, że widzi pobłyskujący w cieniu dyament, którym Eryk zwykł był przypinać pióro do kapelusza. Biedna dziewczyna zalękniona i zrozpaczona, pozostała bez ruchu na miejscu, nie śmiała ani rzucać się w ślad za ojcem, ani odejść z tego miejsca, zkąd go widziała oddalającego się, gdzie jéj uszów dochodził brzęk jego ostróg, a nawet dźwięk tego głosu, któremu od dzieciństwa przywykła być posłuszną z pełną uszanowania miłością.

I dopiero kiedy głos ów i szmer kroków zatarły

się zupełnie, a w około głuche zapanowało milczenie, Ewa namyśliła się powrócić do zamku. A biegła znów szybko, ale nie już z tą radością i nadzieją w sercu, z jaką podążała do furtki: powracała zrozpaczona, bolejąca.

Wszedłszy do salonu upadła na kolana przed fotelem, gdzie siedziała najdroższa jéj matka na powrót jéj oczekując, i zawołała głosem łez pełnym:

— Już go nie ma!

— Jakto? opuścił zamek? kto? zawołała Cecylia nie chcąc własnym uszom wierzyć.

— Ojciec! drogi ojciec mój! zawołała Ewa rozpływając się we łzach.

— Niepodobna!

I Cecylia powstała biegnąc śpiesznie do drzwi, a córka podążyła za nią.

Stary Olaf stał ciągle na temże samém miejscu, strzegąc wejścia do pokoju pańskiego. Pochodnia w kołku żelaznym przybitym do muru zatknięta, oświecała twarz jego na pozór zimną i spokojną. Na odgłos zbliżających się kroków zawołał nakazaném sobie hasłem:

— Przejście wzbronione!

— Ależ Olafie, to ja, zawołała pani zamku.

— Przejście wzbronione szlachetna pani, rzekł znowu Olaf z ukłonem najwyższego uszanowania.

— Jakto?... Czy nie poznajesz mnie?... twojéj pani, rzekła Cecylia głosem drżącym od gniewu.

Stary sługa ukląkł na środku galeryi.

— Szlachetna pani, możesz mnie kazać wypędzić za godzinę, rzekł drżącym głosem, ale otrzymałem rozkaz i muszę mu być posłusznym.

— Któż ci ten rozkaz wydał?

Olaf wydobył z za pasa papier z poleceniem Eryka i podał go Cecylii.

— Gdzie syn mój? zapytała Cecylia.

Olaf odpowiedział jéj to samo, co już był mówił Ewie.

— Więc pewnie czeka jeszcze dotychczas u téj furtki? rzekła Cecylia.

— Wracam ztamtąd, zawołała rozpaczliwie Ewa, ale nie brata tam spotkałam, tylko ojca, który oddalał się z zamku.

— Kto to powiedział? odezwał się dobrze znany głos.

Obie kobiety drgnęły z zadziwienia.

Eryk uchyliwszy drzwi od swojego pokoju, stał na progu. Żona i córka rzuciły się do niego, a on przyjął je obie w objęcia i przycisnął do serca.

Nagle Ewa zawołała:

— Ale kogóż ja widziałam wychodzącego z zamku w płaszczu i kapeluszu ojca, któż mógł odpowiedzieć: *To ja*, na zapytanie: *Czy to Jego Wielmożność Eryk Johanson Waza?*

— Mój syn! to niezawodnie mój syn! zawołała Cecylia oświecona nagłém natchnieniem serca.

W téj chwili służący w liberyi *administratora królestwa* ukazał się u wejścia do galeryi i zbliżywszy się do Olafa, wręczył mu list z tém krótkiém objaśnieniem:

— Do Jego Wielmożności Eryka Johansona Wazy.

— Daj! rzekł Eryk wyciągając rękę.

I rzuciwszy wzrokiem na adres, zawołał:

— To pismo mojego syna.

Następnie skwapliwie odpieczętował list.

I począł czytać głośno:

Drogi ojcze!

Przyjmują mnie w twoje miejsce na zakładnika, chciéj więc pozostać przy matce i siostrze, którym jesteś stokroć potrzebniejszym odemnie. Zechciéj uprosić matki, żeby mi przysłała swoje błogosławieństwo, i niechaj się nie gniewa na mnie, żem się z nią nie pożegnał, jak również i z kochaną siostrą moją, ale jestem jeszcze bardzo młody i nie wypróbowałem własnéj odwagi, nie mogę więc być sam siebie pewnym.

Pobłogosław mi szlachetny i drogi ojcze. Powiedziałeś mi, że nie jestem już dzieckiem i to słowo zrobiło ze mnie mężczyznę. Dzisiejszy czyn jest pierwszym dowodem téj mojéj dojrzałości i wstępem w życie.

Gustaw Waza.

Gustaw i pięciu innych członków najznakomitszych rodzin Szwedzkich, udali się jako zakładnicy na flotę Chrystiana II, który ich zaraz kazał uwięzić, i korzystając z pomyślnego wiatru, odpłynąwszy z flotą do Kopenhagi, zamknął ich w tamecznym zamku warownym.

Możnaby spisać nieskończone tomy powieści z dziejów tego młodego Szweda, który znalazłszy sposób wydostania się z więzienia, udał się do Lubeki, gdzie się przedstawił naczelnym władzom tego miasta, wymieniając swoje nazwisko i opowiadając zdradę, jakiéj król Chrystian II względem niego i towarzyszów jego się dopuścił. Władze miasta przyjęły go jak najserdeczniéj, i ułatwiły mu powrót do ojczyzny.

Przybywszy do kraju, musiał jako zbieg ukrywać się przed przemocą w jednym z zamków do ojca jego należących. Tam dowiedział się, że król Chrystian II

wspomożony przez Trollda arcybiskupa Upsalskiego zagarnął koronę szwedzką, i że pierwszym czynem władzy tego króla była sławna rzeź, podczas któréj zginęli najznakomitsi panowie szwedzcy, a pomiędzy innymi ojciec Gustawa, Eryk Johanson Waza. Dowiedział się przytém, że matka jego i siostra, zostały osadzone w więzieniu w Kopenhadze.

Wszystkie te nieszczęścia zamiast złamać jego odwagę, zahartowały je jeszcze. Przebrany za chłopa udał się do Dalekarlii, znał bowiem dobrze duch tamecznych mieszkańców, i przez długi czas tając swoje nazwisko, pracował w kopalniach. Jednocześnie jednak znalazł sposobność zawiązania stosunków z dawnymi przyjaciołmi ojca i zapewnienia się o ich sposobie myślenia. Raz tedy w Mora, pośród licznego zgromadzenia mieszkańców okolicznych, zrzucił z siebie suknie chłopskie, pod któremi się ukrywał dotychczas, wymienił imię swoje i nazwisko, i gorącą przemową wszystkich na raz serca sobie zjednał. Dalekarlijczycy pociągnięci jego wymową, poprzysięgli iść wszędzie za nim, obrali go za wodza, i po kilku krwawych bitwach stoczonych z wojskiem Chrystiana, Gustaw na czele tych żołnierzy zaimprowizowanych podszedł pod Sztokholm, obległ go i zdobył szturmem. Wówczas naród jednozgodnie mianował go Administratorem królestwa, aż wreszcie w r. 1523, w nagrodę licznych zasług krajowi oddanych, Gustaw został wyniesiony na godność królewską.

Umarł w r. 1560, ukończywszy siedmdziesiąt lat wieku. Potomni nazwali go odrodzicielem Szwecyi.

XI.

MAŁY PASTUCH WIEPRZY *).

I.

Mnich.

Podczas pięknego jesiennego poranku, w chwili kiedy słońce zdaje się budzić ze snu, żeby barwić promieńmi swemi krople rosy operlające każdy kwiat, każdą roślinkę; biedny chłopak w łachmanach siedział na stoku wzgórza, wznoszącego się po za wioską Montalte w Marchii Ankońskiéj we Włoszech. W około wzgórza pasły się wieprzaki, rozbiegując się czasami po

---

*) Syxtus V papież urodził się w r. 1522, umarł w r. 1590. Wyszedłszy z najniższych warstw społeczeństwa, Syxtus V jako papież zasłynął wysokiemi zdolnościami i wielki miał wpływ na sprawy Europejskie. Ozdobił Rzym i uorganizował lepszy zarząd administracyjny.

ścieżkach, wijących się na téj pochyłości; ale spory pies wiernie stróżujący trzodzie, przywoływał je zaraz do porządku.

Ów pastuszek dziwnym zaprawdę był chłopcem; dziesięć lat wieku liczył on zaledwie, a twarz jego utraciła już ów wyraz wesołości i swobody, dzieciom właściwy. Leżąc na miękkim trawniku wznosił oczy ku niebu, a barwa tych oczów była tak czysta i jasna, iż zdawało się, że to kawałki tego modrego nieba oderwały się od widnokręgu, żeby znaleźć pomieszczenie pod wilgotną chłopca powieką. Śpiewał, a śpiew jego był słodki, powolny i smutny, dźwięki rozchodziły się w dal, a wiatr jesienny igrał z płowemi puklami zdobiącemi głowę chłopca.

I nagle to marzenie, w którém był pogrążony, przerwało szczekanie psa, a zaraz potém odgłos ciężkiego chodu i lekki szmer zeschłych liści szeleszczących pod ciężarem stopy ludzkiéj. Wkrótce dał się słyszéć głos:

— Powiedz mi chłopcze, którędy tu najbliżéj do Ankony?

Chłopak porwał się z ziemi jak sprężyna stalowa odskakująca z pod nacisku, a spostrzegłszy przed sobą starego zakonnika o poważnéj ale przyjaźnie uśmiechniętéj twarzy, rzekł:

— Najkrótsza droga mój ojcze, jest zarazem najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą.

— Sprawa, za którą idę jest pilną, opóźnić mi się nie wolno, więc powiedz którędy mam iść, żeby przybyć jak najśpieszniéj do miasta.

— Zaczekajcie chwilę, ojcze, rzekł chłopak, ude-

rzając się ręką w czoło, jak gdyby nowa myśl przyszła mu do głowy.

— O cóż ci idzie? zapytał zakonnik, czy nie znasz miejscowości?

— Owszem... ale wiecie co ojcze... ja lepiéj pójdę z wami, bo gotowiście jeszcze zbłądzić albo wpaść do jakiéj przepaści.

— Ależ co zrobisz z twoją trzodą?

— Nero ją popilnuje.

— Któż to jest Nero?

Niepotrzebnie się jednak pytał, bo za wymówieniem téj nazwy, pies spoczywający u nóg pastuszka podniósł łeb w górę, i utkwił w swojego pana oczy jasne, żółte, z wyrazem niepokoju i przywiązania; zdawało się że czeka na rozkazy, to téż pastuszek zwrócił do niego mowę, jakby odpowiadając na to nieme zapytanie:

— Pozostaniesz tu, będziesz pilnował wieprzków i nie dasz im się rozbiegać.

Następnie poprawiwszy na plecach okrycie z koziéj skóry, ruszył w drogę ścieżką po nad wąwozem, po pochyłości wzgórza prowadzącą, mówiąc:

— Chodźcie ojcze za mną.

Zachwycony tą uprzejmością swojego przewodnika, a szczególniéj urodą jego, bo pomimo łachmanów służących mu za ubranie, chłopak był rzeczywiście piękny, zakonnik zawiązał z nim następującą rozmowę:

— Jak się nazywasz?

— Felix Peretti do usług.

— Czém się zajmuje twój ojciec?

— Niestety! niczém.

— Widzę, że nie jesteś szczęśliwym i zmiarkowa-

łem to od razu po smętnym wyrazie, malującym się na twojéj twarzy.

— Co się mnie tycze, odpowiedział Felix, urodziłem się w nędzy i nie dbam o nią, i jeżeli się troszczę, to o ojca, o matkę, a głównie o siostrę moją Kamillę.

— A więc los dopisywał kiedyś lepiéj waszéj rodzinie?

— Kiedy przy końcu XV wieku, Amurat II Sułtan Turecki wtargnął do Dalmacyi, ojciec mój zmuszony do ucieczki, schronił się do jednego ze swoich zamków; zaś w 1518 roku, podczas wojny Leona X z księciem Urbino, stracił resztę co mu się jeszcze pozostało i musiał szukać przytułku w Montalte, gdzie ja się urodziłem.

— To w takim razie musisz już mieć dziesięć lat, bo taki przeciąg czasu dzieli nas właśnie od téj wojny.

— Tak ojcze, a Kamilla pięć dopiero. I jaka już piękna!...

— Więc ją bardzo kochasz?

— Jakże nie kochać siostry?

— No, ale powiedzże mi, jaka jest główna przyczyna twojego smutku?

— Niestety ojcze, chciałbym módz przyjść w pomoc mojéj rodzinie, a nie widzę sposobu na to.

— A czemże chciałbyś być?

— Papieżem, odpowiedział Felix bez wahania.

Zakonnik zaśmiał się.

— Papieżem! rzekł. No... nie małéj ci się chce rzeczy. Ale nie tak to łatwo zostać papieżem, przedewszystkiém trzeba być bardzo nabożnym.

— O! co do tego, to się nie powstydzę; bo wieczór idąc spać i rano wstając, odmawiam regularnie pacierze.

— Trzeba być bardzo sumiennym, bardzo sprawiedliwym, bardzo ludzkim, bardzo wyrozumiałym.

— A, i na tém wszystkiém mi nie brak.

— Głównie zaś bardzo uczonym.

Felix miał także na tę uwagę odpowiedzieć w tenże sam sposób, co i na poprzednie, ale otworzywszy usta urwał nagle.

— A co, czy jesteś uczonym? zapytał zakonnik uśmiechając się.

— Nie umiem nawet czytać, odpowiedział pastuszek smutnym głosem.

— To trzeba się nauczyć.

— A jakim sposobem? Ojca mojego nigdy nie ma w domu, biega on bowiem wciąż starając się odzyskać choć cząsteczkę straconego majątku, a zresztą u nas nikt nie umie czytać, ani matka, ani siostra, ani wieprzki, ani nawet mój biedny Nero... choć to przecie tak sprytny pies.

— A czy we wsi, gdzie mieszkacie, nie dałby się znaleźć jaki nauczyciel czytania?

— O! już co do tego, odpowiedział potrząsając głową Felix, to mogę ręczyć ojcu, że wszyscy u nas na wsi, głupsi są jeszcze od moich wieprzków... Ale już wyprowadziłem ojca na dobrą drogę, idźcie teraz wprost przed siebie tą aleją z drzew pomarańczowych, a jak raz dojdziecie do miasta... Ja zaś powracam do mojéj trzody.

I odchodził już, kiedy zakonnik zatrzymał go jeszcze.

— Co chcesz za twoją fatygę? rzekł.

— Jaką fatygę? zapytał mały pastuch ze zdziwioną miną.

— Żeś mnie aż tutaj przeprowadził.

— A cóż to mnie kosztowało, przecież obuwia nie zdarłem, bo boso jestem.

— Więc rzeczywiście zrobiłeś to tak... z przyjemności.

— Tego znów nie powiem, odrzekł Felix dobrodusznie, ale chociaż nie umiem czytać, ani pisać, ani moja matka także, to jednak nauczyła mnie ona, iż Jezus Chrystus każe nam czynić bliźnim to, cobyśmy pragnęli, żeby oni nam czynili. A ponieważ gdybym szukał gdzie drogi, byłbym bardzo rad, żeby mi ją kto pokazał, uczyniłem to samo dla ojca.

— Jeżeli zawsze wytrwasz w takich uczuciach prawdziwie chrześcijańskich, to możesz zostać nawet i papieżem.

— Mówiłem już wam ojcze, że to jest jedyném mojém żądaniem,

— Tak, ale ażeby dojść do tego, trzeba się nauczyć czytać i pisać i jeszcze wiele innych rzeczy.

— Ale jakim sposobem, kiedy jak powiedziałem nie mam na to żadnéj rady? odrzekł Felix gniewny już prawie.

— Sposób łatwo się znajdzie. Czy wiesz, gdzie jest klasztor Ojców Franciszkanów w Ascoli?

— Wiem, wiem, to niedaleko ztąd.

— Więc pójdziesz tam i zapytasz się o brata Pacomo. Ja nim jestem i zaraz wyjdę do ciebie. A ponieważ masz takie konieczne powołanie na papieża, to wskaże ci wszystko co trzeba umieć, ażeby zostać papieżem.

— Zgoda! zawołał uradowany Felix, jak tylko ojciec powróci z drogi, to poproszę go o pozwolenie udania się do klasztoru i zaraz tam się stawię.

— Więc do widzenia monsignorze, rzekł zakonnik podając rękę pastuszkowi.

— Do widzenia, odpowiedział pastuszek z ukłonem.

I mnich poszedł w swoją stronę, a chłopak w swoją.

II.

Dukat.

Wracając do swoich wieprzków, Felix zastał tam siostrę, która wołała z całéj siły na niego.

— Myślałam żeś zginął bracie, rzekła rzucając się cała zalękniona jeszcze w jego objęcia, i lękałam się powrócić do domu, donieść o tém ojcu.

— Więc ojciec wrócił już? zapytał Felix.

— Będzie może z godzina temu, odpowiedziała Kamilla, a od tego czasu szukam cię ciągle i pytam się o ciebie wszystkich przechodniów i wieprzków i psa, ale ci co przechodzili drogą mówili, że cię nie widzieli wcale; zwierzęta zaś twoje są tak głupie, że nie chciały mi nawet dać żadnego znaku, żeby mi wskazać, gdzie jesteś.

Ale na wieść o powrocie ojca, Felix nie chciał już więcéj słyszéć i począł biedz szybko w stronę wsi. Przybył tam wkrótce cały zaczerwieniony i zlany potem.

— Ojcze! zawołał rzucając się w jego objęcia, chciéj mi wyświadczyć łaskę!

— Jaką? zapytał Peretti przyciskając do serca syna.

— Chcę opuścić ciebie na pewien czas.

— A toż znowu co za myśl? zawołała matka, to nie na tak dobrego syna, jak ty!

— Będę lepszym jeszcze synem, jak zostanę papieżem, zawołał Felix.

— I lepszym bratem także? zapytała Kamilla, która w téj chwili wchodziła do mieszkania.

— A naturalnie.

— Ależ biedaku, rzekła Kamilla, jakimże sposobem biedny pastuszek wieprzków jak ty, mógłby zostać papieżem?

— To też od jutra nie będę już pastuszkiem wieprzków.

— Co za szaleństwo! rzekła matka, nietylko będziesz pasł wieprzki jutro, ale jeszcze dziś musisz powrócić, ażeby je na noc zapędzić do chlewa.

— Dajże mu się wytłumaczyć Fortunato, rzekł Peretti robiąc znak porozumienia żonie. Felix chce zostać papieżem i nie mam nic przeciwko temu, chce nas opuścić, niech i tak będzie, ale gdzież pójdzie?

— Ja nigdy nie czynię niczego lekkomyślnie, odpowiedział Felix tonem poważnym, któryby przyniósł zaszczyt senatorowi rzymskiemu.

I rozpowiedział rodzicom spotkanie swoje z zakonnikiem, rozmowę jaką mieli z sobą, i przyrzeczenia brata Pacomo, że go pomieści w klasztorze OO. Franciszkanów w Ascoli.

— A czy sądzisz, że ci tam będzie lepiéj niż tutaj? zapytała go matka z bolesnym wyrzutem.

— Nie, moja kochana, najdroższa matko, odpowiedział Felix pieszczotliwym głosem, ale mnie własne moje szczęście nic nie obchodzi, ja dzień i noc myślę tylko o szczęściu twojém, o szczęściu Kamilli...

— Dla mnie jedyném szczęściem mój braciszku, kiedy jesteśmy razem z sobą, rzekła Kamilla, więc nie opuszczaj mnie...

— Ty Kamillo mówisz jak kobieta, ale ja dzięki Bogu jestem mężczyzną i muszę po męzku działać.

A Felix wypowiedział te wyrazy z taką powagą i nawet tonem tak deklamacyjnym, że aż rodzice jego zamieniwszy pomiędzy sobą spojrzenie uśmiechnęli się.

— No, no, rzekł nareszcie ojciec, Felix ma już lat dziesięć, a jeżeli OO. Franciszkanie z Ascoli zechcą go przyjąć...

— Jakto czy zechcą?... oczekują na mnie, odpowiedział Felix.

— A nawet wielce są spragnieni twojego przybycia, dodała szyderczo Kamilla.

— Już wszystko się to ułoży, rzekł ojciec, tylko trochę cierpliwości i zastanowienia; zobaczymy jutro.

Felix aż zarumienił się z wielkiéj radości, a oczy matki jego zaszły łzami.

Istotnie nazajutrz towarzystwo złożone z czterech osób, podążało tą samą ścieżką, na któréj dnia wczorajszego Felix służył bratu Pacomo za przewodnika: byli to Peretti, Fortunata, Felix i Kamilla, a przyszły papież słuchał z uszanowaniem ostatnich napomnień, udzielanych mu przez ojca. Krzyż na rozdrożu oznaczony był jako kres drogi i miejsce rozłąki. Przybywszy tam Peretti ucałował syna i pobłogosławił mu, Kamilla zalała się łzami żegnając się z bratem, a matka wetknąwszy dukata złotem w rękę swojemu pieszczoszkowi, czułemi okryła go uściskami. Za chwilę ojciec, matka i siostra powracali smutnie drogą do wsi, a Felix z żywością dziecinną wpół wesoły, wpół smutny, podążał ku brzegowi morskiemu, odwracając od czasu do czasu głowę ku zielonemu pagórkowi, gdzie w to-

warzystwie psa i trzody swojéj, przepędził pierwsze lata wieku dziecinnego.

Już trzy dni trwała podróż Felixa, podróż prawdziwie po włosku odbywana, więcéj bowiem wypoczywał niż szedł, prosząc o gościnność w każdéj wiosce, którą po drodze napotkał i otrzymując ją.

Ale inaczéj się działo w miastach. Tam już nie było wesołych pasterzy podzielających się z towarzyszem śniadaniem, złożoném z chleba i orzechów, ani wieśniaczek przyjmujących jak syna, małego znużonego podróżnika; nie było już furmanów pozwalających zmęczonemu i okrytemu kurzem pastuszkowi, przysiąść na wozie dla odpoczynku. W miastach trzeba płacić za wszystko, nawet za tę odrobinę słomy, jaką porzucą na posłanie do snu, a Felix, który dotychczas zachował był nietkniętym dukat matczyny, musiał pomyślić o zmienieniu go, żeby zaspokoić pierwsze potrzeby, które tutaj koniecznie okupić należało.

Dawno już biedny pastuszek miał jedno gorące pragnienie, które nie wielu z naszych młodych czytelników zrozumie może, a to z téj przyczyny, że nigdy im się nie zdarzało chodzić boso, z braku obuwia. Otóż zaopatrzenie się w owo pokrycie nóg było właśnie najbardziéj upragnioném marzeniem Felixa: chciał on koniecznie posiadać na własność trzewiki. A jak raz przechodził wówczas koło sklepu szewca; więc zatrzymał się i spojrzał kolejno, to na biedne swoje nogi, bose, zakurzone i napuchłe od długiego chodu, to znów na piękną parę trzewików, wązkich, świecących, śpiczastych, wyszytych jak cacko, słowem skarb prawdziwy. Więc nie wahając się już dłużéj, zapytał kupca:

— Ile za te trzewiki?

— Dukat, odpowiedział kupiec.

Był to jak wiadomo cały majątek Felixa, a pomimo tego miał go już on wydać na te zbytkowne trzewiki, z całą nieopatrznością dziecinnego wieku, kiedy nagle zbladł, nogi zachwiały się pod nim, i jakby nieprzezwyciężoną party siłą oddalił się od sklepu szewca i przeszedłszy ulicę chwiejącym krokiem, stanął przed piekarnią, gdzie na rozłożonych szeroko kramach, uśmiechały się wypieczone i rumiane bułki, na których widok aż ślinka szła do ust przechodniom. Ale tu znowuż rozpoczęło się nowe wahanie; chłopak stanął jak wryty na miejscu i wzrok począł biegać to od kramu piekarza do szewca, to znowuż od szewca do tych apetycznych bułek, co tak nęciły zgłodniałe jego podniebienie.

W téj chwili przechodziło ulicą dwóch ludzi, jeden stary, drugi młody; ubiór ich zdawał się wskazywać, że należeli do stanu duchownego, obaj jednak tak starannie byli owinięci w szerokie płaszcze, że trudno było rozpoznać czy to świeccy księża, czy zakonnicy. Obydwaj jednocześnie zwrócili uwagę na Felixa i starszy zbliżywszy się do niego, zagadnął go w ten sposób:

— Czemu to przypatrujesz się tak uważnie mój chłopaczku?

— Trzem rzeczom signorze, odpowiedziało dziecko, temu dukatowi, bułce co tam leży i moim nogom.

— A o cóż ci głównie idzie w tém rozpatrywaniu się?

— Łatwo odgadnąć, odpowiedział Felix uśmiechając się, głodny jestem i nogi mnie bolą; jeżeli kupię bułkę, to mi już na trzewiki nie wystarczy, jeżeli zaś kupię trzewiki, to nie będę miał za co bułki sobie ku-

pić. Więc rozmyślałem sobie co łatwiejsze do zniesienia, głód, czy ból nóg.

— Mogę ci rozwiązać to pytanie, rzekł starszy z dwóch przechodniów, nakazując giestem milczenie młodszemu; kup trzewiki, a ja cię za to proszę ze sobą na wieczerzę.

— I owszem, odpowiedział Felix, i jednym skokiem był już u szewca, rzucił na stół dukat, porwał w rękę parę trzewików, i szybko pobiegł na ulicę dążąc w ślad za nieznajomemi. Ci ostatni skierowali się do jednéj z oberż miejskich, weszli tam i zażądali trzech nakryć, a w pół godziny potém Felix, zajadając w najlepsze podane sobie potrawy, rozprawiał z swoimi towarzyszami, jakby po najdawniejszéj znajomości.

— Więc idziesz do klasztoru w Ascoli chłopcze? pytał starszy.

— Tak jest, odpowiedział Felix z gębą napchaną makaronem.

— I zapewne myślisz zostać Franciszkaninem?

— Nie, papieżem, odrzekł chłopak.

Obaj nieznajomi poczęli się śmiać do rozpuku.

— Śmiejcie się panowie jak chcecie, odrzekł Felix trochę niezadowolony z téj wesołości, ale już nie takie rzeczy zdarzały się pomiędzy ludźmi.

— Ale cóż zrobisz z papieżem Piusem V, zapytał młodszy.

— On stary, a ja młody, i mam czas czekać aż mi ustąpi miejsca.

W téj chwili wszedł jakiś służący, który powiedział parę słów do ucha młodszemu duchownemu, ten odwrócił się do swojego towarzysza i powtórzył mu to, co od służącego usłyszał. Obydwaj powstali.

— Więc do widzenia mój mały gościu, rzekł starszy do Felixa, a powiedzże mi jeszcze, jakiém nazwiskiem mam cię powitać jako papieża?

— Nazwiskiem Syxtusa V, rzekł Felix śmiejąc się. I dodał zaraz:

— Ale wy szanowny panie, powiedźcież mi także, jakiém mam was powitać nazwiskiem?

— Nazwiskiem Piusa V, odpowiedział duchowny.

Na te słowa Felix jakby piorunem rażony, pozostał na miejscu z ustami otwartemi, bez podziękowania nawet Ojcu świętemu, który mu włożył dukata w rękę.

Tętent koni i turkot kół powozowych, dudniących głucho po bruku miejskim, wyrwały Felixa z tego osłupienia. Papież, który przejeżdżał tylko przez to miasto, powracał do Rzymu.

Ale Pius V udarował Felixa hojniéj niż owym dukatem, bo zalecił go szczególnie gwardyanowi klasztoru w Ascoli, gdzie młody Peretti wszedł do nowicyatu. Zdatność jego do nauk, wcześnie rozwinięta intelligencya i dobre prowadzenie się, zjednały mu łaskę przełożonych, ale i zawiść współtowarzyszów. Pomimo tego jednak Felix postępował coraz daléj na raz obranéj drodze. Został on mianowany kolejno professorem teologii, znakomitym i rozsławionym w całych Włoszech kaznodzieją, komissarzem generalnym franciszkańskim w Bolonii, inkwizytorem w Wenecyi, i na każdéj z tych posad dowiódł tak świetnych zdolności, że wszyscy ci, którzy widzieli od czego zaczął, nie mogli wyjść ze zdziwienia, widząc go tak szybko postępującego po najwyższych szczeblach duchownych. W Wenecyi poróżniwszy się z tamecznym senatem i zmuszony uciekać

potajemnie, odpowiedział tym, którzy mu wymawiali ten niezgodny z wysokiém jego dostojeństwem postępek:

— Co chcecie, ponieważ postanowiłem koniecznie zostać papieżem w Rzymie, nie mogłem więc dozwolić, żeby mnie powieszono w Wenecyi.

Wiadomy jest sposób, w jaki Peretti osiągnął tak pożądaną przez siebie godność papiezką. Papież Grzegorz XIII przeniósł się do wieczności, szło więc o zamianowanie po nim następcy, i Felix Peretti, który był wówczas kardynałem Montalte, zauważył, że nie tyle talent i prawdziwe zasługi mogą wpłynąć na zjednanie wotów książąt kościoła, ile słabość zdrowia, dająca zapewnienie, że po śmierci nowo zamianowanego papieża, stolica Rzymska wkrótce znowuż będzie opróżnioną. Skutkiem tego Montalte odsuwa się zupełnie od świata, udaje że nie może chodzić bez pomocy kija i skurczony we dwoje, mówi tylko o bliskiéj śmierci i o miejscu, gdzie chce być pochowanym. Tego właśnie potrzeba było, żeby sobie zjednać wybór kardynałów. Ale skoro tylko imię jego wyszło z urny, ujrzano nowego papieża powstającego z miejsca, wyrzucającego laskę w powietrze, i intonującego *Te Deum*, głosem tak silnym, że aż przygłuszył śpiew wszystkich obecnych. A widząc ogólne zdziwienie wszystkich, rzekł z uśmiechem:

— Nie dziwcie się temu, dotychczas szukałem kluczy od raju, i ażeby je znaleźć chodziłem schylony ku ziemi i ze spuszczoną głową; ale teraz znalazłem je, spoglądam więc już tylko w niebo, nie potrzebując zajmować się ziemskiemi marnościami.

Felix Peretti wstąpił na tron papiezki dnia 24 kwietnia 1585 r., w sześćdziesiątym roku życia, przy-

brawszy imię Syxtusa V. Rozpowiadają o nim, że wkrótce po jego wyniesieniu na najwyższą kościelną godność, przybyła do Rzymu jego siostra, któréj nie widział wcale od opuszczenia domu rodzicielskiego. Kardynałowie radzili Kamilli, żeby na to przedstawienie przywdziała wykwintne bardzo suknie, usłuchała ich rady i przybyła do Watykanu, wystrojona jak księżniczka.

— Co to za kobieta? zapytał Syxtus V.

— Siostra Waszéj Świątobliwości, odpowiedział jeden z kardynałów.

— Siostra moja jest ubogą wieśniaczką z Marchii Ankońskiéj i nie nosi ubiorów królewskich: ta kobieta nie jest moją siostrą.

Wówczas Kamilla wyszła i ukazała się znowuż po chwili w prostéj wiejskiéj odzieży.

— Oto siostra moja! rzekł papież kładąc pocałunek na jéj czole.

— Bracie, rzekła Kamilla, czyż to nie wstyd dla nas obojga, żebym w takiém ubraniu pojawiała się przed tobą.

— Wywyższenie nasze, rzekł Syxtus V, nie powinno zacierać w naszéj pamięci tych grubych sukien i łachmanów, które były pierwszym herbem naszego domu.

Syxtus V był jednym z najznakomitszych papieżów. Zarządzał kościołem przez pięć lat, cztery miesiące i szesnaście dni, a umarł w dniu 15 sierpnia 1590 roku, skutkiem zbytniego wytężenia w pracy.

SPIS RZECZY.